TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Natalia de Barbaro o trosce o siebie

Jak urodzić po ludzku

Orbán traci władzę, ale nie kontrolę

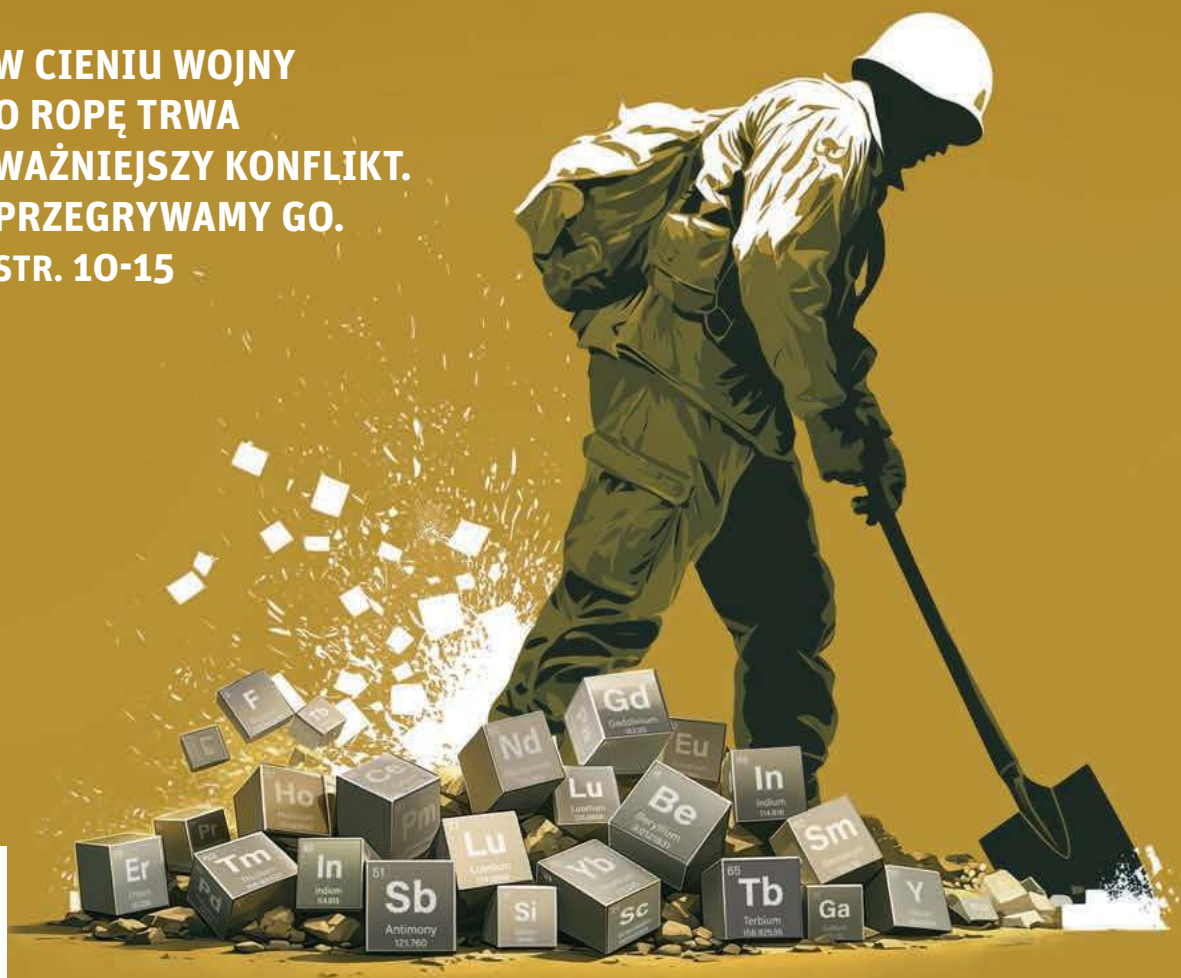
Biskupi o Żydach: skąd ta burza

DODATEK: Bielsko-Biała, stolica kultury

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 25 – 31 marca 2026 | nr 13 (4003)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

Wielka gra o metale ziem rzadkich

W CIENIU WOJNY O ROPĘ TRWA WAŻNIEJSZY KONFLIKT. PRZEGRYWAMY GO.
STR. 10-15



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl df2b558170

RAINBOW

R.pl

CZYM JEST OBJAZD 7+7?

- ✓ **Tydzień zwiedzania i tydzień odpoczynku**
  po objeździe wypoczniesz w wybranym hotelu
- ✓ **Bilety, hotele, wejściówki**
  wszystko zorganizujemy za Ciebie
- ✓ **Polskojęzyczni, doświadczeni piloci**
  pokażemy Ci najpiękniejsze trasy i miejsca



DLA MNIE OBJAZD 7+7

REKLAMA

eprasa.pl df2b558170

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Biskupi o Żydach: skąd ta burza
MICHAŁ OKOŃSKI

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Poród z marzeń
JOLA SZYMAŃSKA *o trudnej rzeczywistości rodzących Polek*

20 Kwestia niemiecka
MARCIN KĘDZIERSKI: *Stosunki Warszawa–Berlin nie są dobre*

23 W pewnym wieku
MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA: *W Polsce coraz więcej starszych osób doświadcza smutku, lęku i depresji*

■ ■ PSYCHE

28 Widzę cię



MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

ROZMOWA Z NATALIĄ DE BARBARO: *Istnieje zależność między zgodą na siebie a zgodą na innych. Zajmowanie się sobą jest po to, by otworzyć oczy na to, co poza mną*

■ ■ ŚWIAT

32 Węgry teoretyczne i Węgry faktyczne:
DOMINIK HÉJJ: *Sondaże wieszczą koniec rządów Orbána. Ale premier skrzętnie zabezpieczył interesy swego obozu*

35 Czas eskalacji
MAREK KĘSKRAWIEC: *Gdyby kreślić dziś scenariusz apokalipsy, można wykorzystać do niego wojnę z Iranem*

36 Agonia dyktatury:
MACIEJ STASIŃSKI: *Krach gospodarczy Kuby jest zupełny, o ideologicznym zgonie tzw. rewolucji nie warto mówić. Jak rozsypie się komunistyczny reżim i czy pogrzebie kogoś pod gruzami?*

39 Polerowanie historii
MARTA ZDZIEBORSKA: *Ekipa Trumpa cenzuruje wystawy w muzeach, obiektach historycznych i parkach. Niewygodne fakty muszą zniknąć*

■ ■ WIARA

42 To kwestia nawrócenia
ROZMOWA Z KS. PIOTREM STUDNICKIM: *Z kryzysu przestępstw seksualnych w Kościele wyjdziemy albo ze skrzywdzonymi, albo nie wyjdziemy wcale*

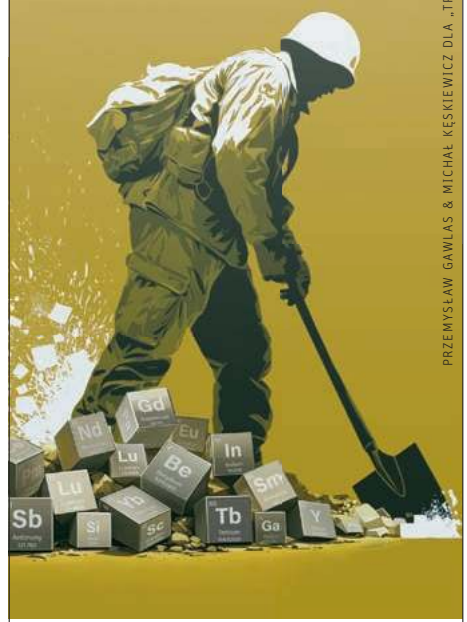
TEMAT TYGODNIKA

10

Wielka gra o metale ziem rzadkich

MARCIN ŻYŁA

Nowa wojna sprawiła, że wszyscy myślimy o ropie. Jednak ważniejsza walka – ta, od której zależy przyszłość Europy – toczy się o inne surowce. Na razie w niej przegrywamy.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

■ DODATEK SPECJALNY ■

Bielsko-Biała
Pierwsza w historii polska stolica kultury 2026

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
26 OLGA DRENDA
60 ELIZA KĄCKA
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY:
MICHAŁ OKOŃSKI

46 Dni zanurzone w sacrum
ARTUR SPORNIAK: *Tajemnicy Zmartwychwstania nie da się wyrazić słowami*

48 Wyśpiewany paradoks
EDWARD AUGUSTYN: *Gorzkie Żale: nabożeństwo, które wciąż zadziwia*

51 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

52 Borsuki kontra Churchill
PATRYCJA BUKALSKA: *Postaci na brytyjskich banknotach zastąpią zwierzęta*

■ ■ NAUKA

56 Sowy mają najtrudniej
ROZMOWA Z MACIEJEM STOLARSKIM: *Osoby wieczorne uważamy za mniej zdolne, mniej sprawne i mniej moralne*

■ ■ ROZMOWA

62 Coś odwiecznego



MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

ROZMOWA Z HANNĄ KRALL: *Z pamięcią jest tak, że musi nastąpić czas jej powrotu. Pamięć schowana przez lata, czasami przez całe życie, zaczyna się dopominać*

■ ■ KULTURA

66 Spóźniony gość
PIOTR KOFTA *o biografii Denisa Johnsona. Zmarły dekadę temu pisarz także u nas nie daje o sobie zapomnieć*

70 Bez wyjścia
MONIKA OCHĘDOWSKA: *Oglądając „Piekło kobiet" pamiętajmy, że każdego dnia ponad 100 kobiet szuka informacji o antykoncepcji i przerywaniu ciąży – i to tylko w ramach jednej organizacji pomocowej*

73 Polecamy

74 Karnawał kina
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Klebera Mendonçy Filho „Tajny agent"*

75 Sztuka opowiadania
LEKTOR *o książce Jacka Dehnela „Historie łajdackie"*

■ ■ ZMYSŁY

78 Co jest grane
DAWID IWANIEC: *Dopóki Ameryka śmieje się ze swoich przywódców i siebie samej, dopóty nasza demokracja ma się całkiem nieźle*

eprasa.pl df2b558170

KS. ADAM

Boniecki: *Post dobiega końca*



GRAŻYNA MAKARA

To było jeszcze w seminarium. Nasz przełożony, warszawski powstaniec, więzień Oświęcimia (z obozu uciekł), był wtedy dla mnie wzorem. Pościł według wskazówek św. Alfonsa Liguori, a ja go naśladowałem. Było to wyczerpujące, ale zostawiło dobre wspomnienia. Przełożony też, choć potem porzucił kapłaństwo i się ożenił.

Podczas Wielkiego Postu człowiek robi pogłębione rachunki sumienia. Nie wiem, czy to cnota, czy starcze lenistwo, ale czuję, że nie mam w sobie złości nawet do ludzi, którzy mnie oczerniają. Wiem, że święty nie byłem, choć na ogół się starałem. Teraz widzę, że nie chodzi tu o dobre wychowanie. Dobre wychowanie otrzymałem, świętości, niestety, nie zdobyłem.

Wyrobiłem w sobie – to na pewno – jakiś styl zachowania „duchownego", nauczyłem się cierpliwie słuchać, chyba w jakimś stopniu nie mądrzyć się, nie przerywać, kiedy ten drugi mówi. Czy to znaczy, że nauczyłem się naprawdę słyszeć, co do mnie mówią? Słyszeć oczywiście słyszę (jeśli mam założone aparaty słuchowe), ale czy na pewno ukrytą za słowami treść? Nie wiem, chciałbym, żeby tak było... Na pewno mówiłem zbyt wiele, na pewno wykraczałem poza ramy, które wyznacza np. natura sakramentu (spowiedzi).

I przyszła starość. Nie sądziłem, że będzie to tak wyraźne, jak się okazało. Można by ten tekst zatytułować „starość księdza". Żadnych drastycznych przejawów, poza kiepskim chodzeniem, wszystko jest niby w porządku. Pozor-



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

MICHAŁ

Okoński: *Co ci mówi twój smartfon*

Ta wojna jest wygrana. Ta wojna jest tak bardzo wygrana, że nie potrzebujemy głupich i tchórzliwych sojuszników z NATO. Ta wojna jest tak bardzo wygrana, że nawet jeśli Irańczycy chcą się poddać, my im na to nie pozwolimy... Co jeszcze powiedział lub powie w najbliższych godzinach i dniach Donald Trump, daremnie próbując ugasić wywołany przez siebie pożar, którego kontekstem są nie tylko śmierć i cierpienie setek ludzi, ale też niepokoje na światowych giełdach i rosnące ceny ropy – zmuszające go nawet do zniesienia sankcji na tę, którą dostarcza... kraj przezeń bombardowany?

Trudno nadążyć za tempem światowych wydarzeń za kadencji obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, nieprawdaż? Tym bardziej powołaniem poważnych mediów jest zauważanie i opisywanie procesów mających dla przyszłości globu znaczenie większe i bardziej długofalowe niż seria chaotycznych wypowiedzi i jeszcze bardziej chaotycznych działań amerykańskiej administracji. Zwłaszcza że rozdających karty supermocarstw

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 61

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl df2b558170

nie. Realna perspektywa rychłej śmierci sprawia, że o prawie wszystkim myśli się inaczej. O tym, jak sądzę, nie potrafię jeszcze pisać. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę potrafił.

Wielkopostne umartwienia? Włosienica nie jest potrzebna, bo skorupa ciała zastępuje ją całkiem nieźle. Umartwieniem może być akceptacja starości. Po prostu (!) zachowanie pogody ducha wtedy, kiedy ciało zaczyna dawać oznaki zużycia.

Tak, to jest dla mnie nowość. I nie chodzi o wspomniane dobre wychowanie, które np. każe ukrywać przed gośćmi skwaśniały stan ducha, ale o wyzwolenie ze stanu niezadowolenia, że nie jest tak jak dawniej, i o dostrzeganie dobrych stron tej nowej sytuacji.

Może dlatego ludzie wiekowi są zwolnieni z kościelnych postów. Post w tym etapie nie jest przecież żadną ascezą, pogoda ducha zaś jest – i to jeszcze jaką. Chodzi o to, żeby w sobie wyrobić taki stan, nie o nieustanne opanowywanie potrzeby narzekań. Człowiek stary i pogodny zawsze jest owocem ascezy, nawet jeśli sam nie wie, że to z ascezą ma coś wspólnego.

Kończy się Wielki Post. Dla niektórych z nas był to ważny czas refleksji nad własnym życiem, może nawrócenia, ale dla nikogo nie powinien być to czas zamknięty. Jego światło ma rozjaśniać całe nasze życie. Może nie będzie to jasność oślepiająca, ale wystarczy, że da dość światła na następny krok. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

mamy w światowej grze więcej niż jedno.

Oto dlaczego zajmujemy się w tym numerze pierwiastkami ziem rzadkich. Trudno wyobrazić sobie bez nich funkcjonowanie nowoczesnych technologii, ułatwiających nam życie, np. smartfonów. Ale są one kluczowe także w przemyśle obronnym, w lotnictwie i w motoryzacji, w medycynie. Problem w tym, że zajęci swoimi sprawami nie zauważyliśmy, jak w wyścigu o ich eksploatację wyprzedziły nas (Europę, ale także Amerykę) Chiny, dziś kontrolujące ponad 90 procent ich produkcji. „Jeśli Pekin, monopolista w przetwarzaniu pierwiastków ziem rzadkich, przestanie wydawać licencje eksportowe, nasz przemysł stanie w ciągu kilku tygodni” – tłumaczy Tobias Gehrke, analityk think tanku European Council on Foreign Relation, cytowany w artykule **MARCINA ŻYŁY**. Skalę wywołanego tym kryzysu nietrudno sobie wyobrazić.

Pomyślcie o tym, przeglądając na ekranie smartfona (zbudowanego m.in. dzięki neodymowi, itrowi, lantanowi czy kobaltowi) nowe wydanie „Tygodnika Powszechnego”. Reakcje na kolejne posunięcia Donalda Trumpa znajdziecie w nim również, oczywiście – we właściwych proporcjach. ©℗

Zastępca redaktora naczelnego, autor książek o futbolu, laureat nagrody Grand Press w kategorii Publicystyka i Nagrody im. Mariusza Waltera w kategorii Sport w mediach.

TP W PRZYSZŁYM TYGODNIU



- **RYSZARD KOZIOŁEK:** a potem umarł
- **ZUZANNA RADZIK:** krzątanina Wielkiej Soboty
- **MARCIN MAJEWSKI:** co naprawdę zdarzyło się w Jerozolimie
- **CVETA DIMITROVA:** wybacz sobie
- **JON FOSSE:** jak zostałem katolikiem
- **MAREK RABIJ:** złote czasy dla złota
- **TOMASZ STAWISZYŃSKI:** jaką grę przeszedł Trump
- **KWIAT JABŁONI:** muzyka i dobre rodzeństwo
- **MICHAŁ KUŹMIŃSKI:** łączy nas sałatka
- **STANISŁAW ŁUBIEŃSKI:** w ptasich gniazdach zaczyna się życie

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl df2b558170

OBRAZ TYGODNIA

17 – 23 MARCA 2026

ULTIMATUM ZA ULTIMATUM: w trzecim tygodniu operacji przeciwko Iranowi Donald Trump zagroził atakami na infrastrukturę energetyczną tego kraju, na co Teheran odpowiedział groźbami całkowitego zamknięcia kluczowej dla transportu ropy cieśniny Ormuz. ■■■ **ROSNĄ CENY** surowca, a związku z tym USA zapowiadają zniesienie sankcji na 140 mln baryłek... irańskiej ropy, znajdującej się na tankowcach. ■■■ **3200 STATKÓW** jest uwięzionych w Zatoce Perskiej i nie może przepłynąć przez Ormuz. ■■■ **PAŃSTWA NATO** to „tchórze" – grzmi prezydent USA, bo członkowie Sojuszu nie kwapią się do zaangażowania w rozpoczętą przezeń operację. ■■■ **IRAN ODPOWIADA:** zbombardował m.in. instalacje gazowe w Katarze, co spowodowało wzrost cen gazu na światowych rynkach (wcześniej irańskie złoża gazowe zbombardowali Izraelczycy). ■■■ **ARMIA IZRAELSKA** kontynuuje ataki na Liban, wciągnięty do wojny przez Hezbollah, który usiłował pomścić ajatollaha Chameneiego rakietowym ostrzałem Izraela. Liczba zabitych Libańczyków przekroczyła tysiąc. ■■■ **MOSKIEWSKA OFERTA** dla Waszyngtonu opiewa na zawieszenie dzielenia się z Teheranem danymi wywiadowczymi pod warunkiem wstrzymania przez USA pomocy wywiadowczej dla Kijowa. ■■■ **W ROSJI** władze na kilka dni sparaliżowały działalność popularnego komunikatora Telegram. Firma uważa, że celem tych działań jest ograniczenie jej niezależności. ■■■ **WĘGIERSCY DYPLOMACI** regularnie informują Rosjan o przebiegu szczytu UE – twierdzi „Washington Post". W Brukseli Budapeszt blokował unijną pożyczkę dla Ukrainy, debatowano również o reformie systemu handlu emisjami ETS. ■■■ **VIKTOR ORBÁN** otrzymał przed zbliżającymi się wyborami „całkowite" poparcie Donalda Trumpa, ale sondaże sugerują, że po raz pierwszy od 2010 r. jego partia straci władzę. ■■■ **MAŁŻEŃSTWA JEDNOPŁCIOWE** zawarte za granicą można wpisywać do rejestru stanu cywilnego – orzekł Naczelny Sąd Administracyjny, uchylając wyrok stołecznego sądu. Orzeczenie zapadło po zeszłorocznym wyroku TSUE. ■■■ **ZAKAZ TELEFONÓW** w szkołach podstawowych ma wejść w życie 1 września – poinformowała szefowa MEN Barbara Nowacka. ■■■ **KANCELARIA ROMANA GIERTYCHA** reprezentująca Getin Noble Bank w sporach z frankowiczami pobiera premie za każdy rok opóźnienia – Wirtualna Polska podała nawet kwotę: 8,7 mln zł. Wielu procesujących się do dziś nie usłyszało wyroku w swojej sprawie. ■■■ **POLSKA 2050** Szymona Hołowni zmieniła nazwę na Polska 2050 Rzeczypospolitej Polskiej. Nową przewodniczącą jest Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, ale jej nazwisko nie trafiło do nazwy ugrupowania. ■■■ **ZŁOTA MONETA** z wizerunkiem Donalda Trumpa została zatwierdzona przez Federalną Komisję Sztuk Pięknych. Nominału nie znamy, ale wiemy, że będzie 24-karatowa i zostanie wybita z okazji 250. rocznicy niepodległości USA. ■■■ **CHUCK NORRIS** nie żyje, choć z reakcji na tę wiadomość może wynikać, że i tak jest nieśmiertelny. ©℗



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

POWYŻEJ:
Kard. Grzegorz Ryś w Marszu Pamięci z okazji 83. rocznicy likwidacji krakowskiego getta, Kraków, 15 marca 2026 r.

SKĄD TA BURZA

Nauczanie Kościoła o Żydach zmieniło się 61 lat temu. Zmianę potwierdzili kolejni papieże, w tym ogłoszony świętym Polak. W końcu się przyzwyczaimy, tak jak się przyzwyczailiśmy, że maszyna parowa nie jest wynalazkiem diabła.

MICHAŁ OKOŃSKI

Jedyne, co zastanawia w awanturze wokół nowego dokumentu episkopatu, to fakt, że w ogóle wybuchła. Przecież w zgodnej opinii komentatorów z lewa i prawa głos biskupów w laicyzującym się kraju traci na znaczeniu, a wśród topniejącej liczby uczestników niedzielnych mszy listy pasterskie to symbol ogólnie słusznego banału. Ba, zdarza się, że zatroskani o ewangelizację kaznodzieje rezygnu-

eprasa.pl df2b558170



Fakt nadprzyrodzony

DOKUMENT ▪ W 1997 r., mówiąc o korzeniach antyjudaizmu w środowisku chrześcijańskim, św. Jan Paweł II nazwał trwanie Izraela „faktem nadprzyrodzonym". „Ten lud trwa na przekór i wbrew wszystkiemu dlatego, że jest ludem Przymierza" – stwierdził papież. Powrót do źródeł i teologiczna refleksja nad tajemnicą trwania Izraela, podjęta w XX wieku – szczególnie wobec straszliwej tragedii Szoah (Zagłady), jaka dokonała się w Europie – zaowocowały nowym, zakorzenionym w apostolskiej tradycji nauczaniem Kościoła o Żydach i judaizmie.

Zainspirowana soborową deklaracją refleksja Kościoła ukazuje coraz wyraźniej więzi łączące Żydów i chrześcijan. Są nimi szczególnie: cześć dla Słowa Bożego, modlitwa i liturgia, a także mesjańska nadzieja przyszłości. Bo „gdy lud Boży Starego i Nowego Przymierza rozważa przyszłość, zmierza on – nawet jeśli wychodzi z dwu różnych punktów widzenia – ku analogicznym celom: przybyciu lub powrotowi Mesjasza".

Fragment listu KEP z okazji 40. rocznicy wizyty Jana Pawła II w rzymskiej Synagodze Większej

ją z lektury albo – jak robił śp. ojciec Kłoczowski – ograniczają się do odczytania „istotnych myśli", znajdując ich w tekście jedną czy dwie.

W tę niedzielę rezygnujących – jak wnoszę z gwałtownych reakcji w mediach społecznościowych – było jednak więcej niż kiedykolwiek, ale powodem nie było poczucie, że z duszpasterskiego punktu widzenia szkoda czasu na lekturę. Dokument zresztą wychodzi od czytań na 5. niedzielę Wielkiego Postu, czyli jesteśmy tam, gdzie powinniśmy być: przy rozumieniu Słowa (co pozwala zresztą zidentyfikować osobę autora: kard. Grzegorza Rysia).

Opór związany był z tematem listu: z okazji 40. rocznicy wizyty Jana Pawła II w rzymskiej synagodze biskupi przypomnieli podstawowe kwestie związane ze stosunkiem Kościoła do Żydów i judaizmu; stosunkiem, dla którego kontekstem od stuleci jest antysemityzm.

DLACZEGO AWANTURA wokół listu jest ciekawsza niż jego treść? Bo wbrew jeremiadom tradycjonalistycznego komentariatu nie mamy tu do czynienia z próbą podważenia fundamentów tradycji apostolskiej czy wręcz herezją, a raczej z dość elementarnym przypomnieniem o zmianie, która w nauczaniu Kościoła dokonała się na Soborze Watykańskim II po przyjęciu deklaracji „Nostra aetate", a którą wizyta papieża w synagodze tylko symbolicznie potwierdziła.

To nie herezje, a oczywistości, solidnie już osadzone w nauczaniu: dokumentach Soboru, wystąpieniach papieży (z których jeden został świętym), a także w Katechizmie Kościoła Katolickiego, który zresztą w punkcie dotyczącym nieobwiniania Żydów za śmierć Jezusa odwołuje się do bliskiego tradycjonalistom Katechizmu Rzymskiego.

Jakie to oczywistości? Antysemityzm jest grzechem przeciwko Bogu i ludzkości, jak zresztą każdy przejaw nienawiści. Kościół, próbując zrozumieć siebie samego, spotyka judaizm (jak powiedział Jan Paweł II do zgromadzonych w rzymskiej synagodze: „Religia żydowska nie jest dla naszej religii zewnętrzna, lecz w pewien sposób wewnętrzna. (...) Jesteście naszymi umiłowanymi braćmi i w pewien sposób, można by powiedzieć, naszymi starszymi braćmi").

Zawsze wierny swoim obietnicom Bóg nie odwołał Pierwszego Przymierza, mówienie o Żydach jako narodzie wybranym jest więc wciąż uprawnione (co – na marginesie – nie osłabia prawdy o zbawieniu dokonanym za sprawą Jezusa).

To oczywistości teologiczne, ale są też te związane z historią Kościoła i jego wpływem na dzieje ludzkości. Owszem, błędnie interpretując Pismo Święte, chrześcijanie przez stulecia przyczyniali się do wzrostu antysemityzmu. Żeby znów odwołać się do papieża Polaka: z odpowiedzialnością za prześladowania Żydów, pogromy, w końcu zaś za Zagładę, Jan Paweł II mierzył się tak jak np. z krucjatami, inkwizycją, dyskryminacją rasową czy nierównością płci podczas zamykającego drugie tysiąclecie wyznania win.

DLACZEGO PRZYWOŁANIE tych oczywistości wywołuje burzę? Skąd wrażenie regresu, jaki dokonał się w ciągu ostatnich lat?

Hipotez jest kilka, jedna wiąże się oczywiście z tym, że antysemityzm znów okazuje się w Polsce politycznym paliwem; na elektorat, który zgromadził Grzegorz Braun, chętnych jest więcej, a oktanów dodały mu także (nie tylko u nas zresztą) izraelskie zbrodnie w Gazie.

Inna mówi, że to, co uważam za oczywistości, wciąż się u nas nie przyjęło – i może trudno się dziwić, bo kilkadziesiąt lat to na tle kilkunastu wieków niewiele, a nie brakuje biskupów i księży, którzy te akurat wątki nauczania, nawet jeśli płynęły z ust Świętego Rodaka, pomijali.

Kolejna to związany z pojawieniem się mediów społecznościowych kryzys komunikacji: mocne sądy, radykalne opinie w tej przestrzeni rozchodzą się szerzej niż cichy głos oparty na przykazaniu miłości. Jeśli chrześcijaństwo w dzisiejszym świecie, np. wśród władców Ameryki, wydaje się atrakcyjnym narzędziem, to właśnie w wydaniu „inkwizycyjnym", chętnym do sięgania po przemoc w imię – dość osobliwie zresztą – rozumianej Prawdy.

BĄDŹMY JEDNAK SPRAWIEDLIWI: w jednym punkcie list episkopatu nie jest oczywisty: tam, gdzie streszczenie nauczania przechodzi w zaproszenie. Biskupi zachęcają, by odwiedzać wciąż istniejące w Polsce synagogi: „Wspomnijmy mężczyzn i kobiety, których modlitwami przez wieki nasiąkały mury bożnic. A tam, gdzie jest to możliwe, spotkajmy się z żydowskimi siostrami i braćmi".

Tak, samo nazwanie ludzi sobie nieznanych, innych i wierzących w kompletnie coś innego, „siostrami i braćmi" może się wydawać w dzisiejszych czasach dziwne. W sumie trochę jak chrześcijaństwo. ©℗

eprasa.pl df2b558170



Jak żyć z ETS

JAKUB WIECH

Na forum ostatniego unijnego szczytu wrócił system handlu emisjami ETS. W polskich debatach, czy z systemu wyjść lub jak go pogrzebać, popełnia się trzy kardynalne błędy.

Po pierwsze: to wszystko już było, i do niczego konstruktywnego nie doprowadziło. To, co robią obecnie posłowie PiS i kandydat tego ugrupowania na premiera Przemysław Czarnek – prezentujący projekt ustawy o wyjściu z systemu – robili już ich poprzednicy, m.in. Mateusz Morawiecki. Jednostronne wyjście z systemu jest możliwe tylko w przypadku wyjścia z UE.

Po drugie: forma debaty może odbić się negatywnie na unijnych negocjacjach w sprawie rewizji systemu. Na szczycie 19-20 marca uzgodniono, że Komisja Europejska do lipca przygotuje propozycję korekt w ETS, i wezwano ją do stworzenia instrumentów, które obniżą ceny energii w państwach członkowskich z „uwzględnieniem zróżnicowanej sytuacji" tychże krajów. To sformułowanie można traktować jako uchylenie drzwi do rozmów, których efektem może być lepsze dopasowanie zarówno systemu ETS, jak i innych regulacji unijnych (np. ETS 2) do warunków gospodarczych, politycznych i społecznych poszczególnych członków – czyli chociażby do wysokiej intensywności emisji w Polsce. Potencjalne okopanie się na pozycjach „wyrzucenie ETS albo śmierć" to droga do pozbawienia się pozycji negocjacyjnej.

Po trzecie: debata odbywa się w momencie kolejnego kryzysu energetycznego, który wynika nie z polityki klimatycznej (czyli np. ETS), ale z zaburzeń w dostawach surowców energetycznych – w tym przypadku z Zatoki Perskiej. W wyniku ataku USA i Izraela na Iran ceny gazu w UE wzrosły z 30 euro w lutym do prawie 70 euro za MWh w połowie marca. Sam ten wzrost podniósł koszty energii elektrycznej na unijnym rynku hurtowym dwukrotnie bardziej niż koszt uprawnień do emisji. Co więcej: obecnie koszt ETS stanowi maksymalnie ok. 10 proc. końcowego rachunku za energię elektryczną dla gospodarstw domowych w UE, czyli mniej niż średnia unijna stawka VAT na prąd (18 proc.). Tymczasem ETS od 2005 r. obniżył emisję – a więc i zużycie kopalin – w objętych nim sektorach o 47 proc. Osłabianie systemu w takiej sytuacji brzmi jak niszczenie gaśnicy w trakcie pożaru.

ETS ma wady: ceny uprawnień się zmieniają, handel nimi obarczony jest spekulacją, ciężary finansowe emisji rozkładają się nierówno między członków UE. Ale zrzucanie na niego winy za całe zło panujące na rynkach energii, wykrzywianie jego roli czy przedstawianie go jako sklepu całodobowego, do którego można wejść i wyjść w każdej chwili, problemu nie rozwiązuje – przeciwnie, dokłada kolejne. ©

Autor jest redaktorem naczelnym portalu Energetyka24.com



MARCIN OBARA / EAST NEWS

Ministra klimatu Paulina Hennig-Kloska i prezeska Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej Dorota Zawadzka-Stępniak na konferencji w sprawie kierunku zmian w systemie ETS. Warszawa, 19 marca 2026 r.



Lex Amnezja

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Oto krótka historia o państwie, które zadziałało jak rzadko, ale gdy opadł medialny kurz, zaczęło działać jak zwykle.

Trzy lata temu do Górnośląskiego Centrum Zdrowia Dziecka trafił ośmioletni chłopiec, Kamilek. Poparzony, bo ojczym oblewał go wrzątkiem i sadzał na piecu. Jego losem przejęli się liczni dziennikarze, a w ślad za nimi cała Polska. Chłopcu Polska kibicowała dokładnie trzydzieści pięć dni, gdyż po tylu dniach zmarł.

Ruszyła fala słusznego oburzenia: dziecko było przecież miesiącami katowane, a przy tym ciągle ocierało się o rozmaite służby i instytucje – od szkoły, przez ochronę zdrowia, po pomoc społeczną. Historia Kamilka zapełniała więc szpalty gazet, nagłówki portali. Grzmieli politycy, a eksperci pytali: „Co jeszcze musi się stać, by polskie państwo uznało temat za ważny?".

Ponad dwa lata temu polskie państwo uznało temat za ważny. Uchwalono ustawę „lex Kamilek". Wprowadziła standardy ochrony małoletnich w każdej instytucji mającej styczność z dziećmi. Powołała – na wzór brytyjski – zespół analizujący drastyczne przypadki przemocy wobec dzieci. Taki zespół – zamarzyli sobie eksperci – śledziłby poszczególne przypadki śmierci, a potem wydawał wytyczne. „Halo – alarmowaliby eksperci – dziewczynka A z miasta B zginęła, bo lekarz nie zgłosił siniaków do MOPS, a chłopiec X z miejscowości Y, bo pomoc społeczna nie ma żadnego asystenta rodziny". Na tej podstawie poszczególne ministerstwa zmieniałyby prawo, tak jak konstruktorzy samolotów zmieniają ich konstrukcję po wypadku.

Rok temu „cud działającego państwa" trwał w najlepsze. Wymóg standardów ochrony, choć czasami krytykowany, działał, a zespół ds. analizy zdarzeń (pod wodzą dr. Grzegorza Wrony, cenionego adwokata i eksperta) ogłosił pierwszy raport.

Kilka dni temu dr Wrona udzielił wywiadu Wirtualnej Polsce. Powiedział m.in., że nie mamy sprawozdania z realizacji procedury Niebieskich Kart za rok... 2024, więc on – jako osoba prywatna – takie statystyki sam sobie zbierał (znana działaczka na rzecz dzieci Anna Krawczak porównała to do sytuacji, w której MON nie wie, ile Polska ma czołgów). Powiedział, że rekomendacje zespołu trafiają w zasadzie w próżnię, tzn. nie są wdrażane przez resorty. Powiedział, że momentami jest bezradny.

Czas mija, a takich chłopców jak Kamilek jest w kraju rocznie... No właśnie, nawet tego nie wiemy. Polska, jak donosi dr Wrona, nadal nie dorobiła się sprawnej metody zbierania stosownych statystyk. Co więc jeszcze musi się stać, by polskie państwo... ©℗

eprasa.pl df2b558170



MATEUSZ GROCHOCKI / EAST NEWS

Festiwal Czasu Wolnego Laba w domkach fińskich na Jazdowie w Warszawie

Wspólnota daje szczęście

STYL ŻYCIA ▪ Polska 24. najszczęśliwszym krajem świata – tuż za Niemcami i USA, a przed Kanadą, Francją i Włochami. To wyniki najnowszej edycji rankingu 147 krajów, w których życie przynosi najwięcej satysfakcji i najmniej zgryzot. Zestawienie Instytutu Gallupa przygotowywane we współpracy z ONZ i Uniwersytetem Oksfordzkim bierze pod uwagę sześć czynników. To PKB na osobę, oczekiwana długość życia w zdrowiu, świadomość wsparcia ze strony osób, na które można liczyć, wolność podejmowania wyborów, szczodrość (głównie wspieranie organizacji charytatywnych) i wreszcie: dostrzeganie skali korupcji we własnym kraju. W porównaniu z ubiegłoroczną edycją, Polska przesunęła się w górę o dwie pozycje.

Na szczycie rankingu tradycyjnie dominują kraje skandynawskie, które zajęły aż sześć z siedmiu najwyższych miejsc. Finlandia wygrywa zestawienie już dziewiąty raz z rzędu. Dalej mamy Islandię i Danię, ale sporym zaskoczeniem jest czwarta pozycja Kostaryki, która jeszcze w 2020 r. plasowała się na 16. miejscu (Polska była wówczas 44.). W podsumowaniu wyników autorzy raportu wskazują, że dla odczuwania szczęścia jakość relacji międzyludzkich ma o wiele większe znaczenie niż rozwój gospodarczy. Doskonały przykład stanowi Korea Południowa, która w ciągu minionej dekady zwiększyła PKB niemal o jedną trzecią, a w rankingu szczęścia spadła z 55. na 67. miejsce.

Twórcy zestawienia z rezygnacją przyjmują do wiadomości jeszcze jedną konkluzję. W czołówce już drugi rok z rzędu nie ma ani jednego kraju anglojęzycznego. Australia jest 10. Stany Zjednoczone uplasowały się na miejscu 23., zaledwie oczko wyżej od Polski. Kanada jest tuż za nami, na 25. pozycji. Wielka Brytania – dopiero na 29., czyli aż sześć oczek niżej niż rok wcześniej. Zdaniem autorów badania, może to zapowiadać zbliżający się kryzys anglosaskiej *soft power*, która praktycznie od zakończenia II wojny światowej, z różnym nasileniem, kształtowała gusty i stanowiła swoisty punkt odniesienia dla wyobrażeń milionów mieszkańców globu o dostatnim, szczęśliwym życiu.

Polska – którą w rankingu sklasyfikowano po raz pierwszy w roku 2011 na miejscu 53. – przeszła w tym czasie dużą metamorfozę w niemal wszystkich ocenianych sferach życia. Znamienne jednak, że w przeciwieństwie do mieszkańców z czołówki rankingu szczęście utożsamiamy przede wszystkim z zamożnością. Wysoko oceniamy także swój potencjał solidarnościowy, najczęściej kojarzony z najbliższą rodziną. Wolność podejmowania codziennych wyborów, szanse na długie życie w dobrym zdrowiu i zagrożenie korupcją mają dla nas mniejsze znaczenie.

©℗ MAREK RABIJ

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl df2b558170

TEMAT TYGODNIKA

WIELKA GRA O METALE ZIEM RZADKICH

Nowa wojna sprawiła, że wszyscy myślimy o ropie. Jednak ważniejsza walka – ta, od której zależy przyszłość Europy – toczy się o inne surowce. Na razie w niej przegrywamy.

MARCIN ŻYŁA



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

eprasa.pl df2b558170

Wybuch dynamitu i tylko nieznacznie cichsze oklaski urzędników oznajmiły w lutym otwarcie w fińskim Kaustinen pierwszych w Europie kopalni i zakładu przetwarzania litu. Imponująca, obejmująca tereny trzech gmin inwestycja przez dwie dekady będzie dostarczać metal potrzebny do produkcji wszystkiego, co ma baterie – od szczoteczek elektrycznych po drony.

Kilka lat temu kopalnia odkrywkowa w środku lasu wzbudziłaby u Finów kontrowersje. Teraz Finnish Minerals Group, państwowa spółka z udziałami w zakładzie, zmienia logo na zielone i zapowiada budowę „zrównoważonego łańcucha dostaw materiałów do baterii".

Kaustinen pokazuje paradoksy wyścigu o nowe, kluczowe surowce: złoża są często w miejscach cennych ekologicznie i żeby przestawić się na zieloną energię, trzeba planetę jeszcze trochę zanieczyścić. A to tylko lit – obok kobaltu czy platyny jeden z kilkudziesięciu surowców krytycznych, które pozwalają np. na modernizację armii.

Prawdziwa walka rozgrywa się o siedemnaście z nich.

To jest bomba

Nazywa się je metalami lub pierwiastkami ziem rzadkich. Wszystkie przewiną się w tym tekście. Zaczniemy jednak od *science fiction*.

W serialu „For All Mankind", który opowiada alternatywną historię podróży w kosmos, ludzkość przechwytuje bogatą w najcenniejsze surowce asteroidę. Nagły do nich dostęp wywraca stosunki gospodarcze na Ziemi do góry nogami. Zyskują ci, którzy potrafią je wydobywać i przetwarzać. Czy dziś jesteśmy w podobnym momencie?

– Nazwę „pierwiastki ziem rzadkich" znamy od XIX w., ale dopiero teraz zaczęły one zmieniać relacje między państwami – mówi prof. Paweł Bogacz z Wydziału Inżynierii Lądowej i Gospodarki Zasobami Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. – Pojawiło się oręże, którym w geogospodarce już się wojuje.

– To bomba atomowa umieszczona pod rdzeniem europejskiego przemysłu. Można ją zdetonować w każdej chwili – dodaje Tobias Gehrke, analityk think tanku European Council on Foreign Relations. – Jeśli Chiny, monopolista w przetwarzaniu pierwiastków ziem rzadkich, przestaną wydawać licencje eksportowe, nasz przemysł stanie w ciągu kilku tygodni.

Chiny pierwsze doceniły znaczenie pierwiastków ziem rzadkich. Obecnie kontrolują ponad 90 proc. ich produkcji. To kluczowe, bowiem z dysprozem (**Dy**, odpowiada za czujniki położenia auta) i lutetem (**Lu**, pomaga w terapii nowotworów, zwłaszcza raka prostaty) jest inaczej niż z węglem – od wydobycia do załadowania do wagonów droga jest długa. I wymaga technologii, których w Europie nie ma.

Pstryczek minerałek

Pierwiastki ziem rzadkich mają szczególne właściwości. Ich występowanie jest uzależnione od warunków geologicznych. Tylko gdzieniegdzie są w ilościach czyniących eksploatację takich złóż opłacalną.

Ich supermoc tkwi w fakcie, że pozwalają tworzyć dużo silniejsze, mniejsze i bardziej odporne na temperaturę magnesy niż te powstające z wykorzystaniem innych materiałów. Magnes wykonany dzięki neodymowi (**Nd**, bez niego nie byłoby dobrej jakości głośników Bluetooth) jest kilkanaście razy silniejszy od tej samej wielkości magnesu z lodówki. Bez neodymu słuchawki nie mogłyby być mniejsze od kubka do kawy, a drony ważyłyby dwa razy więcej. Jakość TikToka istotnie by się pogorszyła – to, wbrew pozorom, wciąż możliwe – gdyby nie lantan (**La**, sprawia, że stosując pięciokrotny zoom w smartfonie, dostajemy jasne zdjęcia).

Oczywiście, można uznać, że słuchawki i smartfony to gadżet. Że świat i tak by się rozwijał, gdyby nie samar (**Sm**, stosowany we fluorescencyjnych zabezpieczeniach banknotów euro) czy erb (**Er**, dzięki zastosowaniu go w laserach usuwamy tatuaże i „odmładzamy" skórę). Jednak bez metali ziem rzadkich nie byłoby zielonej transformacji – która w praktyce jest największą w historii elektryfikacją świata.

Prof. Przemysław Skulski z Katedry Makroekonomii Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu: – Bez metali ziem rzadkich trudno wytwarzać nowoczesne urządzenia. Badania nad tym, czy i czym można je zastąpić, są w powijakach. Najbardziej rozwinięte gospodarki są od tych pierwiastków uzależnione.

Innymi słowy, sukces turbin wiatrowych, samochodów elektrycznych, pomp ciepła, nowoczesnych sieci energetycznych i magazynów energii opiera się na pierwiastkach ziem rzadkich. – Każde urządzenie, które ma choć jeden włącznik, prawdopodobnie zawiera jakiś pierwiastek ziem rzadkich – wyjaśnia Tobias Gehrke. – Cały sektor ich wydobycia wart jest teraz ok. 6 mld dolarów. To stosunkowo niewiele. Ale rynek produktów końcowych wytwarzanych z ich użyciem szacuje się już na 10 bln dolarów.

Rynek ten rośnie dzięki nowym technologiom, co najlepiej widać w motoryzacji. Po pierwsze, wzrasta zapotrzebowanie na baterie i akumulatory. Po drugie, w pojazdach jest coraz więcej elektroniki. Terbu i europu (**Tb** i **Eu**, odpowiadają za kolory na ekranach LED) używa się w samochodowych wyświetlaczach. Lantan znajduje się w kondensatorach. A wszystkie są odporne na korozję.

Cierpliwość po chińsku

Wyścig zaczął się na początku wieku, lecz o tym, że ktoś już w nim biegnie, Europa zorientowała się dopiero półtorej dekady temu.

W 2012 r., po skargach USA, UE i Japonii, Światowa Organizacja Handlu wszczęła pierwsze dochodzenie ws. chińskich ograniczeń eksportowych. Wtedy problem nie wydawał się palący: po świecie jeździło ledwie 2,5 tys. elektrycznych Tesli i nikt nie wyobrażał sobie tak potężnego wpływu sztucznej inteligencji. Gdy w Kalifornii, kanadyjskich Terytoriach Północno-Zachodnich, Australii i RPA zwiększono wydobycie, ceny minerałów nawet chwilowo spadły.

Ale Chińczycy cierpliwie czekali. Bo nowe mapy świata surowców kreśli się nie w trzech, lecz w czterech wymiarach. Można powiedzieć: w czasoprzestrzeni.

– Prace nad technologiami pozyskiwania i separacji metali ziem rzadkich Chińczycy rozpoczęli kilkadziesiąt lat temu – mówi prof. Skulski. – Już kilkanaście lat temu budowali specjalne rafinerie. Kosztami ekologicznymi nikt się wtedy nie przejmował – wiedzieli, że chwytają Zachód za gardło. W Chinach pracuje się według planów wybiegających na dekady wprzód.

Przetwarzanie to proces „brudny". Powstają odpady i zanieczyszczenia. Trzeba sobie zadać sporo trudu i wydać dużo ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ pieniędzy, aby ograniczyć wpływ na środowisko.

– Dlatego Europa pozbyła się tego problemu – tłumaczy prof. Skulski. – Kupowanie od Chińczyków wydawało się wygodne. Był to kolosalny błąd: dostarczanie czegoś, co jest kluczowe dla naszego rozwoju, uzależniliśmy od dobrej woli jednego kraju.

W 2025 r. w świecie, niemal wyłącznie w Chinach, przetworzono 196 tys. ton metali ziem rzadkich (ponad dwukrotnie więcej niż na początku wieku). W Państwie Środka znajduje się 35 proc. zidentyfikowanych dotąd złóż. Wietnam, Brazylia, Australia, Skandynawia i Rosja – to drugi szereg.

– Amerykanie szukają u siebie praktycznie wszędzie – dopowiada prof. Skulski. – W Polsce wspomina się o Suwalszczyźnie, Sudetach i Świętokrzyskiem. Ale tak naprawdę, wciąż nie wiemy, co, gdzie i ile tych złóż jest.

Mapa za milion

Po trzech złotych okresach kartografii – wieku XVI, gdy tworzyliśmy pierwszy całościowy obraz świata; XIX, gdy pomiary określiły wysokość gór i granice działek; i po zimnej wojnie, gdy zdjęcia lotnicze i satelitarne sprawiły, że na powierzchni wszyscy widzą wszystko – trwa właśnie czwarty złoty okres. Mierzymy to, czego nie widać. W roli kwadrantów, punktów triangulacyjnych czy samolotów szpiegowskich występują radary, które penetrują lód i skały.

Pierwiastki ziem rzadkich występują zwykle w skałach magmowych, zwanych karbonatytami. Dotąd ich badania nie cieszyły się estymą.

Teraz dr Eimear Deady, geolożka z British Geological Survey, ma głównie jedno zadanie: śledzić poszukiwania nowych złóż. – Na swojej liście mam kilkanaście firm prowadzących poszukiwania w Finlandii, Norwegii, Hiszpanii, Szwecji i Turcji – mówi „Tygodnikowi". – Ale najwięcej szuka się na Grenlandii.

Pięć lat temu władze tego terytorium zakazały wydobywania pierwiastków ziem rzadkich. Nikt jednak nie zabronił inwentaryzacji. Prace prowadzą mniejsze firmy, które w razie sukcesu sprzedają projekty koncernom.

Eimear Deady: – Na razie potrafimy z zyskiem izolować pierwiastki ziem rzadkich z zaledwie pięciu spośród kilku tysięcy minerałów. W kompleksie intruzji magmowych Ilímaussaq na południowym wschodzie Grenlandii są one zmieszane z eudialitem. Gdy próbuje się je oddzielić, powstaje żel, który blokuje urządzenia. Firma prowadząca projekt stara się rozwiązać ten problem od ośmiu lat. Szczegóły są tajne.

Naukowcy z Europy opracowują też mapę tego, co znajduje się pod lodem Antarktydy. Wykorzystując AI odkryli ukryte tu góry, doliny i kaniony. Kilkadziesiąt lat po poprzednich pomiarach, amerykańska Narodowa Agencja Oceanów i Atmosfery – taka NASA, tyle że zajmująca się Ziemią – publikuje nową serię precyzyjnych map nawigacyjnych dla statków pływających po uwalnianych przez lód wodach Antarktyki i Arktyki. Narodowa Akademia Nauk w Waszyngtonie pracuje nad modelowaniem układu mórz północnych... w piątej dekadzie tego wieku.

Dr Deady mówi, że jako naukowczynię cieszą ją te wszystkie projekty. Przecież danych można użyć do walki ze skutkami zmian klimatu. Ale mało który doczekałby się tak wysokiego finansowania (na opracowanie nowej mapy minerałów uniwersytet w Cambridge dostał milion funtów), gdyby nie obietnica wysokiej stopy zwrotu.

Apetyt na konkrecje

Największą nierozpoznaną pod kątem bogactw powierzchnią Ziemi jest dno oceanów. Które ma też wielką zaletę – nie należy do żadnego państwa.

Międzynarodowa Organizacja Dna Morskiego (ISA) – organ ONZ najwyraźniej tak nieistotny, że nie doczekał się nawet hasła w polskiej Wikipedii – wydaje pozwolenia na eksploatację Strefy Clarion–Clipperton. Jest to równy powierzchnią UE fragment dna Pacyfiku między Meksykiem a Hawajami. Tworzone przez szczątki planktonu i mikroskopijne muszle dno jest tu doskonale płaskie. W tym najwolniej zmieniającym się środowisku na Ziemi, cztery i pół kilometra pod wodą, w ciemności i ciszy, gdzie nie ma prądów wodnych ani roślin, spoczywają konkrecje polimetaliczne – coś jakby kamienie, nie większe od ludzkiej dłoni, pełne kobaltu, żelaza i pierwiastków ziem rzadkich.

W śladowych ilościach występują tu: cer (**Ce**, dzięki niemu ekrany smartfonów są idealnie gładkie) oraz itr (**Y**, dodając go do cyrkonii, uzyskujemy „naturalną" biel implantów stomatologicznych). Nic, tylko po nie sięgnąć. Ostatniego lata badania prowadziło w tym regionie 17 państw – od Rosji przez Polskę po Nauru.

Nie wszystkie dotyczą eksploatacji. Celem wielu jest poznanie flory i fauny – tak niezwykłej, że Strefę Clarion–Clipperton prawo międzynarodowe, na równi z Księżycem, uznaje za wspólne dziedzictwo ludzkości. Pokrywające dno osady są delikatne. Każdorazowe podniesienie z niego konkrecji byłoby jak nieudany ruch w bierki – oznaczałoby śmierć gąbek, małż czy mszywiołów w dennym pyle. Przez pewien czas ich życie jest jeszcze niezagrożone, bowiem skonstruowanie pojazdów poruszających się w miejscu, gdzie ciśnienie wynosi 500 atmosfer, jest tak samo trudne i drogie jak projektowanie statków kosmicznych.

Jednak projekty nad podwodnymi kombajno-dronami są już zaawansowane. Głównie w USA. Kilka miesięcy temu ISA wydała oświadczenie, w którym napisano, że dna oceanów stają się powoli nowym „dzikim Zachodem".

Tylko tyle mogła.

Autostrady na zaś

Grenlandię i Strefę Clarion–Clipperton łączy fakt, że pozyskiwanie stąd pierwiastków ziem rzadkich jest zakazane i po prostu się nie opłaca. Ale jedno i drugie może się zmienić. Przecież gdy John F. Kennedy wyznaczał datę lotu na Księżyc, Amerykanie nie wiedzieli, jak tego dokonać. A Chińczycy pokazali, że w kwestii surowców popłaca cierpliwość.

– Technologie się rozwijają – mówi prof. Skulski. – Nawet jeżeli coś jest teraz nieopłacalne, za 20 lat może być inaczej. A jeżeli ktoś położy na danym regionie rękę – to będzie już jego. Może czekać dekady, nikt mu tego nie zabierze.

To tłumaczy logikę działania nie tylko Donalda Trumpa, lecz też innych polityków zabezpieczających swoim krajom złoża na przyszłość. Tu znów przykład Chin. Budowane przez nie we wschodniej Afryce wygodne drogi z podejrzanie wytrzymałą nawierzchnią urywają się na razie na granicy Demokratycznej Republiki Konga. Ale gdy wygaśnie konflikt w tym kraju, dobudowanie ostatnich kilkudziesięciu kilometrów potrwa tylko

eprasa.pl df2b558170

kilka miesięcy. Jeszcze raz: gra o bogactwa jest rozpisana na dekady.

Wróćmy do Europy, która przespała początek wyścigu o pierwiastki ziem rzadkich. Unijne rozporządzenie ws. surowców krytycznych (Critical Raw Material Act) weszło w życie w 2024 r.

– Późno. Bardzo późno – komentuje prof. Skulski. – Przecież problem istniał wcześniej. Europie wydawało się jednak, że dobra współpraca z Chińczykami będzie trwać nieprzerwanie.

Prof. Bogacz: – Jeśli chodzi o miejsca, skąd możemy pozyskiwać pierwiastki ziem rzadkich, świat jest już w dużej mierze podzielony. Pozostaje nam poszukiwanie nowych źródeł pierwotnych u siebie, próby porozumień z Afryką i Ameryką Południową, oraz rozwój recyklingu.

Według ogłoszonej niedawno strategii, do 2030 r. UE chce zwiększyć wydobycie pierwiastków ziem rzadkich o 10 proc., przetwarzanie o 40 proc., a odzyskiwanie o 25 proc. Celem jest osiągnięcie poziomu uzależnienia od państw trzecich poniżej 65 proc.W praktyce nasza zależność od Chin potrwa co najmniej kilkanaście lat.

Pierwiastek polityczny

Europie pilnie brakuje pierwiastków wykorzystywanych w przemyśle zbrojeniowym, takich jak prazeodym (**Pr**, lekki i silny magnes z tym pierwiastkiem to podstawa silników dronów), iterb (**Yb**, stosowany w zegarach atomowych i nawigacji satelitarnej) czy skand (**Sc**, stapiając go z aluminium, wzmacniamy ramy rowerów i skrzydła samolotów).

Jednym z pomysłów są wspólne zakupy. Czym innym jest jednak kupowanie razem szczepionek przeciw covidowi, czym innym – surowców, na które zapotrzebowanie różni się w zależności od profilu gospodarki i jest podatne na politykę. W Niemczech od Chin zależy przyszłość i tak nadwerężonego przemysłu samochodowego. Każda radykalna zmiana w polityce wobec Pekinu obarczona jest ryzykiem ekonomicznym. Silniejsza pozycja skrajnej prawicy osłabi tu „solidarnościową" politykę europejską. Podobnie wygrana skrajnej prawicy we Francji wzmocni tych, którzy chcą umów dwustronnych, zwłaszcza z państwami Afryki Zachodniej.

Inny pomysł Unii to odzyskiwanie pierwiastków z urządzeń, które lądują w śmietnikach. Wśród 47 najpilniejszych projektów wskazanych przez Brukselę do realizacji jest m.in. zakład separacji w Puławach i ośrodek recyklingu baterii w Zawierciu. Czy to dobra droga? Tu opinie specjalistów się różnią.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Amerykanie szukają u siebie praktycznie wszędzie. W Polsce mówi się o Suwalszczyźnie, Sudetach i Świętokrzyskiem. Ale tak naprawdę wciąż nie wiemy, co, gdzie i ile tych złóż jest.

Paweł Bogacz: – Rezerwuar surowców wtórnych jest znaczący, a jego zaletą jest to, że można pracować na nim tu i teraz. Przemysław Skulski: – A mnie zapala się czerwona lampka. Skoro mamy problemy z recyklingiem papieru i plastiku, dlaczego przy metalach ziem rzadkich wszystko miałoby pójść jak z płatka?

Odzyskiwanie surowców z baterii i urządzeń elektronicznych najlepiej działa w Austrii. Dzięki gęstej sieci punktów zbiórek, współfinansowaniu ich przez producentów i importerów oraz świadomości ludzi zbiera się tu – i to z zyskiem – więcej niż połowę baterii przenośnych (czytaj: cynku, manganu, niewielkich ilości grafitu i potasu). Na Politechnice Wiedeńskiej trwają badania nad przekształcaniem zużytych baterii w metan. Kłopot w tym, że z roku na rok coraz większe znaczenie będzie miał recykling baterii litowo-jonowych (tych z samochodów elektrycznych), których nie da się wrzucić do pojemnika w supermarkecie.

Jak to robią w Tennessee

Inną drogę wybrali Amerykanie. Za pierwszej kadencji Trumpa nie było jeszcze mowy o zabezpieczaniu łańcucha dostaw. Przyczyniły się do tego dopiero częściowe zatrzymanie gospodarki podczas pandemii oraz wojna w Ukrainie.

Spośród 17 metali ziem rzadkich Amerykanie nie muszą się martwić jedynie o promet (**PM**, stosuje się go w czujnikach grubości materiału w przemyśle). To jeden z najrzadziej występujących pierwiastków, wytwarzany sztucznie, podczas procesu rozszczepiania jądrowego – w Tennessee.

Jednak wiele wskazuje na to, że USA szybciej od Europy uniezależnią się od Chin. Widać to po ich determinacji, intensyfikacji poszukiwań i włączeniu pierwiastków ziem rzadkich do polityki zagranicznej. Nawet jeśli tylko słownym.

Prof. Skulski: – W pewnym momencie przestano wspominać o amerykańskich gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy w zamian za dostęp do złóż. Okazało się, że są one relatywnie niewielkie, a eksploatacja droga. Jednak fakt, że wątek w ogóle się pojawił, pokazuje, że mówienie o minerałach ziem rzadkich jest i modne, i opłacalne politycznie.

Tymczasem na dzień ukazania się tego numeru „Tygodnika" w chińskiej rządowej Izbie Handlu Minerałami, Metalami i Chemikaliami zaplanowano spotkanie dyscyplinujące. Szefostwu największych firm wydobywczych – China Rare Earth Group, China Northern Rare Earth, Jiangxi Copper i Zijin Mining – miano przypomnieć o obowiązujących wciąż zasadach ograniczonego eksportu.

– To nie jest dyskusja akademicka. Chiny już teraz wykorzystują pozycję monopolisty – mówi Tobias Gehrke. – Amerykanie odczuli to, gdy zagrozili wojną handlową, a Pekin wprowadził ograniczenia eksportu. W dłuższej perspektywie Chiny dążą do kontroli produktów wytwarzanych z użyciem „swoich" surowców, takich jak anody czy nawet maszyny służące do produkcji baterii.

↦

eprasa.pl df2b558170

O rychłym uniezależnieniu się od Chin – to już wiemy – nie ma mowy. – Możemy jednak zyskać na czasie. W innych dziedzinach gospodarki to my dysponujemy technologiami kluczowymi dla Pekinu. Chiny żyją z eksportu. Po ograniczeniu dostępu do rynku amerykańskiego Europa zyskała dla nich na znaczeniu – tłumaczy Gehrke.

Jednak to wciąż tylko połowa problemu. Nawet gdyby udało się znaleźć sposób na Chiny, uzyskać dostęp do pokładów pierwiastków ziem rzadkich, opracować nowe i w miarę ekologiczne technologie, zbudować zakłady przetwarzania, podzielić się w UE rolami, zgodzić na wspólne zakupy – to wciąż nie załatwia kwestii popytu.

Tobias Gehrke: – Wyobraźmy sobie kopalnię metali ziem rzadkich, np. w Szwecji. Kto kupi jej produkt, jeśli będzie o 30 proc. droższy od chińskiego? Na pewno nie Volkswagen czy Siemens. To ogromny problem polityczny. Mówi się już o konieczności stworzenia „klubu minerałów", z Unią, USA, Japonią i Koreą, z ceną progową ustaloną tak, aby chińskie surowce nie mogły być sprzedawane poniżej kosztów produkcji w Europie. Prawdopodobnie powstaną dwa oddzielne rynki.

Chaos i co potem

W wyścigu o pierwiastki ziem rzadkich – dziś może najbardziej ekscytującej rywalizacji w świecie – Chiny nie odpuszczą łatwo. Wbrew zachodnim stereotypom, również tu rozwija się nowoczesne i bardziej ekologiczne sposoby wydobywania i przetwarzania. Inna rzecz, że niewidzialna ręka rynku sprawia, że te „brudne" przenoszą się wtedy gdzie indziej.

> W wielkiej grze są już wszyscy. Indie uruchomiły właśnie narodowy program przetwarzania pierwiastków ziem rzadkich o wartości 800 mln dolarów.

W Edynburgu Eimear Deady widzi to wszystko na ekranie swojego komputera.

– Na ostatnich zdjęciach satelitarnych w chińskich kopalniach nie ma już bałaganu – opowiada geolożka. – Posadzono drzewa. Po zaostrzeniu przepisów ochrony środowiska nielegalne wydobycie przeniosło się do stanu Kaczin w Birmie. Teraz to tutaj stosuje się ługowanie. Do specjalnych otworów wlewa się chemikalia, które wymywają pierwiastki ziem rzadkich, po czym zbiera się muł. Trwa to 2–3 lata. Gdy woda gruntowa zostaje skażona, a lasy przetrzebione, zakłady przenoszą się dalej. Podobne praktyki mają miejsce coraz dalej na południe, w Laosie i Tajlandii.

W wielkiej grze są już wszyscy. Indie uruchomiły właśnie narodowy program przetwarzania pierwiastków ziem rzadkich o wartości 800 mln dolarów. W obwodzie karagandyjskim nowo odkryte złoże nazwano, stosownie do pokładanych w nim nadziei, „Nowym Kazachstanem". Brazylia, Australia i RPA łożą na złoża monacytu, w których można znaleźć gadolin (**Gd**, używany w kontrastach podczas badań metodą rezonansu magnetycznego) i holm (**Ho**, stosowany w laserach usuwających kamienie nerkowe). Wietnam pozostaje w sferze wpływów Rosji, choć interesuje się nim Europa. W rozkroku jest też Brazylia, członek działającego pod egidą Kremla sojuszu BRICS, ale i Mercosuru, nowego partnera Unii. Francja i Ukraina patrzą na Gwineę i Gujanę, gdzie wydobywa się tul (**Tm**, ratuje życie na froncie; stosuje się go w przenośnych aparatach rentgenowskich).

– Widzi pan, do tego wszystkiego wcale nie trzeba asteroidy – mówi prof. Skulski. – Wszyscy przebierają nogami, aby się dobrać do zasobów. Wszyscy myślą o tym, jaką przewagę im to zapewni. Z chaosu powstało oczywiście wiele fajnych rzeczy. Ale także – sporo niebezpiecznych.

© MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. rozwoju: Michał Bagiński
Marketing i promocja: Sławomir Bieniek, Jacek Napora, Michał Sowiński, Jakub Starzyk
Sklep: Karolina Biały
Dyrektorka ds. reklamy: Justyna Hernas
Reklama i sprzedaż: Mateusz Gawron, Michalina Kościelny, Anna Pietrzykowska, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 502 499 878
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl df2b558170

TYGODNIK POWSZECHNY

ZGARNIJ MIESIĄC PRENUMERATY CYFROWEJ ZA 1 ZŁ

WYBIERZ NOWOŚĆ!
PŁATNOŚCI POWTARZALNE
BLIK



Oferta dla nowych subskrybentów „Tygodnika Powszechnego”.
Sprawdź dostępność i warunki świadczenia usługi w ofercie swojego banku lub regulaminie usług bankowych.
Sprawdź regulamin promocji.

PKO Bank Polski, Santander Bank Polska, ING Bank Śląski, Bank Millenium, Spółdzielcza Grupa Bankowa, Nest Bank, Alior Bank, Credit Agricole

Płatności Rekurencyjne Blik zapewnia platforma zevio

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl df2b558170

KRAJ

PORÓD Z MARZEŃ

Zamykane porodówki, strach przed brakiem prywatności i bólem, a z drugiej strony wyidealizowane vlogi z nagraniami z prywatnych klinik. Jak wygląda rzeczywistość rodzących Polek?

JOLA SZYMAŃSKA



Najpierw są zwiastuny: obniżenie się brzucha, skurcze przepowiadające, odejście czopa śluzowego. Sama akcja zaczyna się od regularnych, coraz częstszych skurczy macicy i odejścia wód płodowych. O tym, czy i kiedy jedziesz do szpitala, decydujesz na podstawie tego, gdzie jesteś i co wiesz – o sobie, o porodzie i o systemie.

Co dzieje się dalej?

Wersja wilanowska

U Angeliki Trochonowicz, znanej w sieci jako Andziaks, było tak: ucieszyła się, że to już. Obudziła męża. Zadzwonili po mamę, by zajęła się córką. Jadąc na porodówkę obdzwonili rodzinę, ale Angelice było już ciężko rozmawiać. Szpital, rejestracja, winda. Najpierw pół godziny monitorowania czynności serca dziecka i skurczy macicy. Potem przejazd na salę porodową.

Angelika została z położną. Pożartowały. Sala pachniała olejkiem eterycznym z szałwią. Założono jej wenflon. Lekarka poinstruowała pacjentkę, co i po co się dzieje. Ciągle się śmiały. Angelika przyznała, że boi się tylko pęknięcia krocza, bo po poprzednim porodzie nie mogła oddawać moczu. Lekarka zamieniła się z lekarzem, atmosfera pozostała wesoła.

Przestrzenna, jednoosobowa sala porodowa. Specjalistyczne łóżko, na którym kobieta leży na lewym boku, z lekko podkulonymi kolanami. Słyszy: „przepięknie", „genialna jesteś!", „jak ładnie!". Dotyka główki malucha, zanim ten w całości wychodzi na świat. Po minie widać, jak dziwne to uczucie. Siłami natury rodzi zdrowego syna. „Było jeszcze fajniej niż ostatnio!" – podsumowuje. Po chwili widzimy, jak je zestaw sushi, którego unikała przez ostatnie miesiące (w ciąży nie powinno się jeść surowej ryby).

Film z drugiego porodu popularnej lifestylowej youtuberki obejrzano ponad dwa miliony razy. „Może i większość ludzi hejtuje Andzie, ale ja jako kobieta która nigdy nie rodziła, jestem mega wdzięczna za takie filmy" – pisze jedna z użytkowniczek, a tysiące osób przytakują łapką w górę. „Andzia robi lepszą reklamę powiększania rodziny niż jakieś 800+" – przekonuje ktoś inny. Ale jest też krytyka: „To jest reklama prywatnego szpitala i porodu za 27k pln. Ty będziesz rodzić na sorze bo porodówki zamykają" [pisownia oryginalna].

Bo poród może też wyglądać zupełnie inaczej. Szczególnie poza prywatną kliniką na Wilanowie.

Żeby był naturalny

– Obejrzałam poród Andziaks tylko w części, bo tak zaczęłam ryczeć. Marzyłam o tym: naturalnie, bez indukcji, bez cesarskiego cięcia – mówi Magda. Rodziła w państwowym szpitalu, w małej miejscowości na południu Polski. Jej poród był indukowany, a indukcja to dla wielu kobiet ciążowy *red flag*. Na forum dla ciężarnych albo z reelsa influencerki

eprasa.pl df2b558170



NATALIA DERIABINA / SHUTTERSTOCK

dowiadują się, że medyczne wywołanie porodu jest nienaturalne, a zatem złe, albo, co gorsza, pozbawia szans na poród bez operacji.

– To tak nie działa – tłumaczy Magdalena Zaremba-Malec, ginekolożka w trakcie specjalizacji z Kliniki Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. – Preindukując, wywołujemy dojrzewanie szyjki macicy, indukując – wywołujemy skurcze macicy. Obie te rzeczy powinny zadziać się naturalnie, ale nie zawsze tak jest. A celem indukcji, obok minimalizowania ryzyka, jest maksymalizowanie szansy na poród drogami natury.

To, że statystycznie ok. 75 proc. prawidłowo wykonanych indukując – kończy się właśnie takim porodem, potwierdziło w 2018 r. badanie opublikowane w „New England Journal of Medicine".

– Kluczem jest jednak to „prawidłowe" wykonanie – zastrzega położna Karolina Skuła. – O indukcji często decyduje się ze względu na wygodę. Tymczasem sam brak wskazań medycznych to już nieprawidłowość, a technicznie prawidłowe wykonanie indukcji to sztuka.

U Magdy indukcja nie przyniosła żadnych efektów, urodziła cesarskim cięciem. U Moniki (rodziła w jednym z największych polskich miast) zakończyła się porodem siłami natury, choć z komplikacjami. Anna (Dolny Śląsk) po indukcji rodziła tradycyjnie, ale kiedy dziecku spadło tętno, konieczne było cesarskie cięcie. Ich historie poznamy później. U Anity (Pomorze) indukowano trzecią ciążę. Ten poród siłami natury wspomina jako najlepszy i najbardziej świadomy ze wszystkich. Jej wcześniejsze doświadczenia wymarzone nie były.

Żeby nie był traumą

– Tak to jest, jak się za bardzo chce. Zrobi sobie pani następne – westchnął ginekolog, stwierdzając poronienie. Anita miała 21 lat i nadzieję, że jest w 7. tygodniu ciąży. Po tym zdaniu nie wiedzieli z mężem, jak się zachować. – Nie mogłam przestać płakać, chciałam tylko wrócić do domu – mówi.

Kiedy siedem lat i pięć ciąż później konsultowała kolejne życie, lekarka kręciła głową i przewracała oczami. – „Szósta?!" – prawie krzyknęła na wieść, że 28-latka nie jest w pierwszej ciąży. Tym razem, jako mama trójki dzieci, wybrała wizytę w Trójmieście, 70 kilometrów od domu. Mimo że ginekolożka znalazła na jajniku torbiel, to zachowanie lekarki zostało z Anitą najdłużej.

Właśnie zbliża się jej poród i obawia się komentarzy: „kto w tych czasach ma tyle dzieci", „patologia", „wszystko dla 800+". – Nasze dzieci są kochane, oboje pracujemy, chodzą do prywatnych placówek, które sami opłacamy, a nikt z rodziny nie pomaga nam ani fizycznie, ani finansowo – tłumaczy Anita, jakby czuła, że bez tego nie będzie traktowana poważnie.

– Lęk, także ten przed oceną, i zwiększona reaktywność emocjonalna jest w ciąży naturalna. W psychologii okołoporodowej mówimy o naturalnym regresie, dzięki któremu matce łatwiej będzie dostroić się do dziecka – mówi Katarzyna Damps, doula, wspierająca kobiety przed, w trakcie i po porodzie. – Ale ta delikatność nie wyklucza sprawczości i siły. Jak do ciała podchodzimy, czy ciężko nam w nim coś zaakceptować: wszystko to staje się podczas porodu wrażliwą strefą – dodaje.

Żeby uwierzyli, że mnie boli

Anna wybierała szpital pod kątem dostępności znieczulenia. Czytała, pytała. Mieszka w średniej miejscowości na Dolnym Śląsku. Można tu rodzić, ale znieczulenie jest dostępne od ósmej do czternastej, od poniedziałku do piątku. A co, jeśli poród rozpocznie się w sobotę? Wybrała dojazdy. Godzina drogi, nie tak źle. Ale akcji porodowej nie doczekała się w domu.

Podczas wizyty kontrolnej w 38. tygodniu miała wysokie ciśnienie, więc skierowano ją do szpitala. Tyle że od walizki porodowej dzieliło ją 50 kilometrów, a lekarz nie mógł obiecać, że poród poczeka. Po walizkę wrócił mąż.

Na oddziale ciśnienie skoczyło Annie jeszcze bardziej. Zgodziła się na indukcję. Dostała cewnik, leki. Czekała. U sąsiadki z sali nasilały się skurcze. Kiedy nie była ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ w stanie odpowiedzieć, „czy zawołać położną?", Anna po prostu po nią poszła. „A co to panią tak bardzo boli, że pani musi koleżankę wysyłać?" – usłyszała rodząca. A Anna poczuła, że powinna uważać z tym zgłaszaniem bólu.

W województwie podkarpackim znieczulenie przez całą dobę możliwe jest tylko w jednym szpitalu. Brakuje anestezjologów, a właściwie pieniędzy na ich etaty. Ale w rejonie największym problemem nie są teraz znieczulenia. – O „słynnym" Lesku mówi się już ironicznie nawet w mediach. Najpierw została zamknięta porodówka w Sanoku, później w Ustrzykach, Lesko dopiero teraz – wymienia Karolina Skuła.

Mówimy tu o trzech południowych powiatach województwa. Łącznie na ich terenie – o powierzchni sześć razy większej niż powierzchnia Warszawy – mieszka 135 tys. osób. Potencjalna pacjentka z bieszczadzkiej Zatwarnicy ma do najbliższego oddziału porodowego (w Brzozowie) 102 kilometry.

Tylko w styczniu z prowadzenia oddziału ginekologiczno-położniczego zrezygnowało 18 szpitali w całym kraju. W zeszłym roku – 26. Powód? Spadek urodzeń i rosnące szpitalne długi. Oszczędności kosztem bezpieczeństwa Polek pogłębiają przepaść między dużymi ośrodkami miejskimi a Polską powiatową.

Ministerstwo tłumaczy, że zbyt mała liczba porodów (poniżej 400 rocznie na szpital) prowadzi do obniżenia standardów opieki i bezpieczeństwa rodzących. Jednocześnie, jeżeli w promieniu 25 kilometrów od zamykanego oddziału nie znajduje się kolejna porodówka, proponuje tworzenie izb porodowych. Ma w nich przez całą dobę dyżurować położna. Czy weźmie na siebie ryzyko komplikacji porodowych u matki i dziecka? I czy ministerstwo zadba o wzmacnianie jej kompetencji? Nie wiadomo. Na Podkarpaciu takiej jednostki wciąż brak.

Żeby móc zaufać

Monika pamięta poród tak: szpital – świadomie wybrany i sprawdzony. Wysoko oceniany w rankingu „Rodzić po Ludzku", z setkami zachwyconych pacjentek. Sama wykonuje zawód medyczny, ale tu jest prywatnie. Chce, jak Andziaks, zaufać zespołowi.

Rano odchodzą jej wody płodowe, ale nie ma skurczy, więc zostaje na oddziale. Czeka na salę porodową kilkanaście godzin. Kiedy w końcu tam trafia, dostaje oksytocynę i znieczulenie. Zgłasza, że znieczulono ją tylko po lewej stronie. „Niech pani nie wymyśla", słyszy. A potem czuje ból, albo raczej – połowę bólu. Rodzi jeszcze szesnaście godzin.

Po wszystkim znów boli, nie do wytrzymania. Lekarze nie uprzedzili jej, że zszywają. Do sali wchodzą kolejni medycy, patrzą, milczą. Monika pyta „ile jeszcze" i stara się przetrwać. Wie, że coś jest nie tak. Tylko co? Słyszy: „Nic, nic, wszystko dobrze", „drugi stopień pęknięcia". Tak zapisano w dokumentacji. Zszywanie trwało ponad 40 minut. W ciszy.

Położna, jako jedyna, sugeruje potem konsultację u proktologa. On tłumaczy Monice: trzeci, czwarty stopień pęknięcia, złe zszycie, wymagana operacja. Prywatnie, bo według wypisu problemu nie ma.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

zlot POWSZECHNY

Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie

Piątek, 29 maja 2026

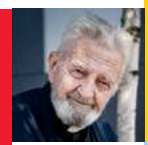
Zapraszamy na pierwszy ogólnopolski zjazd czytelniczek, czytelników i sympatyków „Tygodnika Powszechnego" – wydarzenie stworzone z myślą o tych, którzy nie chcą tylko czytać rozmów, ale chcą w nich uczestniczyć.

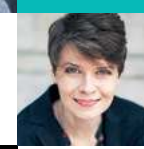
Chcemy spotkać się **poza łamami gazety** – w rozmowie, sporze i wspólnym myśleniu.

Bez pośpiechu. Bez uproszczeń. Z uważnością.

Na zakończenie – specjalnie przygotowany dla czytelników „Tygodnika Powszechnego" **koncert Grzegorza Turnaua**.


Grzegorz Turnau

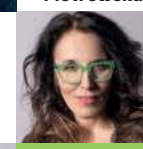

Ks. Adam Boniecki


Anita Piotrowska




Jacek Stawiski


Eliza Kącka


Katarzyna Kubisiowska

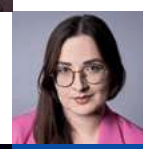

Piotr Mucharski


Tomasz Stawiszyński

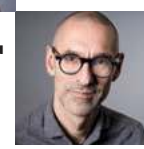

Marek Rabij

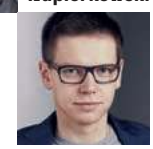
Więcej informacji i bilety: https://evenea.pl/pl/wydarzenie/ZlotPowszechny

To nie będzie seria wykładów. Będzie to **żywa, otwarta dyskusja** – z przestrzenią na pytania, komentarze i głosy uczestników.


Monika Ochędowska

Ewelina Burda


Michał Okoński


Marcin Napiórkowski


Prof. Bogdan de Barbaro

TP NA ŻYWO

ZAMÓW BILET!

eprasa.pl df2b558170

SYLWIA SOKÓŁ / ARCHIWUM PRYWATNE



KAROLINA SKUŁA, POŁOŻNA:
Kobiety boją się mówić o swoich potrzebach, chcą tylko, żeby było dobrze. Ale „dobry poród" może przecież oznaczać różne rzeczy. Trzeba je wyrazić.

Brak informacji to jedno. Pozostałe kwestie to: szycie bez znieczulenia i ochrona krocza podczas porodu.

– U nas w klinice na prawie dwa tysiące porodów rocznie jest kilka przypadków pęknięcia trzeciego stopnia – podkreśla ginekolożka Magdalena Zaremba-Malec. – Nawet podczas prawidłowo prowadzonego porodu może do takiego powikłania dojść. Pacjentka niekoniecznie ma na to wpływ. Może przygotowywać się do porodu, ale mamy różną podatność tkanek, inaczej też wygląda to przy pierwszym porodzie, inaczej przy kolejnych.

Obawom trudno się jednak dziwić. Śledztwo OKO.press z listopada 2025 r. ujawniło m.in. praktykę różnicowania statystyk dotyczących nacięć krocza przez niektóre szpitale i przekazywania innych liczb Fundacji Rodzić Po Ludzku, a innych – Narodowemu Funduszowi Zdrowia. Statystyki przesyłane fundacji, od lat działającej m.in. na rzecz zmniejszenia liczby nacięć krocza, były średnio o 30-40 proc. niższe.

Powikłań, jakich boją się kobiety, jest jednak więcej.

Żeby nie było komplikacji

Nie mamy ogólnopolskich statystyk dotyczących wszystkich komplikacji poporodowych. Musiałyby one jednak rozgraniczyć te dotyczące matki (fizyczne – od bólu krocza po krwotok, i psychiczne, np. depresję) od dotyczących dziecka (np. niedotlenienie). Bez nich kobiety mogą sobie tylko wyobrażać, co i w jakim stopniu im grozi.

Justyna wyobraża więc sobie, że lekarze mogą nie zareagować na czas. – Np. nie przerwą odpowiednio szybko porodu siłami natury i dziecko urodzi się chore – mówi.

Jest w 5. miesiącu pierwszej ciąży, długo leczyli z mężem niepłodność. Zdążyła uwierzyć, że z jej ciałem jest coś nie tak. W ciąży brała zastrzyki, wciąż bierze dodatkowe tabletki. Udało się, dziecko w jej brzuchu rozwija się prawidłowo. Ale Justyna liczy się z potencjalnymi komplikacjami.

Poczucie bezpieczeństwa daje jej szpital. Wybrała ten z najlepszymi opiniami w Warszawie. Tam pracuje jej lekarz prowadzący, tam chodzą z mężem do szkoły rodzenia. – Poznając podejście położnych, czuję się bezpieczniej, ale wiem, że ten szpital ma największe obłożenie w mieście. Co jeśli przyjadę i nie będzie miejsca? – zastanawia się.

Żeby partner został dłużej

– W ogóle to jest mi okropnie myśleć, że miałabym być bez narzeczonego po porodzie – mówi Martyna. O takim marzeniu wspomina prawie każda kobieta, z którą rozmawiam. W szpitalach państwowych pozostaje kwestia odwiedzin: partnerzy, babcie i ciocie przychodzą, żeby mama mogła się spokojnie umyć, zjeść i zdrzemnąć.

Niekiedy istnieje też możliwość wykupienia pokoju rodzinnego. W Wejherowie to koszt 550-650 zł, w zależności od tego, czy łazienka jest prywatna, czy na korytarzu. W Warszawie pokój może kosztować nawet 1500 zł za noc, w Nowym Sączu 1000 zł. Na Podkarpaciu takiej możliwości nie ma.

Pokój rodzinny to także marzenie Pauliny, która boi się po porodzie samotności i wstydu. Mieszka na Śląsku i za rok czy dwa chciałaby zajść w ciążę, ale dodatkowe kilka tysięcy złotych to dla niej kwota nieosiągalna. – Jednoosobowa sala, prywatność, obecność partnera w nocy byłaby dla mnie dużym wsparciem. Z nim nie byłabym bezbronna – mówi.

Na poczucie bezpieczeństwa wpływa też obecność opłaconej położnej czy douli. Ale i wtedy konieczna jest praca nad sobą. – Rodzimy tak, jak żyjemy – mówi Katarzyna Damps. – Jeżeli ktoś obiecuje: „Kup mój kurs, a w porodzie poczujesz się pewna siebie", choć nie czułaś się pewna siebie przez poprzednie 30 lat, to zakup kursu niewiele zmieni.

Żeby wiedzieć, czego się chce

– A ja miałam idealny poród, choć nie poszedł zgodnie z planem – opowiada Sylwia. Przez całą ciążę przygotowywała się do porodu domowego, z położną. Zamiast znieczulenia szykowała łagodzące ból elektrostymulatory i okłady z ciepłej wody. Do tego ćwiczenia, książki, szkoła rodzenia, webinary. Na wszelki wypadek wzięła też udział w pikniku z warsztatami w szpitalu. Ulżyło jej, kiedy zobaczyła, że tamtejsze położne rozumieją jej decyzję.

Kiedy w 42. tygodniu ciąży KTG wyłapało spadek tętna dziecka, została jednak na oddziale i choć poród trwał 20 godzin, na każdym etapie czuła się słuchana: kiedy prosiła o zostawienie jej samej, kiedy wybierała pokój (zaproponowano jej jednoosobowy z łazienką na korytarzu lub dwuosobowy z prywatną łazienką), kiedy poprosiła o minimalną dawkę oksytocyny i kiedy zdecydowała się na znieczulenie.

Czy dobry poród w szpitalu publicznym poza Warszawą jest rzeczywiście możliwy? – Tak, ale pacjentka musi wiedzieć, czego chce – mówi Karolina Skuła. I przyznaje, że kiedy pyta ciężarne, na czym im zależy, często słyszy: „żeby było dobrze". Jak to osiągnąć? ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ Pierwszy krok to edukacja przed porodowa u położnej rodzinnej, indywidualnie lub grupowo. Drugi: wybór miejsca. – Kiedy wiem, czego chcę, muszę sprawdzić, gdzie jest to dostępne. Który szpital w okolicy ma wysokie statystyki ochrony krocza, gdzie rodzi się w pozycji wertykalnej, z nieprzerwanym kontaktem skóra do skóry, z możliwością znieczulenia zewnątrzoponowego, w obecności partnera lub douli – wymienia położna.

Kluczowa jest także komunikacja. – Czasem pacjentki obawiają się: „Czy ktoś będzie się w ogóle pytał, czego chcę?" Albo: „Czy ten plan porodu ktoś w ogóle weźmie do ręki?". Kobiety boją się mówić o swoich potrzebach, a „dobry poród" może przecież oznaczać różne rzeczy. Trzeba je wyrazić – podkreśla Karolina Skuła.

Ogromnym wsparciem jest znajomość samej siebie i psychoedukacja. – Do porodu zabieramy ze sobą całe nasze doświadczenia życiowe, pozytywne również – tłumaczy Katarzyna Damps. – Pierwszą warstwą ochronną jest wiedza, jak możemy zadbać o swoją psychikę, a jeżeli mamy taką potrzebę i możliwość, warto skorzystać z terapii.

Magdalena Zaremba-Malec przypomina jednak: – Nigdy nie mamy pewności, że nie będzie powikłań. Najważniejsze, żeby pacjentka czuła się bezpiecznie. Jednej osobie takie poczucie da wykupienie położnej, drugiej – najwyższy stopień referencyjności szpitala.

Wersja niewilanowska

Marzenia porodowe Polek to także marzenia o wsparciu laktacyjnym, szybkim wyjściu ze szpitala, spokojnym połogu. Jednym porodowe relacje influencerek pomagają uwierzyć, że może być dobrze, inne stresują. Ale wydaje się to jedynie częścią systemowych problemów, z którymi Polki konfrontują się w wyjątkowo wrażliwym momencie życia.

Może dlatego Weronika oglądać vloga Andziaks nie chce.

– Mam dużo obaw – mówi. – To moja druga ciąża, pierwsza skończyła się nagłą cesarką. Teraz chciałabym spróbować naturalnie, ale nie chcę tworzyć sobie obrazu tego, „jak powinno być". Każdy poród jest inny.

© JOLA SZYMAŃSKA



DANIEL SZYSZ / REPORTER

Symboliczne przecięcie płotu granicznego przez uczniów szkół polskich i niemieckich w związku z przystąpieniem Polski do strefy Schengen. Świnoujście, 21 grudnia 2007 r.

Kwestia niemiecka

MARCIN KĘDZIERSKI

POLITYKA | Stosunki Warszawa–Berlin wcale nie są dobre, niezależnie od tego, kto rządzi w obu stolicach. Ale jakoś się dogadać musimy.

„Ratujcie mnie, biją mnie Niemcy!" – słowa Jana Rokity przeszły do historii polskiej polityki i dobrze obrazują stosunek, zwłaszcza naszej prawicy, do sąsiadów zza Odry. Można je wykorzystać niemal w każdej sytuacji jako klucz zamykający debatę. A że „argumentum ad Teutones" wykorzystano także przy dyskusji nad ustawą w sprawie SAFE, warto się przyjrzeć, dlaczego „karta niemiecka" wciąż ma nad Wisłą tak ogromną siłę oddziaływania.

I warto przy tym podkreślić, że nie jest to wyłącznie polska fobia – Anglicy mają swoje *German question*, Francuzi *question allemande*, Włosi *questione tedesca*, wreszcie sami Niemcy – *Deutsche Frage*. Nie da się na naszym kontynencie uciec od pytania o rolę Niemiec. To ogromne państwo w sercu Europy, z największą na naszym kontynencie liczbą ludności.

Jeśli do tego uwzględnimy Austriaków, niemieckojęzycznych Szwajcarów, Francuzów czy Belgów (ale także mniejszości z takich krajów jak Rumunia – poprzedni prezydent Klaus Iohannis był siedmiogrodzkim Sasem), wyjdzie nam, że co piąty mieszkaniec Starego Kontynentu należy do niemieckiego kręgu kulturowego.

Każdy od nich zależy

Losy Europy zależały i nadal zależą od Niemiec. Projekty integracyjne pojawiały się tylko wtedy, kiedy funkcjonowały one jako zwarty organizm polityczny. Ilekroć przodkowie naszych zachodnich sąsiadów zaczynali się dzielić, Europa wchodziła albo w stan wojny wszystkich ze wszystkimi (*vide* wojna trzydziestoletnia), albo chwiejnej równowagi, którą obserwowaliśmy po Kongresie Wiedeńskim.

eprasa.pl df2b558170

Czasem projekty integracyjne miały charakter pokojowy (Otton III czy Konrad Adenauer), a czasem agresywny, nacjonalistyczno-militarny (Adolf Hitler). Paradoksalnie jednak, nawet w tym drugim przypadku nie można całkowicie pominąć faktu, że pierwsze inicjatywy integracyjne lat 50. XX wieku były wzorowane na pomysłach... nazistowskiego ministra przemysłu, Alberta Speera. Henri de Saint-Simon, utopijny socjalista epoki postnapoleońskiej, który bodaj jako pierwszy zaprojektował ideę europejskiej demokracji parlamentarnej, wyraźnie wskazywał, że bez Niemców projekt ten nie ma szans.

Trudno się zatem dziwić, że także w Polsce uważnie patrzymy na Niemcy, i również nad Wisłą stanowią one kluczowy punkt odniesienia. Oczywiście nasze zainteresowanie nie wynika wyłącznie z rozważań na temat integracji europejskiej; wystarczająco często byliśmy ofiarą niemieckiego *Drang nach Osten*. Wbrew pozorom nasze relacje w ostatnich 100 latach pełne są jednak zwrotów akcji, które mają wpływ na polskie postrzeganie Niemiec i Niemców.

Logika tymczasowości

Zacznijmy od Republiki Weimarskiej, która prowadziła wobec II Rzeczypospolitej politykę jawnie wrogą. Już w 1925 r. postwersalskie Niemcy wywołały wojnę celną, której celem było załamanie gospodarki młodego polskiego państwa i wymuszenie zmian terytorialnych. Zresztą kryzys gospodarczy spowodowany wojną celną stał się jedną z przyczyn zamachu majowego.

Nie ma potrzeby omawiać czasów hitlerowskich (stosunek ówczesnych Niemców do Polaków znamy aż za dobrze), przejdźmy od razu do lat powojennych. W pierwszym okresie, poza naturalną „nienawiścią ludową", komunistyczne państwo nie koncentrowało się na Niemczech. Głównym wrogiem był raczej kolektywny Zachód, a jeśli już pojawiało się określenie „faszysta", często nie było związane z przynależnością do narodu niemieckiego.

Warto przy tym zauważyć, że nawet „na dołach" stosunek wobec Niemców bywał zróżnicowany. Choćby wielu repatriantów, którzy zajęli poniemieckie mienie, przez jakiś czas żyło obok prawowitych właścicieli. Sam pamiętam wspomnienia babci, która opowiadała, że w 1945 r., po przyjeździe do Bytomia pomagała im przetrwać właśnie Niemka, która nie wyjechała od razu na zachód. Nie można też ignorować faktu, że wartość materialna, ale i cywilizacyjna poniemieckiego majątku, pozostawionego na tzw. Ziemiach Odzyskanych, była niebagatelna.

Problem polegał bardziej na tym, że RFN przez lata nie uznawała granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. W efekcie przez ćwierć wieku ludzie funkcjonowali na tych ziemiach w logice tymczasowości, co miało niewątpliwie wpływ na stan przejętej infrastruktury, która bez inwestycji systematycznie niszczała. Warto też pamiętać, że również Kościół katolicki długo traktował te tereny jako sporne – tymczasowa administracja została zastąpiona regularnymi diecezjami dopiero w 1972 r.

Biskupi piszą list

Wspominam o Kościele, bo w jakimś sensie stał się katalizatorem zmian w relacjach polsko-niemieckich. Kiedy abp Bolesław Kominek i kard. Stefan Wyszyński wystosowali w 1965 r. pamiętny list do biskupów niemieckich, władza komunistyczna wykorzystała go jako doskonały pretekst do uderzenia w Kościół. Dodajmy, atak był skuteczny, gdyż zdecydowana większość wiernych ani nie rozumiała, ani nie akceptowała inicjatywy hierarchów. Trzeba jednak dodać, że odpowiedź niemieckich biskupów była niezadowalająca, do tego stopnia, że sam Wyszyński miał po latach trochę żałować swej inicjatywy.

Czasy gomułkowskie (ale i gierkowskie) to zresztą moment, w którym w polskiej polityce zaznacza się wyraźny antyniemiecki resentyment. Przejawia się także w kulturze masowej – właśnie wtedy na ekrany trafiły dwa kultowe seriale: „Czterej pancerni i pies" (pierwsza emisja w latach 1966-1970) oraz „Stawka większa niż życie" (1967-1968). Nagle wrogiem przestał był kolektywny Zachód, a stały się nim Niemcy. Znaczna część dzisiejszych elit politycznych była formowana w tym okresie w antyniemieckim duchu.

Sytuacja zmieniła się dopiero na przełomie lat 70. i 80. XX wieku; w jakimś sensie zawdzięczamy to inicjatywie Kominka i Wyszyńskiego. Za sprawą wsparcia m.in. niemieckich kardynałów Karol Wojtyła został wybrany na Stolicę Piotrową, a kilka lat później Kościół w Niemczech aktywnie zaangażował się w pomoc dla Polaków dotkniętych stanem wojennym. Niemiecka poczta nie pobierała opłat za wysyłanie paczek z darami do Polski, i w latach 1981-1983 trafiły do nas miliony przesyłek z RFN, a czasem też z NRD. Dodatkowo, niemieckie fundacje kościelne zaczęły hojnie dotować polskie parafie.

Równocześnie niemieckie elity polityczne z socjaldemokratycznym kanclerzem Helmutem Schmidtem na czele dość krytycznie odnosiły się do ruchu Solidarności, widząc w nim zagrożenie dla zimnowojennego odprężenia lat 70. W konsekwencji PZPR złagodziła antyniemiecką retorykę.

Złote czasy

W efekcie pomimo gomułkowskiej, antyniemieckiej nagonki wchodziliśmy w okres transformacji z dość przyjaznym stosunkiem do Niemiec. Na pewno zjednoczenie RFN i NRD nie budziło u nas tak dużych kontrowersji jak we Francji, tym bardziej że w nowym państwie widzieliśmy ambasadora naszych europejskich aspiracji.

Lata 90. XX w. to złoty okres relacji polsko-niemieckich, choć już wówczas pojawiły się ostrzeżenia o fasadowości ówczesnych stosunków – w 1994 r. Klaus Bachmann pisał o tzw. kiczu pojednania (*Versöhnungskitsch*). Mimo to w okresie przedakcesyjnym prawdziwym bohaterem polskich mediów stał się pochodzący z Niemiec unijny komisarz ds. rozszerzenia Günter Verheugen – „pan życia i śmierci", od którego zależało wpuszczenie nas do europejskiego raju.

W tamtym czasie straszenie Niemcami uchodziło wręcz za szaleństwo.

Sytuacja zaczęła się zmieniać na początku XXI wieku, czemu towarzyszyło postępujące od czasu amerykańskiej interwencji w Iraku zbliżenie między Berlinem a Moskwą. Jego owocem była decyzja o budowie Gazociągu Północnego, który większa część polskich elit uznała za zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa.

Warto przypomnieć, że Radosław Sikorski, szef MON w rządach Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego, porównał tę inwestycję do paktu Ribbentrop–Mołotow. Jednocześnie, jeszcze przed wejściem Polski do UE, zaktywizował się Niemiecki Związek ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ Wypędzonych z Eriką Steinbach na czele, straszący odebraniem niemieckich majątków utraconych po 1945 r. Złota era się skończyła – we wrześniu 2004 r. Sejm przyjął niemal jednogłośnie uchwałę w sprawie reparacji wojennych od Niemiec. Głosowali za nią zgodnie Leszek Miller, Jarosław Kaczyński i Donald Tusk.

Antyniemiecka szajba

Jednak wzajemne relacje wyraźnie pogorszyły się dopiero w trakcie pierwszych rządów PiS – choć jednym z ważnych elementów tej zmiany była antyniemiecka „szajba" nie tyle braci Kaczyńskich, co bardziej radykalnej części polskiej prawicy, wszędzie węszącej niemieckie wpływy i spiski.

Zarazem nie można ignorować faktu, że w tamtym czasie Berlin próbował przeforsować korzystny dla siebie system głosowania w Radzie UE, na którym traciły nowe państwa członkowskie. Niemiecka dyplomacja działała wówczas ostro, wywierając presję na inne państwa regionu, by nie poparły naszej propozycji tzw. systemu pierwiastkowego. Dodatkowo braci Kaczyńskich bardzo dotknęły porównania do kartofli w niemieckiej gazecie.

Powrót do bardziej przyjaznych relacji z Berlinem, który nastąpił już za czasów pierwszego gabinetu Tuska, wynikał bardziej z presji Waszyngtonu i resetu w relacjach amerykańsko-rosyjskich, niż z własnej woli. PO miała bowiem w pamięci zarówno negocjacje nad traktatem lizbońskim, jak i niemiecką presję, aby skasować NATO-wskie aspiracje Gruzji i Ukrainy podczas szczytu w Bukareszcie w kwietniu 2008 r.

Wbrew późniejszej propagandzie PiS, pierwszy rząd Tuska wcale nie był radykalnie proniemiecki. Co więcej: gdy Berlin porzucił nas na ostatniej prostej negocjacji unijnego budżetu na lata 2014-2020, polska dyplomacja postanowiła dać temu wyraz i w corocznym exposé ministra spraw zagranicznych wiosną 2013 r. Radosław Sikorski po raz pierwszy nie wymienił Berlina jako najważniejszego partnera Warszawy.

Historia nieudanego zablokowania Tuska w Radzie Europejskiej **była dla PiS policzkiem.** Obóz Kaczyńskiego wskoczył na antyniemieckiego konia i galopuje do dziś.

Miejsce to zajęła... Grupa Wyszehradzka. Kiedy zaczęła się z kolei wojna na Ukrainie, mimo ogromnego zaangażowania Sikorskiego, Polska nie została włączona do tzw. formatu normandzkiego, w którym Niemcy i Francja podejmowały decyzje niekoniecznie zbieżne z naszą racją stanu. Dodatkowo, jeszcze w 2015 r. Berlin zaczął rozmowy na temat drugiej nitki Gazociągu Północnego. Tezy o wielkiej miłości rządu PO-PSL do Niemiec są więc mocno przesadzone.

Jak prezes z kanclerzem

Paradoksalnie próba poważniejszego resetu we wzajemnych relacjach nastąpiła dopiero po przejęciu władzy przez Zjednoczoną Prawicę, kiedy doszło do tajnego spotkania pomiędzy kanclerz Angelą Merkel a Jarosławem Kaczyńskim na zamku w Mesebergu. Nie znamy szczegółów tamtej rozmowy, ale w lutym 2017 r. Merkel przyjechała do Warszawy z zapowiedzią nowego otwarcia. Jednym z jego elementów była „północna" orientacja polskiej polityki europejskiej – rząd w Warszawie wspierał na unijnym forum kluczowe propozycje Berlina, choćby w zakresie unii bankowej.

Wszystko załamało się już miesiąc później, kiedy polski rząd doznał pamiętnej porażki 27:1 w sprawie przedłużenia mandatu Donalda Tuska jako przewodniczącego Rady Europejskiej. Wydaje się, że ta historia jednoznacznie zamknęła dobry okres, a obóz Kaczyńskiego wskoczył na gomułkowskiego, antyniemieckiego konia, na którym galopuje do dziś.

Choć jednocześnie warto zauważyć, że na forum UE rząd Mateusza Morawieckiego do samego końca widział się jako reprezentanta opcji „północnej", a bliskie relacje między Morawieckim a Wolfgangiem Schäuble nie były dziełem przypadku.

Jeśli dodamy do tego fakt, że wbrew oczekiwaniom rząd koalicji 15 X wcale nie dokonał resetu w relacjach z Berlinem, a nasze stosunki są mimo wszystko nadal niezbyt ciepłe (przykładem choćby deklaracja Tuska w sprawie oczekiwania od Niemiec zadośćuczynienia za straty wojenne), to wyjdzie nam, że za wyjątkiem złotych (pozłacanych?) lat 90., stosunki polsko-niemieckie wcale nie są dobre. I to niezależnie od tego, kto rządzi po obu stronach Odry. Jakimś symbolicznym świadectwem tych trudności jest brak upamiętnienia polskich ofiar II wojny światowej w Berlinie, ukazujący, że odpowiedzialność za obecny stan rzeczy nie leży wyłącznie po naszej stronie.

Nawet polscy „młodzi, wykształceni i z wielkich miast" nie pałają jakąś wielką miłością do Niemców, co pokazały badania Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego z jesieni 2022 r. Warto przypomnieć też powszechne oburzenie na Berlin, który na początku pełnoskalowej inwazji rosyjskiej zadeklarował wysłanie na Ukrainę 5 tys. hełmów, stawiając *de facto* krzyżyk na Kijowie.

■■■

Nie musimy Niemców kochać. Nie możemy jednak zapominać, że są najważniejszym partnerem handlowym Polski, a my w niedalekiej przyszłości wskoczymy na podium analogicznej statystyki po niemieckiej stronie. Co więcej, w świetle wycofywania się USA z Europy, to właśnie Niemcy stanowią coraz ważniejszy punkt odniesienia w naszej polityce bezpieczeństwa. Wreszcie, nie ma Unii bez Niemiec, a jeśli widzimy wartość w integracji europejskiej, to musimy się z Berlinem jakoś dogadać.

Nawet jeśli to trudny i uparty partner, u którego na dokładkę coraz większe poparcie zyskuje skrajna prawica spod znaku AfD – nie zwalnia nas to z pragmatyzmu. Rozkręcanie antyniemieckiej fobii skończy się bowiem, jak za PRL, zdystansowaniem wobec całego Zachodu, a stąd droga do polexitu jest bliższa, niż się wydaje. © MARCIN KĘDZIERSKI

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

eprasa.pl df2b558170



NATALIA DERIABINA / SHUTTERSTOCK

W pewnym wieku

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

SPOŁECZEŃSTWO | W Polsce coraz więcej starszych osób doświadcza smutku, lęku i depresji. I choć świadomość problemów psychicznych rośnie, to w przypadku seniorów temat wciąż zamiata się pod dywan. Bo przecież: „starość nie radość”.

Zaczęło się niepozornie: od problemów ze snem, na które kilka miesięcy temu zaczęła skarżyć się 82-letnia pani Janina, mieszkanka małej wsi w Wielkopolsce. – Początkowo razem z siostrą myślałyśmy, że to nic wielkiego, po prostu jesienno-zimowy spadek formy. Mama jest sprawna i samodzielna, nie ma przewlekłych chorób. To uśpiło naszą czujność – przyznaje jej córka, Joanna.

Z biegiem czasu było tylko gorzej: seniorka stała się płaczliwa i wycofana, zamknęła się w sobie, straciła zainteresowanie czymkolwiek. – Powtarzała, że „boli ją w środku” i że nie jest to „zwykły” fizyczny ból. Była zalękniona i smutna. Nawet gdy odwiedzały ją ukochane wnuki, ciągle mówiła tylko o tym, jak bardzo jej źle – wspomina Joanna.

Wejdź w moją skórę

Choć o sprawach dotyczących seniorów mówi się coraz więcej, to nadal zdecydowana większość dyskusji o ich dobrostanie skupia się na kwestiach związanych ze zdrowiem fizycznym, sprawnością i samodzielnością. Co rusz na tapet bierze się temat cukrzycy, miażdżycy, nadciśnienia tętniczego czy problemów ze stawami – ale depresja, zaburzenia lękowe czy ataki paniki u osoby starszej?

Na te problemy zazwyczaj spuszcza się zasłonę milczenia, tymczasem z raportu „Badanie potrzeb społecznych seniorów 2025”, przygotowanego przez Stowarzyszenie Manko, dowiadujemy się, że prawie 25 proc. badanych seniorów doświadcza przedłużającego się obniżenia nastroju lub smutku, a kolejne niemal 20 proc. nie potrafi jednoznacznie ocenić swojego samopoczucia w tej kwestii.

Alarmujące są również statystyki dotyczące samobójstw osób w wieku 65+. Raport „Samobójstwa i próby samobójcze w Polsce w latach 2020-2025”, przygotowany w oparciu o dane Komendy Głównej Policji przez Polskie Towarzystwo Suicydologiczne i Fundację „Życie warte jest rozmowy” – wskazuje, że w 2025 r. życie odebrało sobie 943 seniorów, a 545 podjęło próbę samobójczą. Ta pierwsza liczba utrzymuje się na podobnym poziomie od kilku lat, ta druga jednak niepokojąco wzrasta (w 2019 r. zanotowano 392 próby). A to tylko oficjalne dane, które nie do końca oddają realną skalę problemu, rosnącego m.in. z uwagi na niedostatek specjalistów.

Na psychiatrię wydaje się w naszym kraju jedynie ok. 4,5 proc. środków publicznych przeznaczonych na ochronę zdrowia, co czyni ją jedną z najbardziej niedofinansowanych gałęzi medycyny. Zdrowiem psychicznym osób starszych zajmuje się psychogeriatria, która nawet nie jest oddzielną specjalizacją. W efekcie, mimo rosnącego zapotrzebowania, dostęp do pomocy pozostaje bardzo ograniczony, bo przychodni przyjmujących pacjentów w ramach świadczeń NFZ jest jak na lekarstwo, ok. 60, a oddziałów psychogeriatrycznych – 16. W niektórych ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ miejscach czas oczekiwania na wizytę liczony jest więc w latach. Dodatkowo dostępność psychiatrów, którzy przyjadą do domu pacjenta, jest znikoma.

– Sytuacja stała się dramatyczna zarówno jeśli chodzi o psychogeriatrię, jak i o samą geriatrię, bo niestety nie są to kierunki popularne wśród przyszłych medyków – alarmuje prof. Marta Podhorecka z Katedry Geriatrii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, która przez dwa lata piastowała stanowisko przewodniczącej rządowej Rady ds. Polityki Senioralnej. Jej zdaniem w Polsce już dziś brakuje odpowiednich specjalistów, a przy postępujących zmianach demograficznych (CBOS prognozuje, że w 2060 r. osoby 60+ stanowić będą aż 38,3 proc. populacji naszego kraju) seniorów po prostu nie będzie miał kto leczyć. O ile system się nie zmieni.

Tracą cel i sens życia

Dr Agnieszka Księżopolska, psychiatrka i psychoterapeutka specjalizująca się w pracy z seniorami, uważa, że osoby starsze są szczególnie narażone na różnego rodzaju zaburzenia i problemy psychiczne, głównie za sprawą wielu nakładających się na siebie czynników, które mogą silnie oddziaływać na ich psychikę.

– Część starszych osób przez całe życie miała nierozpoznane i nieleczone zaburzenia psychiczne, do tego dochodzą schorzenia somatyczne, np. cukrzyca, miażdżyca czy choroba Alzheimera, które również mogą wpływać na stan psychiczny, rozregulowując zarówno emocje, jak i funkcje poznawcze. Na to wszystko często nakłada się również duża liczba przyjmowanych leków, wchodzących ze sobą w interakcje i powodujących skutki uboczne w psychice – tłumaczy dr Księżopolska.

Niebagatelną rolę odgrywa również to, że coraz dłużej żyjący seniorzy dotkliwie odczuwają przemijanie, którego nieodłącznym elementem są różnego rodzaju straty: odchodzą ich współmałżonkowie, z którymi przeżyli kilkadziesiąt lat, tracą sprawność fizyczną, niezależność i samodzielność. Pogarszający się z biegiem czasu stan zdrowia często odbiera im także pasje, a wraz z nimi tożsamość i poczucie własnej wartości.

– Pojawiają się problemy i ograniczenia, o których wcześniej nie myśleli. Znika rutyna, znika to, co znane, znikają osoby, które zawsze były obok. Dzieci dawno wyfrunęły z domu, wnuki często mają już swoje rodziny i swoje sprawy. U wielu starszych osób pojawia się wówczas kryzys miejsca w świecie, a związany z tym brak poczucia celu i sensu bywa dla nich źródłem ogromnego cierpienia – mówi psychiatrka.

Wsparcie dla osób starszych w kryzysie psychicznym:

Telefon zaufania dla osób starszych:

22 635 09 54

poniedziałek–piątek, 17.00–20.00

Telefon wsparcia dla osób po stracie i w żałobie:

800 108 108

poniedziałek–piątek, 14.00–20.00

Kryzysowy telefon zaufania:

116 123

codziennie, przez całą dobę

Przecież taka jest starość

Pani Janina, u której pojawiły się problemy zdrowia psychicznego, przez długi czas swoje kiepskie samopoczucie zrzucała na karb wieku. – Mama nie chciała iść do lekarza, powtarzała, że nie ma co liczyć na to, że będzie lepiej, bo przecież taka już jest starość – wspomina jej córka.

Dr Księżopolska przyznaje, że tego typu myślenie wciąż jest powszechne. To pokłosie schematycznego spojrzenia na starość. Dziś, w czasach kultu młodości, bywa ona traktowana jako coś niechcianego. Jest nieestetyczna, nieatrakcyjna i wstydliwa, dlatego należy maksymalnie opóźniać jej nadejście, a jeżeli już się pojawi – skutecznie ją ukrywać. Starość jest postrzegana jako problem, obciążenie dla innych albo jako etap w życiu, który po prostu „Panu Bogu zupełnie się nie udał".

Prof. Marta Podhorecka uważa jednak, że z czasem pojęcie starości powinno ulec redefinicji. Wydłużenie życia sprawiło, że przestała być ona jednorodnym doświadczeniem. – Inaczej wygląda życie osoby tuż po sześćdziesiątce, a inaczej po dziewięćdziesiątce. Jednak w debacie publicznej wciąż wrzucamy seniorów do jednego worka i uznajemy, że kilkanaście lub kilkadziesiąt lat ich życia na pewno będzie absolutnie nieudanym czasem. A to okres w życiu jak każdy inny. Ma swoje plusy i swoje minusy, kluczowa jest akceptacja jednych i drugich – dodaje badaczka.

Współcześni seniorzy przez całe życie byli karmieni stereotypami przypominającymi im o tym, że „starość to nie radość" – trudno się więc dziwić, że często po prostu przestają oczekiwać od tego etapu życia czegokolwiek dobrego. Idąc tropem społecznie przyjętej narracji uważają, że to, co najlepsze, już dawno za nimi. – Właśnie dlatego starsze osoby kiepski stan psychiczny traktują jak normę wpisaną w wiek. Są pogodzone z tym, że ich życie już zawsze będzie tak wyglądać, że będzie wybrakowane i niepełne – wyjaśnia dr Księżopolska i dodaje, że niestety bardzo często najbliższe otoczenie „pielęgnuje" w nich to przeświadczenie. Bo kiedy senior mówi bliskim o trudnościach lub skarży się na swój stan zdrowia, niejednokrotnie słyszy: „ale czego oczekujesz w tym wieku?" lub „ciesz się, że jeszcze jakoś funkcjonujesz". Zupełnie tak, jakby PESEL z automatu odbierał człowiekowi prawo do dobrego samopoczucia.

Justyna Żuk, która jest pedagożką i interwentką kryzysową, od kilku lat regularnie pracuje z seniorami m.in. na warsztatach z zakresu psychoedukacji. Zauważyła, że opisane wyżej podejście przyczynia się również do tego, że osoby starsze często ukrywają przed swoimi najbliższymi fakt, że coś im dolega, że dzieje się coś niepokojącego.

– Niedawno podczas nocnego dyżuru na interwencyjnej infolinii odebrałam telefon od zapłakanej starszej kobiety, której zmarła bliska osoba. Mówiła, że jest z tym wszystkim sama, ale zarazem kilka razy powtórzyła, że ma dzieci, rodzinę – relacjonuje pedagożka i dodaje, że po chwili rozmowy seniorka przyznała, iż najbliżsi z pewnością bardzo chętnie by ją wsparli, ale ona nie chce zawracać im głowy, nie chce być ciężarem.

– To nie jest odosobniony przypadek. Starsze osoby często uważają, że dzieci

eprasa.pl df2b558170

i wnuki mają swoje życie, swoje problemy, a oni nie powinni dokładać im zmartwień – podsumowuje Żuk. Paradoks polega na tym, że seniorzy, próbując nie być dla nikogo ciężarem, nieświadomie pogłębiają własne cierpienie.

Ta nieznośna pustka

Pozory samowystarczalności potęguje bowiem samotność, która według wielu badaczy urasta do rangi choroby cywilizacyjnej XXI wieku. To pokłosie mobilności i migracji do dużych miast w poszukiwaniu lepszej pracy, osłabienia więzi pokoleniowych, zmian w modelach rodziny (domy wielopokoleniowe stały się reliktem przeszłości), indywidualizmu oraz ekstremalnie szybkiego tempa życia, w którym brakuje czasu na pielęgnowanie relacji – szczególnie z osobami starszymi, które często uważane są za „niedzisiejsze".

Ze wspomnianego już raportu „Badanie potrzeb społecznych seniorów 2025" wynika, że 35,1 proc. z nich mieszka samodzielnie, a kolejne 44,4 proc. żyje w gospodarstwie dwuosobowym z osobą w wieku 60+. Dowiadujemy się również, że 30 proc. badanych często lub bardzo często odczuwa samotność, a 1 na 4 seniorów deklaruje kontakty towarzyskie rzadsze niż raz w miesiącu.

Prof. Podhorecka zwraca uwagę, że izolacja społeczna i samotność zwiększają ryzyko występowania chorób demencyjnych oraz depresji.

– Dużo mówi się dziś o „więźniach czwartego piętra", czyli osobach, które poruszają się po mieszkaniu, ale ze względu na schody nie są w stanie samodzielnie wyjść z domu. To problem systemowy, ale w żadnych programach zdrowotnych skierowanych do seniorów nie ma działań temu zapobiegających – wyjaśnia badaczka. – Człowiek do życia potrzebuje innych ludzi, bez względu na to, czy jest młody, czy stary. A senior, który nie ma się do kogo odezwać, czuje się niewidzialny i zbędny. Myśli, że mógłby nie istnieć i nikt by tego nie zauważył.

Poczucie izolacji potęgowane jest przez wykluczenie cyfrowe i brak oferty (np. kulturalnej) dla osób starszych, szczególnie w mniejszych miejscowościach. W efekcie pozbawieni relacji z otoczeniem seniorzy spędzają długie godziny przed telewizorem – dla wielu z nich jest to sposób radzenia sobie z poczuciem



ANDRZEJ ROMAŃSKI / UMK

PROF. MARTA PODHORECKA:

Człowiek do życia potrzebuje innych ludzi, bez względu na to, czy jest młody, czy stary. A senior, który nie ma się do kogo odezwać, czuje się niewidzialny i zbędny.

osamotnienia, namiastka obecności drugiego człowieka. Nawet jeżeli jego głos dobiega z ekranu.

– Seniorom brakuje rozmowy o zwykłych, codziennych sprawach. Takie niezobowiązujące pogawędki sprawiają, że choć przez chwilę czują się potrzebni – mówi Justyna Żuk, która w swojej pracy z seniorami zauważa, iż często „zagajają" rozmowę, bo potrzebują choćby chwili uwagi. – Często nie chodzi o konkretną poradę czy rozwiązanie problemu, raczej o to, by ktoś ich wysłuchał. Bez zawstydzania, bez obwiniania, bez oceniania – wyjaśnia.

Proszę państwa, to się leczy

Przeświadczenie o tym, że kiepska kondycja psychiczna to naturalny element starości, sprawia, że seniorzy często bagatelizują problemy psychiczne lub wręcz się poddają. Dlatego tak ważna jest czujność najbliższych – bo często to właśnie oni jako pierwsi mogą zauważyć niepokojące sygnały.

Dr Księżopolska uczula, że depresja w wieku senioralnym często przebiega bez widocznego smutku. Istotna jest każda, nawet pozornie niewielka zmiana na gorsze. Może to być ciągłe zmęczenie, problemy ze snem, wycofanie z kontaktów i aktywności, nadmierna koncentracja na dolegliwościach fizycznych, spowolnienie czy apatia. – Warto również pamiętać, że zaburzenia lękowe czy zaburzenia nastroju naprawdę nie są „naturalnym elementem starości", ale chorobami, które jeśli są odpowiednio zdiagnozowane, dobrze reagują na farmakoterapię – podkreśla lekarka i dodaje, że leki mogą również pomóc seniorom z chorobami otępiennymi. – Nie czynią one cudów i nie przywracają pamięci, ale niwelują zaburzenia nastroju, uspokajają, regulują sen i spowalniają zmiany neurodegeneracyjne w mózgu.

Sporą przeszkodą w kwestii pomocy seniorom doświadczającym problemów psychicznych może być również opór ich samych przed wizytą u psychiatry. Dla wielu konsultacja u takiego specjalisty jest wstydliwa i stygmatyzująca, bo „za ich czasów" leczenie psychiatryczne było równoznaczne z etykietą „wariata".

Jednocześnie dr Księżopolska przyznaje, że w ostatnich latach podejście do kwestii zdrowia psychicznego osób starszych zaczęło się zmieniać. Po pierwsze – w wiek senioralny powoli wchodzą osoby bardziej świadome takich problemów, a po drugie – w otoczeniu starszych osób coraz częściej są bliscy, którzy sami korzystają z pomocy psychiatrów czy psychoterapeutów.

Co istotne, pierwszym krokiem w pomocy seniorowi nie zawsze musi być konsultacja u psychiatry czy psychogeriatry. – Wielu lekarzy rodzinnych potrafi rozpoznać i skutecznie leczyć łagodniejsze epizody depresyjne czy zaburzenia lękowe. Oczywiście jeżeli sytuacja będzie poważna, lekarz skieruje pacjenta do odpowiednich specjalistów, kluczowe jest jednak podjęcie jakichkolwiek działań – wyjaśnia psychiatrka.

Taka taktyka okazała się pomocna w przypadku pani Janiny. Seniorka nie chciała słyszeć o wizycie u psychiatry, więc córki umówiły ją na konsultację do lekarza rodzinnego. – Poszłyśmy razem, pomogłyśmy opowiedzieć, co się z nią dzieje. Lekarz zlecił różne badania, a na koniec mama dostała leki na bezsenność i depresję – opowiada Joanna.

Poprawa widoczna była już po kilku tygodniach. Niedawno w rozmowie z córkami pani Janina wyznała, że czuje ulgę i cieszy się, że znów jest tak, jak dawniej. – Wiecie, ta wizyta u doktora to był niegłupi pomysł – skwitowała ostatnio.

© MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

eprasa.pl df2b558170

OLGA

Drenda:
Dzięki, muzyko



W chwilach wyjątkowego zagęszczenia się wydarzeń zdarza mi się, że mój mózg samorzutnie wygospodarowuje dla siebie margines dla „czego innego". Żywa, fizyczna ja (by nie użyć nieśmiertelnego sformułowania: „moja osoba") działa sobie niczym golem, wykonując sprawnie standardowe obowiązki, a głowa jest gdzie indziej, bo akurat postanowiła przypomnieć sobie po latach coś z matematyki albo uznała, że to właśnie teraz jest najlepszy moment, by przeczytać tysiąc stron „Niewyczerpanego żartu"*. Prawdopodobnie to jakaś metoda psychicznego schładzania się.

Akurat znalazłam się w położeniu obiektywnie przysparzającym sporo pracy i nerwów, być może najbardziej w moim dotychczasowym poczciwym życiu. Zrządzeniem losu w kulminacyjny, najtrudniejszy dzień okazało się, że po latach rozwiązano pewną zagadkę, którą i ja śledziłam: opublikowano pełną wersję piosenki „Kto tu jest niewinny" Małgorzaty Paneckiej. Był to niespodziewany dar, który pozwolił przydusić w sobie niepokój zaabsorbowaniem, a mnie – dał przetoczyć się przez ten dzień i wytrzymać aż do dobrych wiadomości.

Trzeba byłoby długaśnego zwoju, by opisać poszukiwania „Kto tu jest niewinny". Ludzie zgromadzeni w internetowych społecznościach Lostwave (termin opisujący zagadkowe, niezidentyfikowane utwory) przez całe lata próbowali rozpoznać piosenkę, której fragment na anonimowej kasecie kupionej na targu znalazł użytkownik Adam R. Pytali w archiwach stacji radiowych, przeszukiwali starą prasę, wsłuchiwali się w nagrania wokalistek z tamtych czasów i pisali do nich, próbując dociec, kto stoi za dynamiczną, jakby napompowaną helem melodią. Teraz mamy już cały album złożony z odzyskanych archiwaliów: od odrobinkę pożyczonej od Beatlesów** linii zwrotki w „Kroplach i pudełkach" po pechowo spóźniony na lata 90. jazzikowy pop.

Smak życia



OLGA DRENDA

Nie wiem, czy Małgorzata Panecka kiedyś opowie o swojej przygodzie z równoległym życiem i o sławie, której być może nie była świadoma. Kto pamięta film „Sugar man", ten pamięta Sixto Rodrigueza, folkowego gitarzystę z lat 60. Zniechęcony brakiem powodzenia w rodzimych Stanach zrezygnował z muzyki i żył życiem anonimowego, niezamożnego człowieka, nie wiedząc, jak kultowe stały się jego nagrania w dalekim RPA. Małgorzata Panecka trafiła nieszczęśliwie na przełom lat 80. i 90., kiedy cała Polska chciała słuchać to disco polo, to ciężkiego rocka (a czasem jednego i drugiego naraz). Jej nagrania ukazały się za późno, za bardzo przypominając jeszcze poprzednią dekadę. To los typowy dla debiutantek tamtych czasów, skazanych na los niemodnych już w chwili premiery. Nawet jeśli muzycznie nie wszystko mi się podoba, to czuję do nich odruchową sympatię. I cieszę się z tej odrobiny sprawiedliwości po latach, widząc teraz komentarze ludzi z całego świata zachwyconych „Niewinnym", który przypomina im japoński city pop, i Polaków, którzy chcą przy jego dźwiękach mknąć ku słońcu Polonezem.

Podobno – tak sugerują badania zlecone przez duże platformy streamingowe – ludzie zmieniają swoje podejście do muzyki w czwartej dekadzie życia. Przede wszystkim przestają poszukiwać nowości, nie interesują ich już zaskoczenia czy odkrycia, wybierają raczej cieplutki mały konserwatyzm i postawę inżyniera Mamonia. To nawet sympatyczne, ten kuszący świat wygodnych kapciuszków.

Ale są i tendencje smutniejsze – po trzydziestce niektórych przestaje po prostu interesować muzyka jako taka, a uszy nastawiają już jedynie na donośne skrzeczenie rzeczywistości. Nie da się oczywiście zaprzeczyć, że nadmiar obowiązków czy zabójcza przeplatanka pośpiechu z monotonią, która rozlewa się bezpardonowo w życiu, potrafi powalić nieraz i najsilniejszego, zmuszając do poruszania się na autopilocie. Pasje zmieniają się wówczas w jeszcze jeden przykry obowiązek, rzeczy niedawno kochane szarzeją i irytują.

Nasuwa się jednak smutna konstatacja, że rezygnowanie akurat z muzyki (czy innego rodzaju kontaktu z twórczością) to wyłączenie w sobie tego narzędzia, które pozwala bronić się odrobinkę przed naporem brzydkiej rzeczywistości. Pani Małgorzata i pracowici ludzie z internetu nie wiedzieli, że pomogli w ten sposób i mnie. ©

** Tak naprawdę wciąż nie przeczytałam „Niewyczerpanego żartu".*
*** Tak, słyszę tam „Got to get you into my life", ale to dobry wzór.*

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl df2b558170

GRAND ESG



STRATEGIA NA LEPSZE JUTRO

- Globalne trendy i wpływ na zrównoważony rozwój
- Co zostaje z ESG, gdy opada polityczny kurz
- Cyrkularność: między potencjałem a ograniczeniami systemu
- Liderzy zmiany – inspirowanie zespołów do działań zrównoważonych
- Zrównoważony marketing – nowy wymiar budowania marki

PRAKTYCZNE CASE STUDIES • REALNE WYZWANIA I ROZWIĄZANIA • NETWORKING Z DECYDENTAMI

BĄDŹ CZĘŚCIĄ ZMIANY - DOŁĄCZ DO ROZMOWY, KTÓRA MA ZNACZENIE

KONFERENCJA 16 KWIETNIA 2026

SZCZEGÓŁY NA WWW.GRANDESG.PL

Organizator

GRAND Press FOUND.

Partner merytoryczny i inicjujący

Garden of Words GROUP

Mecenas konferencji

ORLEN

Patronat Honorowy JM Rektora

Szkoła Główna Handlowa w Warszawie

Partnerzy konferencji

Totalizator Sportowy | 7 LAT

TAURON

pepsico Food. Drinks. Smiles.

PHILIP MORRIS POLSKA

ERGO HESTIA

LPP

Patroni instytucjonalni

Forum Odpowiedzialnego Biznesu

SAPR stowarzyszenie agencji public relations

ZFPR Związek Firm Public Relations

OFOP Ogólnopolska Federacja Organizacji Pozarządowych

AKADEMIA ESG

Patroni medialni

100 LAT POLSKIEGO RADIA

pap Polska Agencja Prasowa

ngo.pl

PRoto

oESG.pl

RAPORT CSR.PL

ESG trends

ESG.pl

ODPOWIEDZIALNY BIZNES.PL Portal Forum Odpowiedzialnego Biznesu

REKLAMA

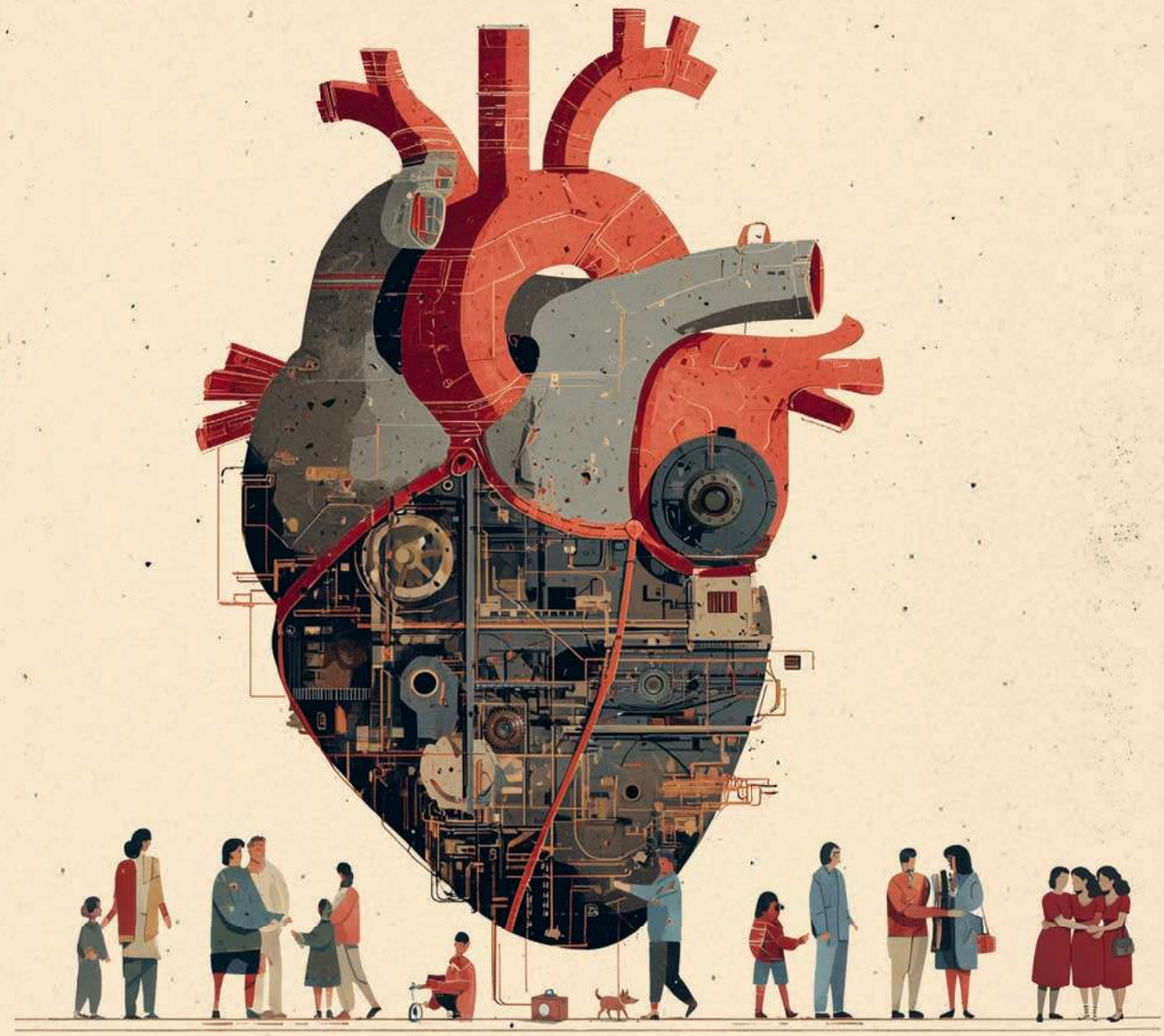
eprasa.pl df2b558170

PSYCHE

WIDZĘ CIĘ

NATALIA DE BARBARO, PSYCHOLOŻKA:

Istnieje zależność między zgodą na siebie a zgodą na innych. Zajmowanie się sobą jest też po to, by otworzyć oczy na to, co poza mną.



eprasa.pl df2b558170

EWELINA BURDA: Jesteś osobą, która wierzy w miłość.

NATALIA DE BARBARO: Mocno w sercu mam przekonanie, że w świecie jest dużo miłości. Ale wiem, że są ludzie, którzy tak nie uważają. Dlatego wydaje mi się pożyteczne, żeby się tą wiarą w miłość dzielić.

Napisałaś o tym w dedykacji do swojej nowej książki „Przejścia. Którędy do miłości".

Miłość to dla mnie słowo-baza. Ale w tym, co piszę i mówię, nie chodzi tylko o miłość romantyczną, którą najczęściej przez to słowo rozumiemy. Miłość to w świecie taka siła, która ma wiele twarzy i której można różnie doświadczać. Bardzo lubię to, co powiedziała Olga Tokarczuk: że najskromniejszą odmianą miłości jest czułość.

Podasz przykład?

Kiedy moja świętej pamięci teściowa chorowała i jej sąsiadka przychodziła z ciepłą zupą. Albo kiedy uśmiechnę się bezinteresownie do kogoś na przystanku. Gesty, którymi przepełniona jest codzienność, z pozoru niewyglądające na miłość.

A miłość do siebie?

Patrzę na miłość jak na coś, co ma konsystencję powietrza. Siedzimy tu i rozmawiamy we dwie: trudno wydzielić, gdzie kończy się moje, a zaczyna twoje powietrze. Jest tylko nasze wspólne.

Taki eksperyment myślowy: czy jest możliwe, że jestem sobie nieżyczliwa, nie lubię siebie, nie kocham siebie, a rozdaję miłość? Wydaje mi się, że to byłoby bardzo trudne. Pewien poziom życzliwości do siebie jest potrzebny, żeby czynić dobro.

I uważam, że dopiero w momencie, kiedy się co najmniej polubimy, to możemy przejść do zajmowania się światem. Ale kiedy człowiek jest w bólu, w lęku, granicznie wyczerpany, to nie ma siły, żeby dawać. Dla mnie miłość do siebie i miłość do świata to nie jest albo-albo. Jedno napędza drugie.

A gdy codzienność nam za bardzo ciąży, żeby to dostrzec?

Oczywiście są pewne okoliczności, które są niezwykle trudne, i są okoliczności, które są wyraźnie przyjemne. Ale każde spojrzenie na rzeczywistość jest interpretacyjne. Jak listonosz idzie ulicą, to jest to inna ulica, niż jak idziesz nią ty czy mój syn, skate, który wypatruje, gdzie są spoty.

Ważna wydaje mi się pozycja sprawcza: patrzę na swoją codzienność i decyduję, czego w niej szukam. Jeżeli szukam dowodów na to, że świat jest wobec mnie niesprawiedliwy, to je znajdę. Uznam, że światło zmienia się na czerwone właśnie wtedy, gdy podjadę na skrzyżowanie. Bo mamy naturalną tendencję, żeby bardziej zwracać uwagę na to, co jest brakiem.

To znaczy?

Siedzimy tu razem: nie jest nam zimno, nie jest nam za gorąco. Jest w porządku. Nie poświęcamy temu uwagi, ale jakby temperatura zmieniła się na niekorzystną, od razu byśmy to zauważyły. I takiemu mechanizmowi – plus jeszcze wielu innym – podlega to, jaką sobie opowiadamy historię naszej codzienności. Patrzysz na swój dzisiejszy dzień: możesz zrobić listę nieprzyjemnych sytuacji, ale możesz też poszukać rzeczy, które były w porządku.

Mam wrażenie, że to myślenie dobrze o swojej codzienności utrudniają nam obrazy idealnych żyć, którymi jesteśmy zarzucani. Niby wiemy, że nie są prawdziwe, ale nam mącą.

Gdy to powiedziałaś, pomyślałam o tym, że funkcjonując w przestrzeni społecznej, podlegamy takim dwóm frontom atmosferycznym.

Jakim?

Z jednej strony widzimy nagrania koleżanki, która o wschodzie słońca przebiegła 10 kilometrów. Jest uśmiechnięta, nawet się nie spociła. Minutę później wchodzimy na portal i widzimy, jak na domy spadają bomby. Gdybyśmy tylko z takich skrajnych przekazów mieli czerpać nasze przekonania o świecie, to byśmy żyli w wielkim zakrzywieniu.

To co mogę zrobić?

Dla mnie taką odpowiedzią jest jakiś rodzaj uważności wobec tkanki życia. Mam też takie przemyślenie, wydaje mi się, że to dotyczy wielu ludzi, obstawiam, że też czytelniczek i czytelników „Tygodnika". Mianowicie: mamy w sobie wielkie poczucie zobowiązania wobec nieszczęść tego świata. Czujemy się w obowiązku interesować nimi, traktujemy to jako nasz akt solidarności. Ja też myślę, że to nasz obowiązek: nie być obojętnymi. Ale między lukrowanym przekazem o idealnym poranku a informacją, ile ataków w nocy było na Kijów, gdzie ja mam znaleźć swoje bezpośrednie doświadczenie życia? Bo żaden z tych dwóch przekazów nie mówi o mojej codzienności.

Więc dla mnie najważniejsze jest tu pytanie: jak mogę z uważnością dotykać tkanki swojego życia?

A jak Ty to robisz?

Po igrzyskach w Paryżu wróciłam do nauki francuskiego. Mam taki ulubiony podkast po francusku, „Ex", którego każdy odcinek to historia miłosna. Bohaterki tych opowieści, opowiadając o latach dobrej codzienności u boku kogoś, kogo kochają, często używają pojęcia „pełni szczęścia" – *bonheur absolu.*

Na początku mnie to drażniło. Jaka „pełnia szczęścia"? Przecież musiały tam być kłótnie, jakieś choroby, dwóje z matematyki, zmęczenie. Ale im dłużej z tą „pełnią szczęścia" byłam, tym skuteczniej do mnie przemawiała. I teraz na co dzień przychodzi mi to *bonheur absolu* do głowy. A raczej do serca. Ktoś cię kocha. W lodówce jest jedzenie, które lubisz. Było mi zimno, więc się ubrałam. Lubię też patrzeć na rzeczy powtarzalne: na nowy, jeszcze nienapoczęty dzień. Na to, że znowu przyszła wiosna. I to przepełnia mnie poczuciem szczęścia.

Zawsze tak u Ciebie było?

Gdyby nie praca, którą wykonałam, żeby dobrze się czuć w swoim towarzystwie i żeby mieć do siebie życzliwość, to pewnie nie mogłabym tak patrzeć na całość. To zajmowanie się sobą jest też w pewnym sensie po to, żeby móc otworzyć oczy na to, co poza mną.

A jak znaleźć czas na to zajęcie się sobą?

W jakimś sensie cały czas to robimy, bo cały czas traktujemy siebie jakoś, w lepszy lub gorszy sposób. W tym sensie to zajmowanie się sobą nie jest czymś, co można wydzielić: że np. we wtorek po południu poświęcę godzinę na czytanie książki psychologicznej i mam ten *self-care*, modne słowo, załatwiony na cały tydzień. ↦

FOT PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

eprasa.pl df2b558170

↦ Wierzę w pewnego rodzaju rytuały, sama regularnie chodzę na jogę, jestem w kręgu kobiet, robię różne rzeczy, jak to się mówi, dla siebie. Ale kluczowa jest ta codzienność. I myślę, że jest wiele momentów wewnątrz nawet bardzo gęstego, trudnego dnia, kiedy możemy twórczo podejść do tego, żeby być dla siebie życzliwe. Czym jeździsz do pracy?

Teraz samochodem, za chwilę już rowerem.

I ten czas w samochodzie: w jaki sposób go spędzasz? Możesz planować, co zrobisz w pracy, albo zadać sobie pytanie: „Czego naprawdę mam ochotę posłuchać?". Możesz w trzy sekundy spróbować poczuć, jak się naprawdę czujesz. Zrobić taki akt: „Widzę cię. Widzę cię, Ewelina". W ciągu całego dnia mogę być bliżej albo dalej od siebie, zadbać o siebie lub siebie przekraczać. Bez względu na to, co wybiorę, licznik bije. A zajęcie się sobą nie oznacza, że nie przejmuję się innymi.

Kiedy mówimy o zadbaniu o siebie, nie może nie paść słowo na „t".

Terapia jest narzędziem. Jestem człowiekiem, składam się z różnych uczuć, mechanizmów. Zostałam zbudowana z niepowtarzalnego splotu okoliczności biologicznych, rodzinnych. Nie mam innego sposobu doświadczania świata niż poprzez siebie. Więc wydaje mi się czymś naturalnym, że chcę zrozumieć swój sposób funkcjonowania w świecie. Czemu to mnie wścieka? Czemu to mnie przeraża? Czemu to mnie pociąga? Czemu tu zachowuję się nie tak, jak bym chciała? Czemu mnie boli, chociaż innych w takiej sytuacji nie boli? Czemu mnie nie boli, chociaż innych boli?

To bardzo komfortowe, kiedy z terapii możemy korzystać rozwojowo, a punktem wyjścia nie jest kryzys.

Dla mnie terapia nie jest ostatecznością, a normalną rzeczą, ale to może dlatego, że urodziłam się i wychowałam w rodzinie terapeutów. Sama pierwszy raz na terapię poszłam, gdy nie mogłam zajść w ciążę i było to dla mnie źródłem wielkiego bólu i wielu zmagań. Więc moje pierwsze doświadczenie było reakcją na coś trudnego w życiu. Ale w terapii byłam kilkukrotnie – po to, żeby poszerzać obszar swojej wewnętrznej wolności. Do rozumienia siebie, czucia siebie i dzięki temu wybierania tego, co mi służy.



MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

NATALIA DE BARBARO jest psycholożką, poetką, felietonistką. Prowadzi autorskie warsztaty dla kobiet „Własny pokój". Autorka bestsellerowych książek: „Czuła przewodniczka. Kobieca droga do siebie", „Przędza. W poszukiwaniu wewnętrznej wolności" oraz najnowszej „Przejścia. Którędy do miłości" (Wydawnictwo Agora). Wydała także zbiory poezji: „Krwawnik, mniszek, uludka", „Ciemnia" i „Tkanka". Publikuje na łamach miesięcznika „Zwierciadło". Stale współpracuje z „TP".

Bez terapii się dziś nie da?

Ja jestem bardzo proterapeutyczna, ale widzę wiele opcji. Znam ludzi, którzy mają się dobrze w życiu, mam poczucie, że jakoś rozumieją siebie, a nigdy nie byli na terapii. Jest mnóstwo różnych sposobów. Są kręgi kobiet, są sposoby poznawania siebie przez reakcję swojego ciała w sporcie czy w jodze. Duże firmy fundują procesy coachingowe: one mogą mieć różną głębokość. Są przyjaciele, są dobre związki, są ludzie, z którymi rozmowy potrafią bardzo karmić i pogłębiać zrozumienie siebie i świata.

To jak już poukładamy relacje ze sobą – jak układać relacje z innymi?

Widzę wyraźnie tę zależność między zgodą na siebie a zgodą na innych. Opowiem o sobie: kiedy myślę o sobie jako mamie, to generalnie uważam się za dobrą mamę. Mój syn ma dziś 22 lata. Ale jak myślę o błędach, które nieuchronnie popełniłam, to widzę tak: chciałam, żeby mój syn uspokajał moje niepokoje o niego. Nie wprost, ale tak zadawałam pytania: „Dobre było?". „Fajnie było?". „Pogodziłeś się już z Kaziem, prawda?". W pewnym sensie używałam go do obsługi swojego lęku. I jeżeli ja popracowałam z tym lękiem, zrozumiałam go i jest go we mnie już dużo mniej, to mogę spytać syna: „Jak tam?". I nie reagować lękowo na odpowiedź, jaka by nie była.

Jeśli uda nam się wypracować taką umiejętność, żeby nie używać innych do swoich spraw, to pojawi się ład. I taka bezinteresowna ciekawość drugim człowiekiem, otwartość na niego.

Coś jeszcze?

Chyba w tym wszystkim chodzi o to, że jak mało czepiamy się siebie, to nie czepiamy się innych. Nie denerwują nas, łatwiej się dogadać. Puszcza ocena. I wtedy mogę zaoferować coś, co wydaje mi się największym prezentem, jaki można dać także drugiemu człowiekowi. Czyli to głębokie, prawdziwe „widzę cię". Coś, co jest wielką tęsknotą wielu ludzi.

Mówisz często, że w każdej historii można zobaczyć coś, co jest jasne. W nowej książce nazywasz to przejściami.

To piękne słowo. Fascynuje mnie i podoba mi się jego podwójność. Bo z jednej strony przejścia są trudne: jestem po przejściach; czegoś nie dało się przejść suchą stopą ani tanecznym krokiem. A z drugiej strony można znaleźć przejście: rozwiązanie, coś nowego, świeżego.

I w opozycji do przejścia stawiasz bunkier: miejsce, gdzie się chowamy.

Tu przychodzi mi do głowy taka historia – podobne do niej wiele razy słyszałam na warsztatach dla kobiet „Własny pokój", które prowadzę. Kiedy dziewczynka obejmowała swoją mamę, to czuła, jak ciało mamy sztywniało. I uczyła się wtedy, że bliskość jest czymś, co boli. Pragnie ciepła, a dostaje lód. I z takim przekonaniem zeszła do „bunkra". Jest dorosłą kobietą, na zewnątrz wszystko jest wspaniale: „telewizor, meble, mały fiat", jak ze starej piosenki Perfektu – choć dziś byłby to już inny zestaw. Ale nie sięga po to, co miękkie, ciepłe, po relacje, bo boi się, że znowu zostanie odrzucona.

eprasa.pl df2b558170

Co jeszcze widzisz na tych warsztatach?

Często widzę wielką tęsknotę za miłością. Ta tęsknota jest też żywa w mężczyznach. Takie wahanie: może i miłość jest, ale czy dotyczy też mnie? I wokół tego jest dużo bólu. Smutne jest, gdy ktoś dzieli się tym, że nie znał bliskości przez kilkadziesiąt lat życia: bo słyszał tylko głos krytyczny, czuł zimne spojrzenie. I odkrywa to bardzo późno – ale odkrywa. I to jest wspaniałe.

Uderza mnie także to, jak czasem łatwo stworzyć nową więź. Obserwowanie tego, co wydarza się pomiędzy uczestniczkami, jak łatwo to przychodzi, nawet po latach życia w chłodzie.

Powiesz o początkach?

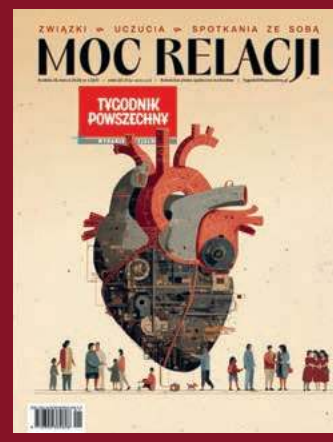
Znasz to uczucie, że odkrywasz coś, co jest totalnie twoje? Jedziesz do kraju, w którym się wspaniale czujesz, kupujesz kieckę, której nie możesz po prostu potem zdjąć. W życiu na różnych poziomach odkrywamy swój dom: w smakach, krajobrazach, relacjach. I ja znalazłam swój dom właśnie w tej przestrzeni warsztatów dla kobiet.

Jak się jest człowiekiem czującym i patrzącym, to proces patrzenia na ludzi, uczenia się i takiego „obczuwania" ich trwa od samego początku, od pierwszej sekundy życia. Miałam dużo barwnych kobiet w rodzinie. Moja mama, jej mama, mama mojego taty, jej siostry – mam doświadczenia fajnych więzi z kobietami od początku życia. Ale pracowałam przez wiele lat głównie z mężczyznami i chyba byłam niedokarmiona taką wspólnotą kobiecą. 10 lat temu zaczęłam z warsztatami, odkrywając, że mi to bardzo smakuje.

Jakie one są?

Kameralne, spotyka się maksymalnie 10 kobiet. Każda z nas się zachowuje tak, jak tęskni, żeby zachowywano się w stosunku do niej. Jest szacunek, otwartość, nie ma ściemy. I wtedy może wydarzyć się wiele karmiących rzeczy. Jestem bardzo wdzięczna, że mogę być w tej bliskości, dawać ją i sama z niej czerpać.

Wiele z tych obserwacji opisałaś w swojej pierwszej książce, „Czuła przewodniczka", która ma teraz piąte urodziny. I stała się ważna dla tysięcy kobiet. Co się u Ciebie zmieniło od jej premiery?



Tekst pochodzi
z wydania specjalnego

„MOC RELACJI",

które miało swoją premierę
25 marca 2026 r.

Zamów na naszej stronie:
sklep.TygodnikPowszechny.pl

Skala jest dalej dla mnie niesamowita: dziś to ponad 750 tys. sprzedanych egzemplarzy. Ale kiedy ją pisałam, nie wiedziałam, czy się przyjmie. Dziś czuję, że mam większe poczucie wpływu. Nie wiem, czy to jest obciążające, czy tylko fajne. Potrzebowałam różne rzeczy przekalibrować w swoim życiu, ale główna zmiana dotyczy tego, że mogę w pełni zajmować się tymi warsztatami, które tak kocham. Mam też więcej pieniędzy na podróże, które uwielbiam. I jest też kawałek związany z tak zwaną popularnością, który jest dla mnie taki...

...dziwny?

Tak, jest dziwny. Dla pewnej grupy stałam się ważną postacią, czasami idealizowaną, co jest nieuchronne. Na jakimś płytkim poziomie to bywa nawet przyjemne. A z drugiej strony mam w sobie zdziwienie tym. I to jest zdziwienie, którego nie chcę nie mieć.

Co Cię trzyma przy ziemi?

Uważam się za osobę zwyczajną. Ale kiedy w kolejnej małej miejscowości na spotkaniu jest pełna sala, ludzie długo i głośno biją brawo, stoją w długiej kolejce i mówią, że są poruszeni, to przez chwileczkę można o tym zapomnieć. Ale wystarczy, że minie trochę czasu. Że trzeba umyć po sobie kubek, coś ugotować, przychodzi pismo z urzędu. Codzienność dostarcza na szczęście wiele takich uziemiających sytuacji. Na szczęście.

Nie odbieram sobie osiągnięć i wykonanej przez lata pracy, ale mam poczucie, że to w jakimś sensie nie ma ze mną nic wspólnego.

To znaczy?

Że to jest przypadkowe: kalejdoskop się tak ułożył, że urodziłam się w takiej rodzinie, z takim DNA, z takimi zdolnościami, z takimi brakami. I tak wyszło. W pewnym sensie nie przypisuję tego sobie.

Nie jesteś panią swojego sukcesu? Self-made woman?

Na poziomie opisu do CV pewnie można tak o mnie powiedzieć. Wiem, z czym się zmagałam i ile pracy włożyłam. Ale czy włożyłam w swoją codzienność więcej pracy niż inni ludzie? Nie. Rozumiem swoje zalety, ale nie czuję się lepsza od innych. Bo to byłby straszny kłopot, gdybym tak miała i uwierzyła, że jestem z jakiegoś innego porządku, z lepszego rozdania.

Chciałam na koniec zrobić z Tobą jedno ćwiczenie z „Przejść", moje ulubione. Trzeba dokończyć zdanie: Jestem pierwszą kobietą z rodu, która...

Mało jest rzeczy, które można powiedzieć z pewnością. Bo jak to zrobić, jeśli przodkiń mamy dwanaście tysięcy w prostej linii? Tam na bank działy się dobre rzeczy. I w związku z tym nie jesteśmy tu same. Z tego, co wiem, to jestem pierwszą kobietą z rodu, która pisze książki dla kobiet, tłumaczone potem na kilkanaście języków. Ale na pewno nie jestem pierwszą, która szuka wolności. I na pewno nie jestem pierwszą, która wierzy w miłość.

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

eprasa.pl df2b558170

WĘGRY TEORETYCZNE I WĘGRY FAKTYCZNE

Dla tego kraju to najważniejsze wybory od 1989 r. Sondaże wieszczą koniec 16-letnich rządów Viktora Orbána. Ale jego przegrana nie oznacza, że państwo uda się naprawić – premier skrzętnie zabezpieczył interesy swego obozu.

DOMINIK HÉJJ



eprasa.pl df2b558170

Nie będzie nadużyciem stwierdzenie, że w niedzielę 12 kwietnia oczy całej Europy, a może nie tylko Europy, zwrócą się ku Budapesztowi. Zwłaszcza o dziewiętnastej, gdy zamkną się lokale wyborcze i usłyszymy sondażowe wyniki.

Teoretycznie w tych wyborach startuje pięć partii. Biuro Wyborcze przydzieliło numery komitetom: jedynkę otrzymała Partia Psa o Dwóch Ogonach (formacja satyryczna), dwójkę Tisza, trójkę Ruch Naszej Ojczyzny (Mi Hazánk Mozgalom), czwórkę liberalna Koalicja Demokratyczna, piątkę rządząca koalicja Fidesz-KDNP (KDNP to Chrześcijańsko-Demokratyczna Partia Ludowa, która od 2010 r. jest w trwałej koalicji z partią premiera Viktora Orbána).

Praktycznie liczą się dwie siły: rządowy blok Orbána i opozycyjna Tisza Pétera Magyara. Według ostatnich sondaży mogą razem przejąć nawet 90 proc. głosów. Oba obozy są zdyscyplinowane: deklarowana frekwencja w ich elektoratach wynosi ok. 90 procent. Z pozostałych trzech komitetów jedynka i czwórka są marginalne; szansę na przekroczenie progu wyborczego ma jeszcze tylko skrajnie prawicowy Ruch Naszej Ojczyzny.

Z sondażu, który w połowie marca przeprowadził ośrodek 21 Research Center Survey (to on najtrafniej przewidział wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego w 2024 r.), wynika, że w 199-osobowym parlamencie Tisza może liczyć na 115 mandatów, Fidesz na 78, a Mi Hazánk na sześć. Formacja Magyara miałaby więc komfortową większość.

Wybory jak referendum

Teoretycznie Tisza idzie po zwycięstwo. Takie wrażenie można było również odnieść obserwując, co działo się na ulicach Budapesztu w niedzielę 15 marca. Dla Węgrów to ważny dzień: święto przypadające w rocznicę wybuchu powstania narodowego w 1848 r., w okresie Wiosny Ludów (Węgry należały wtedy do cesarstwa austriackiego; ich złoty wiek, czas podwójnej monarchii Austro-Węgier, miał zacząć się niespełna dwie dekady później).

Viktor Orbán podczas uroczystości państwowej po „Marszu Pokoju" zorganizowanym przez partię Fidesz w rocznicę rewolucji węgierskiej. Budapeszt, 15 marca 2026 r.

BALINT SZENTGALLAY / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Tego dnia Magyar zwołał zwolenników na „Marsz Narodowy". Według organizatorów wzięło w nim udział pół miliona ludzi. Inne źródła podają niższe szacunki, ale istotnie na dwukilometrowym odcinku Alei Andrássyego – łączącej Plac Deáka (tu krzyżują się trzy linie metra) z Placem Bohaterów – zebrały się tłumy nieprzebrane. Zorganizowany nieco wcześniej „Marsz Pokoju" Orbána, którego uczestnicy zebrali się na Placu Kossutha przed parlamentem, był na pewno mniej liczny. Premier nie składa jednak broni.

Przebieg tego święta pokazuje, jak głęboki stał się podział w społeczeństwie Węgier. Dwa obozy żywią wobec siebie niemal autentyczną nienawiść. Nawet koncyliacyjna postawa Magyara, który deklaruje odbudowę narodowej wspólnoty, nie łagodzi napięcia. Bo też wybory z 12 kwietnia są czymś w rodzaju referendum – nawet nie nad tym, czy Tisza powinna przejąć władzę, lecz nad oceną 16 lat nieprzerwanych rządów Fideszu.

Nic nie jest przesądzone

Skąd więc przymiotnik „teoretycznie"? Rzecz w tym, że sondaże, a w ślad za nimi myślenie życzeniowe dużej części komentatorów zniekształcają obraz. Wiara w koniec Orbána jest ogromna. Tymczasem rzeczywistość jest bardziej złożona.

Sondaże opierają się na deklaracjach wyborców zdecydowanych, którzy na pewno pójdą do urn. Jeśli w obu elektoratach 90 proc. deklaruje udział w głosowaniu, oznacza to, że potencjał mobilizacji zwolenników niemal się wyczerpał. Dodatkowych można pozyskać już tylko wśród tych, którzy dziś nie wiedzą, czy zagłosują, a jeśli tak, to na kogo.

Niedawno instytut Republikon opublikował badanie „Co wiemy o niezdecydowanych". Ich odsetek szacuje się na 23 proc., czyli 1,8 mln osób. W społeczeństwie liczącym 9,5 mln obywateli to potężna grupa. Wiadomo, że do urn pójdzie pewnie mniej niż połowa z nich (370 tys. deklaruje to z całą pewnością). Choć z analizy wynika, że niezdecydowanym bliżej jest do Tiszy, to zarazem tylko co trzeci z nich sądzi, że Orbán przegra. W sukces Magyara wierzy zaś jedynie 28 proc. niezdecydowanych.

Tymczasem według sondaży Tisza prowadzi przewagą półmilionową. To dużo, ale nie na tyle dużo, by Orbán musiał porzucić wszelką nadzieję. Musi teraz grać na pozyskanie niezdecydowanych i na demobilizację zwolenników opozycji (przepływów elektoratu między partią Magyara a Fideszem praktycznie nie ma).

Warto też pamiętać, że do głosowania korespondencyjnego uprawniona jest węgierska diaspora. Mowa o niespełna pół milionie wyborców, którzy od czasu wprowadzenia tej procedury w 2014 r. w ponad 90 procentach opowiadają się po stronie Orbána.

Wizja Orbána: państwo wrogami otoczone

Nic dziwnego, że przemówienia, które 15 marca wygłosili Orbán i Magyar, adresowane były głównie do ich żelaznych elektoratów. Oba były też swego rodzaju streszczeniem tematów, na których te dwa obozy oparły swoje kampanie.

Orbán buduje obraz Węgier jako okrętu, który przed katastrofą może uchronić jedynie on. W tej wizji górą lodową, która może zatopić „Titanica", są Ukraina i Unia Europejska. Premier przekonuje, że Unia chce wypowiedzieć Rosji wojnę przed 2030 r. Twierdzi też, że Ukraina jest gotowa zaatakować Węgry. Na razie jej celem miałaby być infrastruktura krytyczna, stąd na początku marca w okolice takich obiektów ostentacyjnie przegrupowano wojsko.

To paradoks: Ukraina, którą Orbán od co najmniej 2018 r. przedstawia jako państwo upadłe, ma być zagrożeniem. Obiektywnie to teza kuriozalna, kalka rosyjskiej propagandy. Ale w elektoracie Fideszu trafia na podatny grunt. Wyborcy Orbána w ogromnej większości uważają, że w 2022 r. Rosja zaatakowała Ukrainę z winy Kijowa i Zachodu.

Nie oznacza to automatycznie, że ten elektorat jest prorosyjski – on po prostu przyjął narrację rządzących. Przykładowo: gdy po ujawnieniu masowych grobów w Buczy Orbán podał w wątpliwość rosyjskie sprawstwo, jego zwolennicy uznali, że „żyjemy w czasach, w których nie można być pewnym tego, co się widzi".

Przewrotne słowo „pokój"

Narracja o rzekomo agresywnej Unii towarzyszy też węgierskiej dyskusji o programie tanich unijnych kredytów na zbrojenia SAFE. Co nie przeszkadza Orbánowi ubiegać się o 16 mld euro z tego programu ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ (premier nazywa go „propokojowym, a nie wojennym"). Na razie środki te są zawieszone ze względu na mechanizm warunkowości zastosowany wobec Węgier już w 2022 r. Rada Unii uznała, że węgierski wymiar sprawiedliwości nie gwarantuje kontroli nad uczciwym wydatkowaniem unijnych pieniędzy.

Jest to pogląd uzasadniony. Ludzie z otoczenia Orbána, wobec których w przeszłości padały naprawdę poważne zarzuty o defraudację funduszy unijnych – jest wśród nich także zięć premiera – nie ponieśli dotąd z tego tytułu żadnej odpowiedzialności.

Na ostatniej prostej przed 12 kwietnia zwolennicy Fideszu żyją więc w lęku przed wojną (rozpętaną, według premiera, przez Zachód). Nie chcą być też „ukraińską kolonią", jak głosiło hasło na transparencie niesionym na czele „Marszu Pokoju". Do tego dochodzi dziś strach przed nową falą migrantów, która może być skutkiem wojny na Bliskim Wschodzie.

Warto dodać, że obóz Orbána i jego media skrzętnie przemilczają kwestię, kto zaczął wojnę z Iranem. Taka wiedza nie współgrałaby ani z „propokojowym" wizerunkiem Donalda Trumpa, ani z hołubionym tu politycznym sojusznikiem Orbána – Beniaminem Netanjahu.

Czy w przekazie Orbána jest miejsce na pozytywy? Niewiele. Premier podkreśla czasem, że Węgry to jedyny kraj Europy, gdzie matki wychowujące co najmniej dwoje dzieci są zwolnione z podatku dochodowego. Jednak na koniec strachem zarządza się łatwiej.

Obietnica Magyara: rozliczmy Fidesz

Inaczej Péter Magyar: on deklaruje narodowe pojednanie. Jest przekonany, że skoro to w nim przetrwały wartości konserwatywne, którym Fidesz się sprzeniewierzył, po wyborach będzie w stanie „zaopiekować się" dotychczasowymi stronnikami Orbána. Magyar roztacza wizję dostępu do unijnych funduszy zaraz po przejęciu władzy (w kalendarzu powyborczym zaprzysiężenie nowego rządu przypada na przełom trzeciego i czwartego tygodnia maja).

Magyar obiecuje też dofinansowanie służby zdrowia (na Węgrzech jest w złym stanie) i edukacji oraz bezpardonową walkę z korupcją. Jego sztandarowy projekt to rozliczenie rządów Fideszu – przy jednoczesnej deklaracji, że Węgry pozostaną członkiem Unii i NATO.

Magyar musi przy tym uważać, by prorządowa propaganda nie przypięła mu łatki polityka proukraińskiego. Choć poglądy Orbána i Magyara w tej kwestii w istocie niewiele się różnią, premier kreuje rywala na „namiestnika Kijowa i Brukseli". Stąd w prorządowej infosferze błyskawicznie kolportowano zdjęcie ukraińskiej flagi na marszu Tiszy. Jak ustalili dziennikarze śledczy (m.in. z portalu 444.hu), była to prowokacja zwolenników Fideszu.

Scenariusze

Teoretycznie – przysłówek ten musi, jak widać, wciąż nam towarzyszyć – Tisza wygra, jeśli uzyska co najmniej sto mandatów, co da jej możliwość powołania rządu z Magyarem jako premierem. W praktyce jednak, jeśli Tisza nie uzyska większości konstytucyjnej (133 mandatów), Węgry może czekać polityczny chaos i paraliż.

Rzecz w tym, że od 2010 r. tysiące ustaw uchwalonych przez obóz Orbána zostały „zabezpieczone" przed nowelizacją wymogiem większości dwóch trzecich głosów. Bez większości konstytucyjnej realne zmiany – choćby w obszarze sądownictwa – nie będą więc możliwe.

Państwo może pogrążyć się w chaosie prawnym, a entuzjazm wywołany sukcesem Magyara może szybko wyparować, gdy wiarę w naprawę kraju zastąpi zniecierpliwienie brakiem sprawczości nowego premiera.

Co wtedy? Teoretycznie można uchwalić nową ustawę zasadniczą zwykłą większością i poddać ją pod referendum. Przy pozytywnym wyniku można uznać ją za nową konstytucję – nową, czyli taką, która generalnie znosi stary orbánowski porządek. To jednak może rodzić pytania o reakcje instytucji międzynarodowych, w tym Unii Europejskiej i Rady Europy. Czy uznałyby one taką drogę na skróty za praworządną? To niewiadoma.

Jednak to będzie potem. Na razie dla Węgrów liczy się jedno: to, co wydarzy się 12 kwietnia. Zwolennicy Fideszu pragną kolejnych czterech lat rządów Orbána. Jego przeciwnicy mają jeden cel: pokonać go, a o resztę martwić się później.

© DOMINIK HÉJJ

Zwolennicy Pétera Magyara, węgierskiego opozycjonisty i lidera partii Tisza, podczas demonstracji z okazji rocznicy rewolucji węgierskiej. Budapeszt, 15 marca 2026 r.



JANOS KUMMER / GETTY IMAGES

Autor wydał książkę „Węgry na nowo. Jak Viktor Orbán zaprogramował narodową tożsamość". Węgierską rzeczywistość tłumaczy na portalu www.kropka.hu

eprasa.pl df2b558170



ALTAF QADRI / AP PHOTO / EAST NEWS

Atak irańskich dronów na instalacje naftowe w mieście Fudżajra. Zjednoczone Emiraty Arabskie, 14 marca 2026 r.

Czas eskalacji

MAREK KĘSKRAWIEC

BLISKI WSCHÓD | Gdyby ktoś chciał dziś kreślić scenariusz apokalipsy, mógłby wykorzystać do niego wojnę z Iranem. Jest tu wszystko: i globalny kryzys energetyczny, i wiara w powrót Mesjasza/Mahdiego.

Polityczna detonacja miała miejsce 17 marca, gdy z funkcji dyrektora amerykańskiego Narodowego Centrum ds. Zwalczania Terroryzmu zrezygnował Joe Kent – bohater jedenastu misji bojowych. Osobiście doświadczony: jego żona Shannon, kryptolożka, zginęła w Syrii w 2019 r. w zamachu Państwa Islamskiego.

DYMISJA I RELACJA | Kent oświadczył, że nie może z czystym sumieniem popierać ataku na Iran, bo poza werbalnymi groźbami nie stanowił on nigdy bezpośredniego zagrożenia dla USA, a prezydent Trump poszedł na tę wojnę „pod presją Izraela i jego potężnego lobby w Ameryce". Zdaniem Kenta, Teheran nie pracował nad bombą atomową (tak samo uważa zresztą szefowa wywiadu USA, Tulsi Gabbard).

Dymisja ta zbiegła się z relacją Jonathana Powella, doradcy brytyjskiego rządu, który brał udział w ostatniej rundzie negocjacji atomowych w Genewie. Jego zdaniem zachodni eksperci byli zaskoczeni przełomowymi, jak to oceniał, ustępstwami Irańczyków.

Mieli oni zaproponować natychmiastowe rozcieńczenie 440 kg wzbogaconego uranu (pod kontrolą) i rezygnację z programu nawet na pięć lat. Amerykanie chcieli 10 lat, więc strony rozjechały się, aby przemyśleć szczegóły. Gdy dwa dni później Ali Chamenei spotkał się ze swoimi generałami, na jego siedzibę spadły izraelskie bomby.

RELIGIE NA WOJNIE | Dla świata zachodniego postępowanie USA i Izraela stało się powodem, by nie brać udziału w próbie odblokowania cieśniny Ormuz, sparaliżowanej przez Iran. Natomiast dla setek tysięcy zindoktrynowanych żołnierzy Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej niesprowokowany atak był sygnałem do gwałtownej obrony, do której przygotowywali się od dekad.

W centrum tego oporu tkwi, niedoceniany przez Pentagon, kult szyickiego męczeństwa. Złączony z pragnieniem przypodobania się Mahdiemu – dla szyitów to odpowiednik Mesjasza, na którego powrót czekają. Ich przywódcy, jak ostatnio Ali Laridżani (radykał, ale też pragmatyk), giną jeden po drugim, ale są zaraz zastępowani przez postaci wprawdzie mniejszej rangi, ale jeszcze bardziej zdeterminowane, by bronić się nawet kosztem ruiny państwa. I społeczeństwa, które w styczniu próbowało obalić reżim, a teraz tego żałuje, mając poczucie, że jego bunt stał się jedynie pretekstem do brutalnych bombardowań, niemających nic wspólnego z niesieniem obiecanej przez Trumpa wolności.

Jakby szyickiego fanatyzmu było mało, kilka dni temu Beniamin Netanjahu w przemowie wyliczającej militarne sukcesy poinformował Izraelczyków, że „doczekamy się powrotu Mesjasza, ale nie nastąpi to w przyszły czwartek". Przypomniał biblijną zapowiedź odbudowy Świątyni Jerozolimskiej – na jej miejscu stoi dziś meczet Al-Aksa, święty dla muzułmanów.

Łącząc powyższe religijne wątki z „wojennymi" cytatami z psalmów i odniesieniami do krucjat, które pojawiają się podczas występów sekretarza wojny Pete'a Hegsetha, można być pewnym, że ta (nie)święta wojna będzie jeszcze bardziej zacięta.

PRZYSZŁOŚĆ ZATOKI | Gdy 18 marca Izrael zaatakował irańskie instalacje na terenie gazowych złóż South Pars (dzielonych z Katarem), Trump wyparł się udziału w tym nalocie, a nawet wcześniejszej wiedzy o nim i zapowiedział, że taki atak się nie powtórzy. Zagroził zarazem, że jeśli Iran, po swym pierwszym odwecie za ten nalot, znów ostrzela katarskie instalacje, USA zniszczą całą irańską infrastrukturę w Zatoce Perskiej.

Gdyby do tego doszło, sparaliżowane zostałyby największe na świecie złoża gazowe, co w połączeniu z blokadą cieśniny Ormuz oznaczałoby gigantyczny kryzys energetyczny, który byłby wstrząsem dla światowej gospodarki. Tym bardziej że Iran zapowiedział, iż w odwecie będzie atakował wszystkie instalacje naftowe i gazowe w krajach arabskich goszczących bazy USA. Po czym zbombardował zakłady w Katarze, Iraku, Arabii Saudyjskiej i Emiratach.

Trudno sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał Bliski Wschód, jeśli zrujnowane zostaną Iran i państwa arabskie, a świat zaleją nowi uchodźcy. Albo co się stanie, jeśli Teheran nadal będzie zdolny do ataków balistycznych i dronowych, wyczerpujących amerykańskie zapasy nowoczesnej broni, ku uciesze Chin i Rosji.

Niestety, coraz częściej słychać o ponurym scenariuszu „incydentu atomowego", jeśli Izrael nie złamie Teheranu, a Ormuz pozostanie zamknięty. Powiedział o tym głośno David Sacks, doradca Trumpa. Dyrektor regionalna WHO Hanan Balkhy przyznała zaś w wywiadzie dla „Politico", że jej organizacja rozważa tragiczne scenariusze: ataku na instalacje nuklearne w regionie lub wręcz użycia tej broni. ©℗

eprasa.pl df2b558170



YAMIL LAGE / AFP / EAST NEWS

Hawana bez prądu, 21 lutego 2026 r.

Agonia dyktatury

MACIEJ STASIŃSKI

KUBA | Krach gospodarczy wyspy jest zupełny, o ideologicznym zgonie tzw. rewolucji nie warto mówić. Nie wiadomo tylko, jak rozsypie się komunistyczny reżim. Oraz czy pogrzebie kogoś pod gruzami.

Film dokumentalny niemieckiego reżysera Floriana Borchmeyera z 2006 r. nosi tytuł „El Arte nuevo de hacer ruinas"; w wolnym przekładzie: „O nowej sztuce ruin". Już 20 lat temu był on alegorią cywilizacyjnej ruiny całego kraju. Przejmującym świadectwem, do jakiego stanu doprowadziła totalitarna dyktatura Hawanę, niegdyś „Perłę Karaibów".

Oglądany dziś (można go obejrzeć w sieci) film ten brzmi także jak prorocze memento – dzwon na trwogę dla niespełna 10 mln Kubańczyków żyjących na wyspie i 3 milionów na wychodźstwie. Wstrzymując oddech, wyglądają, co ich czeka, gdy dyktatura się zawali.

Kubańczycy są wściekli

Bo że musi się zawalić, niemal nikt nie ma wątpliwości. Mówią to już bez strachu sami Kubańczycy, krzątający się po pustych ulicach w pogoni za żywnością i podstawowymi artykułami codziennego użytku, których coraz bardziej brakuje w coraz bardziej pustych sklepach.

Piszą to w sieci na swoich telefonach komórkowych, wściekli, tłukąc nocami w garnki, gdy kolejne „apagony", czyli przerwy w dostawach prądu, pogrążają dzielnice, miasta, a w ostatnim tygodniu cały kraj w ciemnościach.

Skandują to jak refren emigranci i opozycjoniści w Miami na Florydzie, których wielu przebiera nogami, by wrócić do kraju w „dzień po". Schyłek diagnozują Yoani Sanchez i inni świadkowie czasu na łamach niezależnych mediów, jak „14yMedio" czy „Diario de Cuba".

„Terminalny i krytyczny kryzys" dyktatury relacjonuje Dagoberto Valdes, niestrudzony katolicki intelektualista (niegdyś, za czasów Jana Pawła II, członek papieskiej rady Iustitia et Pax). Valdes żyje na Kubie, w mieście Pinar del Rio i prowadzi w sieci własny portal Convivencia.

Jeszcze bardziej dojmującą alegorią kubańskiego upadku są od kilku tygodni czarne dymy zasnuwające niebo nad Hawaną – biją ze stosów śmieci płonących na ulicach. Palą je sami mieszkańcy, bo służby miejskie już ich nie sprzątają.

Także reżim czuje schyłek

Po 67 latach od rewolucji Kuba wygląda jak dogasające wielkie zgliszcza, gruzowisko totalitarnej dyktatury, której Polacy nie znali od połowy lat 50. XX w., a zarazem cmentarzysko lewicowego marzenia o lepszym wspaniałym świecie Przodującego Ustroju.

Prawdopodobnie schyłek czuje także sam reżim. Choć utracił ideologiczną krzepę, nadal usiłuje prężyć wiotczejące muskuły i osacza w domach dysydentów, rozsyła nocami zbrojne konwoje po pustych ulicach, próbuje mobilizować naród

eprasa.pl df2b558170

do stawienia zbrojnie czoła nadciągającej inwazji „jankeskich imperialistów", którym grozi „niezwyciężonym oporem całego narodu". Ale robi to wszystko coraz bardziej rytualnie, bez wiary i wcześniejszego wigoru ideologicznego.

Bo „cały naród" wcale nie szykuje się gorliwie na wojnę z najeźdźcą. Tydzień temu w mieście Moron setki ludzi przeszły pogrążonymi w ciemnościach ulicami, już nie tylko waląc w garnki. Krzycząc „Precz z dyktaturą!" i „Już się nie boimy!", wtargnęli do lokalnej siedziby partii komunistycznej, usypali na ulicy stos z mebli i papierów, i podpalili. W starciach z „czarnymi beretami" i bezpieką byli ranni, nieznaną liczbę manifestantów aresztowano.

Propagandowe zaklęcia

Podobne manifestacje powtarzają się od kilku tygodni. Niezależny dziennik „14yMedio" Yoani Sánchez (oblężonej w tych dniach w swoim domu w Hawanie przez agentów bezpieki) cytuje coraz częściej jawnie i bez strachu złorzeczących Kubańczyków: „Chcemy wolności" i „Niech już przyjdzie Trump!".

Nie sposób nie skojarzyć tych nastrojów z klimatem warszawskiej ulicy pogrążonej w mrokach stalinizmu, gdy – jak pisał w „Dzienniku" Leopold Tyrmand – ludzie urągali pod nosem: „Panie Truman, spuść ta bania, tu jest nie do wytrzymania".

Dyktatura, która wciąż ma uszy i oczy za rogiem każdej ulicy i pod progiem każdego domu, wie o tych nastrojach doskonale. Jednak powtarza propagandowe zaklęcia o „zrozumiałym niezadowoleniu z powodu przerw w dostawach prądu", wykorzystywanym tylko przez „elementy odrzucające wartości Rewolucji" w niecnym celu „siania nienawiści" i „podważaniu zaufania do najwyższych władz".

Reżim komunistyczny zdaje sobie zarazem sprawę, że tym razem kleszcze amerykańskiej blokady paliwowej zacisnęły się szczelnie – w przeciwieństwie do wcześniejszego embarga handlowego, które przez dekady były tylko mityczną, rzekomo morderczą „Blokadą", tłumaczącą jak najbardziej realne klęski komunistycznej gospodarki.

Na kroplówce Wenezueli

Wbrew propagandowej mantrze, tamto embargo było jak grube sito. Z Kubą nie tylko handlował cały świat, ale w ostatnich dekadach to akurat amerykańska żywność ratowała niezdolną do wyżywienia się Kubę od głodu – 80 proc. żywności reżim sprowadzał z USA, choć musiał za nią płacić gotówką.

Tym razem nikt nie przyjdzie Kubie na ratunek. Po rozpadzie Związku Sowieckiego, który utrzymywał komunistycznego sojusznika miliardowymi dotacjami, sponsorem dyktatury została na ponad 20 lat Wenezuela pod wodzą Hugo Cháveza, wiernego ucznia Fidela Castro.

Na mocy układów z roku 2000 i 2004 Wenezuela przysyłała Kubie za półdarmo ropę, którą ta mogła napędzać sowieckie jeszcze elektrownie. Dostawy były szczodre, a nadwyżki Kuba sprzedawała na rynku (czasem kilkakrotnie drożej, niż ją kupowała w Caracas). Według wyliczeń Miranda Center for Democracy (think tanku z USA), przez 25 lat paliwowe dotacje wenezuelskie dla Kuby sięgnęły 63 mld dolarów (według dzisiejszej wartości dolara).

„Doradcy" w zamian za ropę

W zamian Kuba wysyłała Wenezueli swoich lekarzy oraz wojskowych i policyjnych „doradców", czyli wytrawnych oficerów bezpieczeństwa, wywiadu i kontrwywiadu. Jako szpiedzy i komisarze polityczni utrzymywali oni w ryzach wenezuelską armię.

Od próby puczu w 2002 r. (stłumiono go w 48 godzin) i po przegranym konstytucyjnym referendum w 2007 r., Chávez nie był pewny lojalności swej armii. Wiedział, czego się bać, bo sam przeprowadził w 1992 r. wojskowy zamach stanu – i choć wówczas przegrał i poszedł do więzienia, to odzyskał wolność po wielkodusznej amnestii demokratycznego rządu.

Na mocy traktatu „usługi represyjne za ropę", w 2008 r. Wenezuela utworzyła Grupę Koordynacji i Łączności (*Grupo de Coordinación y Enlace*), która szkoliła dyktaturę w sprawowaniu kontroli i egzekwowaniu posłuszeństwa w armii, policji, straży granicznej i więziennej, służbach celnych i administracji państwowej. Innymi słowy – Kubańczycy uczyli reżim Wenezueli, jak być prawdziwą totalitarną dyktaturą.

W tym czasie ropę sprzedawały Kubie także Algieria, Rosja, a zwłaszcza Meksyk.

W uścisku blokady

Wszystko to jednak urwało się z dnia na dzień, gdy w styczniu amerykańscy komandosi porwali dyktatora Nicolása Maduro i zarządzili całkowitą blokadę paliwową Kuby. W rajdzie marines zginęła cała ochrona Maduro, złożona z kubańskich oficerów, a rząd USA zabronił reżimowi w Caracas, Meksykowi i wszystkim innym wozić ropę na Kubę.

Kubańscy „doradcy" zaczęli wracać z Caracas na Kubę. Tutaj zaś z powodu braku paliwa elektrownie stawały, stacje benzynowe zamykano, transport publiczny przestał działać, uczelnie i zakłady pracy z braku prądu zatrzymywały się, samoloty przestały przywozić turystów z zagranicy, a hotele dla nich pustoszały. Życie zaczęło zamierać. Brak wszystkiego łagodzą tylko dostawy pomocy humanitarnej – z Meksyku i USA.

Komunistyczną Kubę porzucają dziś także Rosja i Chiny, które ostatnio ratowały poziom życia Kubańczyków a to szybkowarami, a to panelami słonecznymi (mającymi zastąpić prąd z rozpadających się elektrowni). Samopoczucie komunistycznej nomenklatury podtrzymywały zaś elektrycznymi autami i skuterami, dostarczanymi przez kubańsko-chińską firmę VEDCA.

Czego chcą Amerykanie?

Jednak wcale nie wiadomo, co rząd USA zamierza począć z Kubą. Nie wydaje się, aby Donald Trump zamierzał odpowiedzieć na zaproszenie kubańskiej ulicy i najechać wyspę.

Choć niemal codziennie, mimo trwającej wojny z Iranem, Trump lub sekretarz stanu Marco Rubio powtarzają, że „kubański reżim jest skończony", że „zaraz padnie", a USA „przejmą" Kubę, to nie jest jasne, o czym rozmawiają z otoczeniem sędziwego *de facto* dyktatora Raula Castro.

Sam fakt rozmów potwierdzili i Amerykanie, i przedstawiciele reżimu. Ale czy, jak i kiedy Trump zamierza go usunąć i ułatwić przywrócenie demokracji, wciąż nie wiadomo. Ze zwyczajową tromtadracją Trump mówi, że „zrobi z Kubą, co zechce". Jednak jego opcje wydają się bardziej ograniczone niż jego widzimisię. Generał Francis Donovan, któremu podlega armia USA na zachodniej półkuli (*Southern Command*), oświadczył właśnie w Senacie, że rząd nie rozważa inwazji wojskowej.

Scenariusz wenezuelski wydaje się nie do powtórzenia. USA ustanowiły w Caracas faktyczny reżim wasalny (miejsce Maduro zajęła jego dotychczasowa ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ zastępczyni), któremu Trump dyktuje, co ma robić, a demokrację odkłada na niepewną przyszłość.

Jest to nie do powtórzenia nie tylko dlatego, że Kuba nie ma pożądanych surowców (z wyjątkiem niklu), na których USA mogą położyć rękę i doić ją tak, jak zamierzają z wenezuelską ropą za pośrednictwem koncernów Chevron, ConocoPhillips i Exxon, które już tam wkraczają. Rzecz w tym, że emigracja kubańska w USA, wpływowa zarówno w kręgach Republikanów, jak i Demokratów, nie przełknie powierniczej dyktatury.

Diaspora ma głos

Odbudowa Kuby wymagać będzie kolosalnych inwestycji. Ale udział w nich reżimowej nomenklatury byłby trudny do przełknięcia dla kubańskiej diaspory.

Raczej na nic nie zdadzą się rozpaczliwe gesty reżimu, który już zaprasza emigrantów do inwestowania. Owszem, bogaci i mniej bogaci Kubańczycy na wychodźstwie chętnie pomogą w odbudowie – tak jak dotąd pomagali dolarowymi transferami rodzinom na wyspie. Ale raczej nie wejdą w spółki nomenklaturowe – np. z koncernem militarnym GAESA, który zarządza wszystkim, co przynosi na Kubie dochód (jak turystyka zagraniczna i finanse; reżim pobierał haracz od przekazów od emigrantów dla rodzin).

Dla kubańskiej diaspory – i tej „burżuazyjnej" z lat po rewolucji, i tej biednej, ale młodej i energicznej z lat ostatnich, gdy wyspę opuściło 1,5 mln ludzi – reżim po prostu musi odejść. Dla nich zdradą byłby jakiś układ z dyktaturą z Hawany – na podobieństwo tego zawartego przez USA z dyktaturą z Caracas.

To, że taka opcja jest rozważana, sugerował „New York Times", powołując się na osoby zaangażowane w tajne pertraktacje ekipy Trumpa z Hawaną (USA miałyby poluzować sankcje i blokadę paliwową w zamian za odejście ekipy nominalnego prezydenta Miguela Díaza-Canela).

„Cząstkowe zmiany na Kubie są niedopuszczalne" – mówi wpływowy republikanin Mario Díaz Balart. „Nie ma mowy o pozostawieniu u władzy klanu Castro" – mówią inni kongresmeni. Widzi to Rubio – Kubańczyk z pochodzenia i jeden z liderów kubańskiego lobby w Waszyngtonie.

Dla niego walka z dyktaturą była głównym motorem jego politycznej kariery.

DAGOBERTO VALDES,
KATOLICKI INTELEKTUALISTA:

Jedyna droga uniknięcia chaosu i przemocy prowadzi przez pokojowe przemiany. Lepiej przeprowadźmy je my, sami Kubańczycy, w kraju i na wychodźstwie.

Dziś Rubio codziennie coś oświadcza: a to, że reżim musi przeprowadzić „drastyczne zmiany", a to, że obietnice licencji dla kubańskiego kapitału z USA „nie rozwiązują problemu".

Opozycja żąda i ostrzega

Także dla opozycji kubańskiej, tej na wychodźstwie i tej na wyspie, wszelki układ USA z reżimem, który pominąłby Kubańczyków, byłby haniebną zdradą.

Również Rosa María Payá – jedna z przywódczyń młodej emigracji w USA, córka słynnego opozycjonisty Oswaldo Payá Sardinasa (zabitego przez bezpiekę w 2012 r. w sprowokowanym wypadku samochodowym) – wyklucza taki układ.

„Istnieją wszelkie warunki do rozpoczęcia demokratycznej transformacji, ale nie chcemy żadnej Delcy Rodriguez na Kubie" – oświadczyła Rosa María Payá, nawiązując do nowej szefowej reżimu w Caracas, namaszczonej przez Trumpa.

„Radykalna zmiana wymaga, by rodzina Castro i generałowie u władzy od 67 lat odeszli. Transformacja musi się skończyć wolnymi wyborami. Reżim nas nie kupi, nie omami, choć próbuje grać na zwłokę i oszukiwać. Nie ma mowy, by reżim sam się zreformował" – podkreślała Payá w rozmowie z agencją EFE.

Payá ostrzega, a dysydenci na wyspie to powtarzają, że nie można pomijać Kubańczyków w projektowaniu reform demokratycznych. „Jako opozycja oraz organizacje społeczne i obywatelskie, na wyspie i na emigracji, przygotowywaliśmy się latami i mamy ludzi gotowych do przewodzenia w okresie przejściowym od barbarzyńskiej dyktatury do sprawiedliwych i wolnych wyborów" – mówi Rosa María Payá.

Przemiany, tylko jak?

„Społeczeństwo obywatelskie ma jasny program i musi odegrać wiodącą rolę w jakichkolwiek negocjacjach na temat demokratycznych przemian" – mówił z kolei portalowi „Marti Noticias" dysydent Manuel Cuesta Morua.

Jak opozycjoniści wyobrażają sobie takie przemiany? Trudno powiedzieć. Dla wielu z nich od lat wzorem były zarówno hiszpańskie doświadczenia w przywracaniu demokracji po śmierci Franco w 1975 r., jak też polskie rozmowy przy okrągłym stole w 1989 r. Jednak obecny reżim kubański nie przypomina ekipy Jaruzelskiego, mimo wszystko gotowej do rozmów z Solidarnością.

Opozycja zdaje sobie sprawę, że obalenie dyktatury z dnia na dzień raczej się nie wydarzy. „Demokratyczna transformacja może wymagać współpracy z jakąś częścią rządzącej biurokracji, żeby uniknąć chaosu. Ale odzyskanie suwerenności przez naród kubański nie podlega negocjacjom" – mówi Rosa María Payá.

Posłuchać narodu

Wspomniany dysydent Dagoberto Valdes przestrzega, że pokojowe przemiany są pożądanym, ale wcale nie jedynym możliwym scenariuszem.

„Desperacja może prowadzić do wybuchu przemocy, a tego na pewno nie chce naród kubański – pisze Valdes w swoim najnowszym artykule pt. „Wysłuchać głosu narodu". – Reżim musi odpowiedzieć na ostrzegawcze sygnały, do czego może doprowadzić ostateczny krach. Jedyna droga uniknięcia chaosu i przemocy prowadzi przez pokojowe przemiany. Kto je opóźnia i przewleka, prowokuje przemoc i desperację. Przemiany polityczne, ekonomiczne i społeczne potrzebne są natychmiast. Czas się kończy".

I dalej: „Lepiej przeprowadźmy je my, sami Kubańczycy, w kraju i na wychodźstwie, jako protagoniści naszej historii, tak jak nauczał w 1998 r. święty Jan Paweł II podczas pielgrzymki na Kubę. I to jak najprędzej, zanim stanie się co innego". © MACIEJ STASIŃSKI

Autor był przez wiele lat dziennikarzem „Gazety Wyborczej" oraz korespondentem hiszpańskich mediów w Polsce. Autor książki „Diabeł umiera w Hawanie".

eprasa.pl df2b558170



HANNAH BEIER / REUTERS / FORUM

Pracownicy Służby Parków Narodowych instalują ponownie ekspozycję o niewolnictwie w President's House Site. Filadelfia, 19 lutego 2026 r.

Polerowanie historii

MARTA ZDZIEBORSKA

USA | Ekipa Trumpa cenzuruje wystawy w muzeach, obiektach historycznych i parkach narodowych. Uznano, że przed lipcową, 250. rocznicą powstania kraju niewygodne fakty muszą zniknąć.

Jedna z najbardziej spornych wystaw znajduje się w President's House Site w Filadelfii – miejscu, które upamiętnia rezydencję dwóch pierwszych prezydentów USA. Ekspozycja przedstawia historie dziewięciu niewolników, których właścicielem był George Washington, jeden z założycieli i pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych.

Z wystawy można dowiedzieć się, że niewolnik imieniem Giles był woźnicą i stajennym, Hercules służył jako główny kucharz, a Christopher Sheels jako osobisty asystent Washingtona. Ten ostatni próbował uciec z niewoli w 1799 r., jednak bezskutecznie.

Uciekła za to niewolnica Ona Judge, choć nie bez zawirowań. Gdy zbiegła, Washington próbował ją odszukać. Dowiedział się, że przebywa w Portsmouth, w stanie New Hampshire. Skontaktował się z tamtejszym urzędem celnym i naciskał, by ją schwytać i odesłać. Spotkał się z odmową.

Mimo to Washington nie odpuścił i dwa lata później wznowił starania. Judge została jednak ostrzeżona – miał to uczynić osobiście gubernator stanu John Langdon (sam najpierw miał niewolników, ale potem uczynił ich wolnymi). Kobieta na czas uciekła z miasta.

DEKRET TRUMPA | Ta historia nie spodobała się administracji Trumpa. W styczniu wystawę zdemontowano, powołując się na dekret prezydenta z marca 2025 r.

W dokumencie tym, zatytułowanym „Przywracanie prawdy i rozsądku do historii USA", Trump nakazał zrobić przegląd, czy na pomnikach, tablicach i w innych historycznych miejscach, które są pod jurysdykcją rządu federalnego, nie ma treści „dyskredytujących przeszłość Amerykanów".

W takich miejscach powinno się bowiem, dowodził Trump, podkreślać „wielkość osiągnięć i postępów narodu amerykańskiego", a także piękno i bogactwo krajobrazu, jeśli mowa o parkach narodowych.

W dekrecie tym prezydent bierze na celownik również Independence National Historical Park, gdzie znajduje się wystawa o niewolnikach Washingtona. Według Trumpa to miejsce, w którym administracja Bidena promowała „szkodliwą ideologię".

JAK U ORWELLA | Demontaż zaskarżyły władze Filadelfii, co doprowadziło do częściowego przywrócenia ekspozycji. Sędzia federalna Cynthia Rufe, która rozpatrywała sprawę, nie przychyliła się do wywodu prawników Departamentu Sprawiedliwości, którzy twierdzili, że rząd federalny ma prawo prezentować swoje poglądy, stąd decyzja o demontażu.

Sędzia Rufe porównała tę argumentację do działań Ministerstwa Prawdy ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ z książki „Rok 1984", ponurej powieści George'a Orwella o totalitaryzmie. „Sąd ma teraz rozstrzygnąć, czy rząd federalny ma prawo, jak twierdzi, do fałszowania i przekręcania prawdy, gdyż posiada władzę nad faktami historycznymi. A więc nie ma takiego prawa" – napisała Rufe w orzeczeniu.

Traf chciał, że wydała je w Dniu Prezydentów. Święto to ustanowiono na cześć urodzin Washingtona.

Administracja Trumpa odwołała się od wyroku, twierdząc, że chciała zaktualizować wystawę, i że to rutynowe działanie, mające zapewnić „zgodność z faktami historycznymi". I tu nastąpił kolejny zwrot akcji, bo sąd apelacyjny zarządził, że na czas rozstrzygnięcia sprawy władze federalne mogą wstrzymać się z przywróceniem całej ekspozycji. To oznacza, że w President's House Site wciąż brakuje części plansz.

TEMATY TABU | Batalia o filadelfijską ekspozycję to jedna z prób wprowadzania cenzury w miejscach, którymi zarządza Służba Parków Narodowych. Odpowiada ona nie tylko za parki, ale też za obiekty historyczne.

Fakt, że działania ekipy Trumpa nasiliły się ostatnio, to nie przypadek. 4 lipca Stany będą świętować 250. rocznicę niepodległości. W centrum obchodów ma znaleźć się wspomniany Independence National Historical Park, gdyż obejmuje także Independence Hall. To tutaj podpisano Deklarację Niepodległości – dokument uzasadniający prawo trzynastu brytyjskich kolonii do ogłoszenia swojej państwowości.

Przed rocznicą ekipa Trumpa „czyści" też parki narodowe. „Washington Post" pisze, że urzędnicy nakazali usunięcie lub zmianę treści na tablicach informacyjnych w co najmniej 17 parkach. W ramach tego „gumkowania" historii wyparowała np. wzmianka, iż Park Narodowy Wielkiego Kanionu znajduje się na terenach, z których wysiedlono Indian. Pracownicy Lowell National Historical Park w Massachusetts dostali zaś wytyczne, by nie pokazywać zwiedzającym filmów o warunkach pracy w XIX-wiecznych fabrykach.

Czasem znikają też informacje o zmianach klimatu. W Fort Sumter, gdzie 12 kwietnia 1861 r. miała miejsce pierwsza bitwa wojny secesyjnej, usunięto tablicę z ostrzeżeniem, że wraz z podnoszeniem się poziomu oceanu teren ten może kiedyś znaleźć się pod wodą.

WYTRZYMAĆ PRAWDĘ | Pierwsze zmiany ekipa Trumpa wprowadziła już w lipcu zeszłego roku. W kalifornijskim lesie sekwoi Muir Woods usunięto tablicę informującą, że w 1861 r. Kongres USA pozbawił Indian prawa własności do większości ziemi w Kalifornii. Zniknęły też niewygodne fakty na temat osób, które ocaliły las przed wycinką. Wcześniej można było np. przeczytać, że przyrodnik John Muir – na jego cześć nazwano ten las – pisał o rdzennej ludności, używając rasistowskiego języka.

Czasem zmiany mają charakter niby drobny, ale symboliczny. Od tego roku w Dzień Martina Luthera Kinga (lidera ruchu praw obywatelskich) oraz w Juneteenth (święto upamiętniające koniec niewolnictwa) nie obowiązuje już bezpłatne wejście do parków narodowych. Ze sklepików, które są na ich terenie, nakazano usunąć gadżety nawiązujące do tożsamości płciowej oraz szeroko pojętej różnorodności i inkluzywności.

Wpisuje się to w kampanię, którą Trump zaczął już pierwszego dnia urzędowania, nakazując zakończenie w administracji federalnej tzw. programów DEI, które wyrównują szanse mniejszości rasowych i seksualnych w miejscu pracy.

W lutym pozew przeciw polityce Trumpa w parkach narodowych złożyło kilka organizacji. Twierdzą, że administracja rządowa wymazuje historię i podważa ustalenia naukowe.

„Parki narodowe są jak sale lekcyjne, gdzie nauka i historia ożywają dla zwiedzających. Jako Amerykanie zasługujemy na parki (...), które opowiadają zarówno o triumfach, jak i porażkach naszego kraju. Potrafimy znieść prawdę" – mówił, cytowany przez „Guardiana", Alan Spears z Krajowego Stowarzyszenia Ochrony Parków Narodowych, jednej z organizacji stojących za pozwem. Wśród nich są też stowarzyszenia historyków i naukowców.

PRZEGLĄD WYSTAW | – Organizacje akademickie zajmują się już nie tylko publikowaniem artykułów i szykowaniem konferencji, ale także składaniem pozwów mających chronić dyscypliny naukowe atakowane przez administrację Trumpa – tak wydarzenia ostatniego roku ocenia historyk prof. Brian Sandberg w rozmowie z „Tygodnikiem".

Sandberg podaje przykład Amerykańskiego Stowarzyszenia Historycznego, które stanęło w obronie Smithsonian Institution. To zarządzająca 21 muzeami instytucja, która według Trumpa zbyt mocno skupia się na niechlubnych wątkach historii USA. Prezydent uważa, że zwiedzający te muzea nie powinni być „obiektem ideologicznej indoktrynacji lub polaryzujących narracji".

Dlatego w sierpniu zeszłego roku Biały Dom zarządził przegląd wystaw w ośmiu muzeach działających pod egidą Smithsonian Institution. Placówki poproszono też o przedstawienie, jakie ekspozycje planują na jubileusz 250-lecia niepodległości.

Osobno Biały Dom opublikował listę kilku wystaw, co do których już ma zastrzeżenia. Trumpowi nie spodobało się, że w Narodowym Muzeum Historii Amerykańskiej można przeczytać, iż Benjamin Franklin – jeden z ojców-założycieli USA – popierał niewolnictwo.

Na czarną listę trafiło też powstające dopiero Narodowe Muzeum Amerykańskich Latynosów. Jedna z planowanych wystaw jest według Białego Domu „antyamerykańska", bo sugeruje, że Stany powstały także z ziemi skradzionej w 1848 r. Meksykowi.

POPRAWIONY OPIS | To, do czego mogą doprowadzić naciski administracji, pokazuje niedawna decyzja Narodowej Galerii Portretów w Waszyngtonie. Zmieniła ona opis, który towarzyszy nowej fotografii Trumpa.

W nowym opisie pominięto informację, że wobec Trumpa dwukrotnie uruchamiano procedurę impeachmentu, usunięcia z urzędu, w związku z zarzutami nadużycia władzy oraz „podżegania do rebelii" w dniu pamiętnego szturmu na Kapitol 6 stycznia 2021 r. Wzmiankę o procedurach impeachmentu usunięto także z jednej z wystaw w Narodowym Muzeum Historii Amerykańskiej.

Brian Sandberg, który przebywa obecnie na stażu na Uniwersytecie d'Aix-Marseille we Francji, opowiada mi o dalszych naciskach na muzea. Mówi, że w najbardziej skrajnych przypadkach administracja Trumpa odwoływała lub zmuszała do rezygnacji dyrektorów muzeów – tak było

eprasa.pl df2b558170



JIM LO SCALZO / POOL / EPA / PAP

Donald Trump prezentuje projekt Łuku Niepodległości, który miałby stanąć w stolicy USA. Projekt budzi spory, pozew o zablokowanie budowy złożyła grupa weteranów wojny w Wietnamie. Waszyngton, 15 października 2025 r.

w przypadku Kim Sajet, byłej już szefowej Narodowej Galerii Portretów.

– Niekiedy zdarzało się, że odwoływano członków zarządu muzeum mianowanych przez prezydenta Bidena i zastępowano ich sojusznikami Trumpa. Wszystko po to, aby wywierać jeszcze większą presję na dyrektorach placówek – twierdzi prof. Sandberg.

ARMIA POMNIKÓW | Do kształtowania narracji historycznej przed 250. rocznicą powstania USA Trump podchodzi wyjątkowo metodycznie. Już niemal rok temu jego administracja wstrzymała większość grantów przyznawanych przez Narodowy Fundusz na rzecz Humanistyki (NEH). Pieniądze zabrane muzeom i naukowcom przeznaczono na wystawy historyczne i badania związane z jubileuszem.

Środki trafiły też na projekt będący oczkiem w głowie Trumpa, czyli Narodowy Ogród Amerykańskich Bohaterów. Ma w nim stanąć 250 pomników osób najbardziej zasłużonych dla historii USA. To pomysł jeszcze z końcówki pierwszej kadencji Trumpa. Już wtedy zarządził on budowę parku rzeźb, jednak jego następca Biden uchylił dekret w tej sprawie.

Dziś na realizację projektu Trump ma 40 mln dolarów. Choć to suma poważna, a do jubileuszu zostały niecałe cztery miesiące, to nie ogłoszono jeszcze, gdzie w Waszyngtonie stanie ta armia pomników.

Pod znakiem zapytania jest też budowa Łuku Niepodległości, zapowiadana przez prezydenta. Projekt budzi kontrowersje, bo ze względu na monumentalne rozmiary może zakłócać lądowanie samolotów na pobliskim lotnisku. Krytycy twierdzą też, że Łuk popsuje widok w historycznym rejonie między Lincoln Memorial a Cmentarzem Narodowym w Arlington. Pozew o zablokowanie budowy złożyła grupa weteranów wojny w Wietnamie.

KONTRNARRACJA | Działania Trumpa przed 250. rocznicą powstania USA wpisują się w trwające od lat tzw. wojny kulturowe, które dotyczą także interpretacji historii.

Podczas gdy lewica i progresywni historycy stawiają rasizm i niewolnictwo w centrum dyskusji o początkach amerykańskiego państwa, to konserwatyści najchętniej zamietliby te niewygodne fakty pod dywan. Mówił o tym prof. Johann Neem podczas zeszłorocznego spotkania Amerykańskiego Stowarzyszenia Historycznego.

Neem, naukowiec z Western Washington University, uważa, że odpowiedzią na próbę rozliczenia niechlubnej przeszłości jest właśnie ta „hiperamerykańska" kontrnarracja prawicowych historyków, według której „najlepsze cechy kraju stają się jego cechami konstytutywnymi, podczas gdy jego wady – w tym niewolnictwo i nierówności rasowe – są przypadkowe i drugorzędne".

SPÓR O EDUKACJĘ | Polem konfliktu są też programy nauczania w szkołach. W wielu republikańskich stanach ograniczany jest zakres, w jakim można opowiadać uczniom o rasizmie. Zakazane jest sięganie po krytyczną teorię rasy: akademicką koncepcję głoszącą, że lata niewolnictwa i segregacji rasowej doprowadziły w USA do instytucjonalnego rasizmu.

Kontrowersje na prawicy i nie tylko budzi też „1619 Project": cykl artykułów i podkastów „New York Times Magazine", stawiający tezę, że dla państwowości USA równie ważny co rok 1776 jest rok 1619, gdy do brzegu Ameryki Północnej dotarł pierwszy statek z niewolnikami z Afryki. To oni wnieśli bowiem wkład w rozwój gospodarczy USA.

W kilku stanach Republikanie próbowali zakazać używania materiałów „NYT" w szkołach. Niektóre projekty przepisów prawnych przewidywały wręcz cofnięcie finansowania dla placówek korzystających z „1619 Project". Atmosferę podsycał też sam Trump na końcówce swojej pierwszej kadencji, nazywając materiały „NYT" „ideologiczną trucizną".

Na dzień przed wyborami prezydenckimi w 2020 r. Trump powołał specjalną komisję odpowiedzialną za promowanie „patriotycznej edukacji" w szkołach. Zrobił to, gdyż, jak to ujął w swoim dekrecie, „wielu uczniom wpaja się nienawiść do własnego kraju i przekonanie, że mężczyźni i kobiety, którzy go zbudowali, nie byli bohaterami, tylko łotrami".

BYLE DO LIPCA | Teraz ekipa Trumpa znów chce promować „edukację patriotyczną", a pomaga jej w tym ponad 40 organizacji powiązanych z ruchem MAGA. Częścią tej inicjatywy są pogadanki w szkołach, co kończy się niekiedy lokalnymi protestami, głównie ze względu na współpracę rządu z prawicowymi organizacjami.

Jeśli dodać do tego cenzurę w muzeach i parkach narodowych, jest możliwe, że niektórzy Amerykanie będą mieli dość jubileuszu 250-lecia, zanim dojdzie do jego kulminacji 4 lipca. Dobra wiadomość jest taka, że w Dzień Niepodległości Amerykanie skupiają się głównie na pokazach fajerwerków i rodzinnych piknikach.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Tekst ukończono 17 marca.

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „TP".

eprasa.pl df2b558170



TO KWESTIA NAWRÓCENIA

KS. PIOTR STUDNICKI, RZECZNIK PRASOWY KRAKOWSKIEJ KURII:

Z kryzysu przestępstw seksualnych w Kościele albo wyjdziemy ze skrzywdzonymi, albo nie wyjdziemy wcale.

ANNA GOC: „Myślałem przede wszystkim o osobach, które zostały wykorzystane seksualnie jako dzieci" – napisał Ksiądz w komentarzu. Wróciła dyskusja o działaniach kard. Karola Wojtyły, gdy był metropolitą krakowskim, wobec księży, którzy w tym czasie wykorzystywali seksualnie małoletnich. Perspektywy osób skrzywdzonych wciąż brakuje?

KS. PIOTR STUDNICKI: Z doświadczenia pracy z osobami skrzywdzonymi wiem, że to właśnie one najmocniej przeżywają publikacje na ten temat. Publiczne dyskusje potrafią otworzyć na nowo zasklepione rany. Ale też skłonić do złożenia zawiadomienia o tym, co je spotkało.

Nie ukrywam, że przygotowując oświadczenia w tym temacie, konsultuję ich treść zawsze z osobami skrzywdzonymi wykorzystaniem seksualnym w Kościele. Tak też było i tym razem.

Były uwagi?

Dwie. Pierwsza, by jaśniej podkreślić, że kwerenda archiwalna dotycząca kard. Wojtyły nie jest sprawą zamkniętą. Druga, że warto zwracać się do skrzywdzonych bezpośrednio – nie pisać „o nich", tylko „do nich".

eprasa.pl df2b558170



GRAŻYNA MAKARA

KS. DR PIOTR STUDNICKI, rzecznik prasowy archidiecezji krakowskiej, wykładowca na wydziałach nauk o komunikacji Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie i Papieskiego Uniwersytetu Świętego Krzyża w Rzymie. Koordynator medialny Centrum Ochrony Dziecka w Krakowie (2018-2019) i kierownik biura Delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży (2019-2024).

Wiem, że oświadczenie może dotrzeć także do osób skrzywdzonych przez ks. Eugeniusza Surgenta i ks. Józefa Loranca, o których piszą Tomasz Krzyżak i Piotr Litka w opublikowanych właśnie w „Plusie Minusie" artykułach: „Czy kardynał Wojtyła mógł zrobić więcej" i w kolejnym „Ksiądz pedofil odcięty od dziewczynek". Z informacji, które zebrali dziennikarze, najpierw w 2022 r. na podstawie akt Służby Bezpieczeństwa, a teraz w oparciu o materiały z archiwum krakowskiej kurii, możemy przypuszczać, że pokrzywdzeni są w wielu parafiach. Chcieliśmy zapewnić, że jeśli zdecydują się zgłosić, przedstawiciele krakowskiego Kościoła są gotowi ich przyjąć, wysłuchać i zaproponować wsparcie.

Sądzi Ksiądz, że po ostatnich wydarzeniach – m.in. po odebraniu zespołowi prymasa Wojciecha Polaka prac nad powołaniem komisji niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystania seksualnego w Kościele – osoby skrzywdzone zaufają instytucji?

Zaufanie do instytucji jest zbudowane na osobach, które ją tworzą. Wierzę, że jest ono wciąż możliwe, również jako efekt otwartej komunikacji. W ostatnim czasie były nowe zgłoszenia do kurii krakowskiej.

Czy to dotyczy całego Kościoła w Polsce? Ciągle mam nadzieję, że tak.

Marcin Gutowski w programie „Czarno na białym" TVN24 odnalazł osoby skrzywdzone przez księży, gdy metropolitą krakowskim był kard. Karol Wojtyła. Niektórzy z jego rozmówców podkreślali, że dotąd nikomu o tym, co wydarzyło się wiele lat temu, nie mówili. Czy Kościół próbował do nich dotrzeć?

Każde świadectwo osoby skrzywdzonej przybliża nas do prawdy i jeszcze kilka lat temu, gdy zaczynałem zajmować się tą tematyką, powiedziałbym, że trzeba zrobić wszystko, by do nich dotrzeć.

Teraz, także po konsultacjach z psychologami, którzy zajmują się traumą, wiem, że to nie jest proste. Chciałbym bardzo, by Kościół tych ludzi spotkał. Ale czy mamy prawo z własnej inicjatywy wchodzić w czyjeś życie i przypominać bolesną przeszłość? Nie wiemy przecież, w jakim stanie i w jakiej sytuacji są dziś ludzie, którzy kiedyś doświadczyli krzywd. Na jakim są etapie mierzenia się z własną przeszłością? I jak przypomnienie tych spraw może wpłynąć na ich aktualne życie? Nie wszyscy chcą też rozmawiać o tym, że zostali skrzywdzeni przez księdza, z innym księdzem lub świeckim przedstawicielem instytucji kościelnej. ↦

eprasa.pl df2b558170

Przeglądał Ksiądz teczki personalne ks. Surgenta i ks. Loranca?

Tak, choć nie zapoznawałem się z tymi materiałami szczegółowo, to jest praca dla historyków.

Jak sobie Ksiądz odpowiada na pytanie, które zadali dziennikarze „Czy kardynał Wojtyła mógł zrobić więcej”?

Patrząc na sprawy ks. Surgenta i ks. Loranca, można powiedzieć, że kard. Wojtyła respektował ówczesne prawo państwowe i stosował prawo kościelne. Przyglądając się jego reakcjom i oceniając je z dzisiejszej perspektywy, możemy być zawiedzeni, że nie podjął działań, które teraz wydają się oczywiste.

Czyli?

Nie zaopiekował się osobami skrzywdzonymi. Czy nie jest to jednak oczekiwanie, że powinien wyprzedzić swoją epokę? Czy w uczciwości nie powinniśmy patrzeć na kard. Wojtyłę jak na człowieka, który działał w latach 70. XX wieku i miał wiedzę, która w tamtym czasie była dostępna?

Pierwsze badania nad wykorzystaniem seksualnym dzieci zaczęły się w połowie lat 70. XX wieku. Oczywiście, wcześniej pedofilię uznawano za czyn z gruntu zły, niemoralny i przestępczy, ale dopiero dzięki badaniom naukowym pojawiła się świadomość, jak dewastujące i długotrwałe są konsekwencje tych krzywd w życiu człowieka. To również z tego powodu przełożeni kościelni reagując na wykorzystanie seksualne dziecka, swoją uwagę koncentrowali na ukaraniu sprawców, nie zauważając ich ofiar.

Dziś nie ma wątpliwości, że kard. Wojtyła już jako metropolita krakowski wiedział o księżach, którzy krzywdzą dzieci. Wszystko wskazuje na to, że na początku podchodził do tych spraw jak do indywidualnych historii, a nie systemowego problemu, który trzeba rozwiązać. Wtedy jeszcze nie mógł sobie zdawać sprawy ze skali tego zjawiska, tak w Kościele, jak i w społeczeństwie.

Z materiałów dziennikarskich wiemy, że ks. Surgent był przenoszony przez dekady z parafii na parafię. Litka i Krzyżak nazwali go „drapieżcą seksualnym”. Został skazany na trzy lata więzienia. Wciąż pozostaje pytanie o reakcję na zło, jakim jest krzywda dzieci w Kościele.

Każda historia jest inna, ale nie znam osoby, która po doświadczeniu skrzywdzenia mogłaby powiedzieć, że ma to już zupełnie za sobą.

Kwerenda Krzyżaka i Litki pokazała, że częste przenoszenie ks. Surgenta z parafii na parafię w początkowych latach jego pracy duszpasterskiej było spowodowane konfliktowaniem się z innymi księżmi i parafianami, a nie stanowiło reakcji na zawiadomienia dotyczące krzywdzenia dzieci, bo takie informacje pojawiły się dopiero później. Wiemy też, że kard. Wojtyła wysłał go na badania psychologiczne.

Próbując ocenić reakcję na zło, musimy pamiętać, że na razie znamy dość dobrze dwie sprawy księży, którzy zostali skazani przez prawo państwowe. Nie możemy wykluczyć, że tego rodzaju przypadków jest więcej. Wiemy, że ogólne sposoby reakcji były wtedy, według naszej dzisiejszej wiedzy i wrażliwości, nieadekwatne. Nie możemy więc wykluczyć, że w innych sprawach mogło tak być. Nie mając całego obrazu, powinniśmy unikać skrajnych ocen. Mam nadzieję, że dalsze badania dadzą pełniejszy obraz. Są one dla nas szansą na odkrywanie człowieczeństwa Wojtyły, a także korygowanie naszego obrazu świętości.

Jak Ksiądz to rozumie?

Świętość Karola Wojtyły nie potrzebuje ani idealizacji jego osoby, ani przemilczania jego ograniczeń czy nawet błędów. Bo świętość polega na heroicznym przeżywaniu wiary, nadziei i miłości pomimo własnych grzechów, błędów i ograniczeń. Tak jak dumni możemy być z jego chrześcijańskich cnót, tak samo powinniśmy umieć przyjąć, że popełniał błędy i miał swoje niedoskonałości.

Z czego możemy być dumni?

Już jako metropolita krakowski działał zgodnie z ówczesnym prawem państwowym i kościelnym. Konieczność stosowania prawa i karania przestępców seksualnych jest widoczna w jego pierwszych apelach, które jako papież kieruje do episkopatu amerykańskiego na początku lat 90. W tym celu podnosi wiek ochrony małoletnich do 18. roku życia i wydłuża – dla Stanów Zjednoczonych – okres przedawnienia do 10 lat od ukończenia 18. roku życia. Z czasem, kiedy zdaje sobie sprawę, że problem nie dotyczy tylko krajów anglosaskich, w 2001 r. rozszerza to prawo na cały Kościół. Kwalifikuje wtedy pedofilię klerykalną jako jedno z najcięższych przestępstw, zestawiając je z profanacją Najświętszego Sakramentu i złamaniem tajemnicy spowiedzi. Ta decyzja pokazuje, że uświadamia sobie wtedy globalny charakter kryzysu spowodowanego wykorzystaniem dzieci i młodzieży.

Papież był na bieżąco informowany przez swoją przyjaciółkę Annę Teresę Tymieniecką o publikacjach „The Boston Globe”, który ujawnił skalę krzywdzenia dzieci i tuszowania tych spraw przez hierarchów. Korespondencję przejrzał Marcin Gutowski. „Sprawa skandalu zaszła bardzo daleko w świadomości społeczeństwa katolickiego. Reakcja Ojca Św. odebrana była słabo – zbyt późna i zbyt słaba. Trzeba koniecznie działać (sic!!)” – pisała Tymieniecka.

Wtedy Jan Paweł II już dostrzegał, że problemem nie jest tylko krzywdzenie małoletnich przez duchownych, lecz także tuszowanie tych przestępstw przez biskupów. Z dzisiejszej perspektywy zabrakło jednak wyciągnięcia konsekwencji wobec przełożonych kościelnych skompromitowanych błędnymi decyzjami. Być może stało za tym klerykalne podejście do hierarchii, w myśl którego biskupa się nie degraduje. Choć w konsekwencji biskup Bostonu został przeniesiony, tyle że – to prawda – do Watykanu, czego nie można uznać za degradację. I to, z dzisiejszej perspektywy, jest bez wątpienia błędną decyzją papieża.

Dopiero Benedykt XVI i Franciszek zaczęli tworzyć system, który pozwala chronić osoby skrzywdzone i który daje narzędzia do pociągnięcia do odpowiedzialności za tuszowanie przestępstw także przełożonych. Widać więc, że Jan Paweł II podlegał uwarunkowaniom i ograniczeniom. Nie mając wątpliwości co do moralnej niegodziwości pedofilii, nie ustrzegł się błędów. Wydaje się, że przynajmniej w początko-

eprasa.pl df2b558170

wej fazie kryzysu nie w pełni zdawał sobie sprawę ze skutków zła, jakie to przestępstwo powoduje w życiu osoby wykorzystanej. Nie uświadamiał sobie, jak ważne jest przyjęcie optyki osoby skrzywdzonej, co wiąże się z osobistym spotkaniem i wysłuchaniem ofiar.

Jak Kościół reaguje na dyskusję „czy kard. Wojtyła mógł zrobić więcej”?

W 2024 r. Rada Stała Episkopatu opublikowała list w tej sprawie. Pamiętam, że po jego upublicznieniu napisał do mnie duszpasterz jednej z osób skrzywdzonych. Powiedział, że po przeczytaniu tego listu osoba, której towarzyszył, nie potrafiła się pozbierać. Tak bardzo czuła się zawiedziona perspektywą pasterzy Kościoła.

W reakcji na list biskupów?

List był obroną świętości Jana Pawła II. Ukazywał papieża w sposób posągowy, czyli taki, w którym nie ma miejsca na błędy i grzechy. Co prawda na końcu pojawiło się jedno zdanie, że świętość nie oznacza bezbłędności, ale treść listu pokazywała działania papieża jako pasmo sukcesów. Tymczasem dziś wiemy, że brakowało mu perspektywy osób skrzywdzonych, co też wpływało na sposób jego reakcji.

Ta perspektywa jest kluczowa w mierzeniu się z kryzysem przestępstw seksualnych w Kościele. Bo albo wyjdziemy z tego kryzysu razem ze skrzywdzonymi, współpracując z nimi, albo z niego nie wyjdziemy.

Sądzi Ksiądz, że to jeszcze możliwe?

Tak, inaczej nie byłbym w to zaangażowany.

Dlaczego zajął się Ksiądz tym tematem?

Temat sam do mnie przyszedł poprzez osoby, które spotkałem. Gdy byłem jeszcze w liceum, bliska mi osoba wyznała, że została w ten sposób skrzywdzona przez ojca. Po latach dowiedziałem się, że dwie inne bliskie mi osoby były w tamtym czasie wykorzystywane przez księży. W ten sposób odkrywałem, że pokrzywdzeni są blisko, wśród nas.

Pierwszy tekst na ten temat napisałem w 2010 r., gdy byłem na studiach w Rzymie. W kilku krajach ukazywały się wtedy raporty o wykorzystaniu seksualnym nieletnich. Zebrałem je w tekście

Świętość Karola Wojtyły nie potrzebuje
ani idealizacji jego osoby, ani przemilczania jego ograniczeń czy nawet błędów.

„Kościół, pedofilia, statystyka”. Dzisiaj wstydzę się trochę tego tekstu. Skupiłem się przede wszystkim na statystyce i skali zjawiska, a nie widziałem ludzi, których ta krzywda dotyczy.

Kiedy to się zmieniło?

Siedem lat później, gdy rozpocząłem współpracę z ks. Adamem Żakiem i Centrum Ochrony Dziecka. Poprzez spotkania z osobami skrzywdzonymi zdałem sobie sprawę, że to, co z punktu widzenia statystycznego jest mniejszym lub większym procentem, w historii człowieka jest całym jego zranionym życiem. Odkryłem, jak bardzo ta krzywda wpływa na wiele obszarów życia – od strefy seksualnej, umiejętności budowania relacji, po sferę duchową. Każda historia jest inna, ale nie znam osoby, która po doświadczeniu skrzywdzenia mogłaby powiedzieć, że ma to już zupełnie za sobą.

Gdy Fundacja św. Józefa KEP zaczynała działalność, jeździliście do osób skrzywdzonych. Jakie to były spotkania?

Jeździłem z Martą Titaniec, prezeską Fundacji. Świecka kobieta i ksiądz, co dla wielu osób skrzywdzonych miało znaczenie. Dzięki tym spotkaniom i rozmowom przesiąkaliśmy perspektywą osób skrzywdzonych.

Zdarzało się, że ktoś dzwonił z pytaniem, w jaki sposób możemy mu pomóc. Proponowaliśmy spotkanie, nierzadko w domu tej osoby. Zdarzało się, że przychodziła cała rodzina, bo wszyscy czuli, że ta sprawa ich też dotyczy, wpływa na ich życie. Pośredniczyliśmy także w spotkaniu w kurii, towarzyszyliśmy przy składaniu zawiadomienia. Zapewnialiśmy dalsze wsparcie.

W listopadzie 2024 r. odbyło się spotkanie delegacji osób skrzywdzonych z biskupami na Jasnej Górze. Był Ksiądz jednym z moderatorów. Delegacja skrzywdzonych była przygotowana – opracowali postulaty, propozycje zmiany w prawie kanonicznym, przeprowadzili ankiety wśród skrzywdzonych. Biskupi też przyszli przygotowani?

To spotkanie było bardzo ważne na drodze wzajemnego poznawania się. Osoby skrzywdzone szczerze i odważnie przedstawiły swoje postulaty. Ze strony biskupów widziałem również szczere i odważne odniesienie się do głosu skrzywdzonych. Miałem wrażenie, że biskupi słuchali, odpowiadali na pytania, nawet ci, których być może nie podejrzewałbym o otwartość i zaangażowanie w dyskusję.

Pytałam raczej o merytoryczne przygotowanie biskupów.

Myślę, że wśród wielu biskupów panuje przekonanie, że skoro jest delegat i jego biuro ds. ochrony dzieci i młodzieży, to ta grupa ludzi zajmie się wszystkim. W praktyce wygląda to tak, że prymas i jego zespół mogą proponować różne rozwiązania, jednak to, czy one będą wprowadzane w diecezjach i w parafiach, zależy od biskupów. Od tego, czy przekażą rekomendacje swoim delegatom ds. ochrony dzieci i młodzieży. I czy powiedzą: słuchajcie, to jest ważne, robimy to.

A co z tymi, którzy nie współpracują?

Gdy przygotowywaliśmy z zespołem prymasa koncepcję komisji niezależnych ekspertów do zbadania wykorzystania seksualnego małoletnich w Kościele, spotkaliśmy się z ówczesnym delegatem episkopatu Francji ds. ochrony małoletnich. Zapytałem, jak przekonać nieprzekonanych biskupów? Jakich argumentów użyć? W odpowiedzi usłyszałem, że to nie kwestia taktyki czy przeciągania na swoją stronę, ale sprawa nawrócenia. Sam odkrył, jak episkopat francuski przeżył czas mierzenia się z tym tematem jako moment nawrócenia. A w nawróceniu kluczowe jest to, że wszyscy, w tym także biskupi, odkryli, że w skrzywdzonych przychodzi do nas Chrystus.

Czy to odkryli, okaże się, kiedy przewodniczący i członkowie powołanej właśnie komisji zwrócą się do biskupów z pytaniem o współpracę.

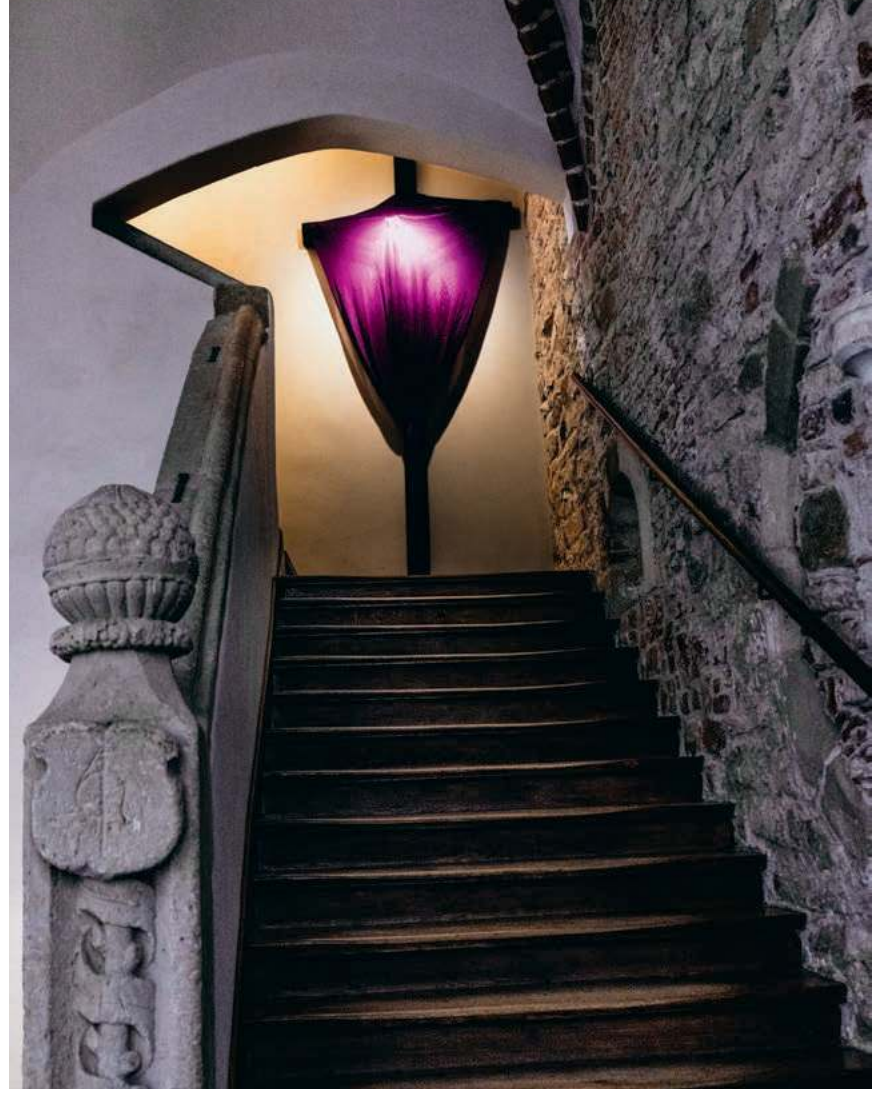
©℗ Rozmawiała ANNA GOC

eprasa.pl df2b558170

Dni zanurzone w sacrum

ARTUR SPORNIAK

LITURGIA | Tajemnicy Zmartwychwstania nie da się wyrazić słowami. Pomagają symbole i zaangażowanie zmysłów w przeżywanie liturgii wypełnionej treścią.



GRAŻYNA MAKARA

Krzyż, zasłonięty w 5. Niedzielę Wielkiego Postu, będzie odsłonięty dopiero w Wielki Piątek. Schody w krakowskim klasztorze dominikanów.

Bogactwo symboli, odczytywanych tekstów biblijnych, śpiewanych pieśni, gestów, rytuałów... Liturgie każdego dnia – Wielkiego Czwartku, Wielkiego Piątku oraz Wielkiej Soboty – różnią się od siebie. Triduum Paschalne to nie tylko szczyt liturgii Kościoła, ale jej najbardziej skomplikowana odsłona. Jak się w tym wszystkim orientować?

Warto zwrócić uwagę na to, czego doświadczają wtedy nasze zmysły.

Gdy światło pokonuje ciemność

Kościół wypełnia mrok. Panuje cisza. Oczekiwanie. Przy wejściu pojawia się płomień paschału. „Światło Chrystusa!" – śpiewa kapłan, unosząc do góry wielką, woskową kolumnę. Najbliżej stojący odpalają swoje świece od paschału i podają płomień sąsiadom. Zanim paschał dotrze na swoje miejsce przy ołtarzu, kapłan jeszcze dwa razy będzie go wznosić do góry proklamując światło Chrystusa, aż cały kościół wypełni blask z zapalonych świeczek trzymanych przez zgromadzonych.

Wymowna chwila. Choć to nie ona rozpoczyna liturgię Wigilii Paschalnej. Wcześniej następuje obrzęd pobłogosławienia ognia. Na zewnątrz kościoła ministranci rozpalają ognisko. Kapłan poświęca ogień, dzięki temu może on służyć do uobecniania boskich tajemnic. Od tego ognia zapalany jest paschał, który także jest poświęcony przez kapłana w specjalnym rytuale. Celebrans wbija w niego pięć bolców symbolizujących pięć ran Chrystusa, wypowiadając słowa z Księgi Apokalipsy: „Chrystus wczoraj i dziś, początek i koniec, Alfa i Omega. Do Niego należy czas i wieczność. Jemu chwała i panowanie po wszystkie wieki wieków".

Światło symbolizuje moment stworzenia świata. W początkowych wersach Księgi Rodzaju czytamy: „Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem: ciemność była nad powierzchnią bezmiaru wód, a Duch Boży unosił się nad wodami. Wtedy Bóg rzekł: »Niechaj się stanie światłość!«".

Światło wydobywa z mroku ziemię, dlatego jest też symbolem prawdy, ale i życia, które bez światła i ciepła jest niemożliwe. W liturgii wielkanocnej symbolizuje cel, do którego podążamy – życie w pełni, a więc zbawienie. Jezus przynosi zbawcze światło, a my – podążając za Nim – przekazujemy je sobie nawzajem, tworząc wspólnotę Kościoła.

Docenić moc światła możemy jedynie przez doświadczenie mroku. Dlatego przepisy liturgiczne nakazują, by sobotnią Wigilię Paschalną, będącą szczytem całego Triduum, zaczynać po zapadnięciu zmroku. Rozpoczynanie jej za dnia odbiera siłę oddziaływania na nasze zmysły jej pierwszej części, czyli właśnie liturgii światła (kolejne to liturgia słowa, liturgia chrzcielna i liturgia eucharystyczna).

Można pomyśleć, że z symboliką ciemności ma związek także ołtarz wystawienia nazywany w Polsce „ciemnicą", na który przenosi się konsekrowane podczas wielkoczwartkowej liturgii Wieczerzy Pańskiej komunikanty, przeznaczone do rozdawania w następny dzień w ramach liturgii Męki Pańskiej.

To jednak nieporozumienie. Choć pierwotnie ołtarz ten symbolizował modlitwę Jezusa w Ogrójcu, a polska nazwa wzięła się z „ciemnego więzienia", do którego Jezus miał trafić po pojmaniu, to obecnie przepisy liturgiczne mówią, że miejsce to służy do radosnego adorowania Eucharystii na pamiątkę jej usta-

eprasa.pl df2b558170

nowienia podczas paschy Jezusa w Wieczerniku.

Gdy wchodzimy w ciszę

„Co się stało? Wielka cisza spowiła ziemię; wielka na niej cisza i pustka. Cisza wielka, bo Król zasnął. Ziemia się przelękła i zamilkła, bo Bóg zasnął w ludzkim ciele, a wzbudził tych, którzy spali od wieków. Bóg umarł w ciele, a poruszył Otchłań. Idzie, aby odnaleźć pierwszego człowieka, jak zgubioną owieczkę".

To słowa starożytnej homilii na Wielką Sobotę. Jezus umiera okrutną śmiercią na krzyżu, wołając: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?". Wszystko się zatrzymuje. Cichnie łkanie bliskich. Można tylko sobie wyobrazić, jaką gorycz i zawód przeżywają apostołowie. On miał słowa życia wiecznego, do kogo teraz pójdą?

Ten stan zawieszenia ma cechować Wielką Sobotę, w której nie odprawia się żadnej liturgii. W Polsce nie bardzo się to udaje, bo święcimy w tym dniu pokarmy. Ciszę Wielkiej Soboty przerywa gwar dzieci przynoszących koszyki ze święconką.

Dawniej święcenie pokarmów odbywało się po Wigilii Paschalnej – kropiono je poświęconą podczas niej nową wodą. Ale skoro liturgia ta została przesunięta na wieczór, zwyczaj błogosławienia pokarmów przeniesiono na sobotnie przedpołudnie. By jednak nie przerywać modlitewnej ciszy Grobu Pańskiego, święcenie organizowane jest zwykle z dala od niego, np. na zewnątrz kościoła.

Zdarza się również, że powagę Wielkiej Soboty niszczy nadgorliwość proboszczów przystrajających Groby Pańskie w krzykliwe polityczne czy ideologiczne symbole.

Momentem zapowiadającym pośmiertne milczenie Wielkiej Soboty jest cisza, w jakiej kończy się liturgia Wieczerzy Pańskiej w Wielki Czwartek. W ciszy rozpoczyna się także liturgia wielkopiątkowa. Procesja w milczeniu podchodzi do ołtarza. Celebrans pada na twarz i tak leży przez chwilę. To tzw. prostracja – wyraz szczególnego uniżenia się wobec Boga i postawa głębokiej modlitwy.

Liturgia tego dnia nie jest Eucharystią. Odczytuje się opis Męki Pańskiej (z podziałem na role). Następnie ma miejsce najbardziej rozbudowana w całym roku liturgicznym modlitwa wiernych – modlimy się m.in. za Żydów (wezwanie to zostało oczyszczone z obecnych dawniej elementów antysemickich) oraz za niewierzących. Nabożeństwo kończy adoracja krzyża. W ten sposób nie czci się jednak narzędzia kaźni, lecz zbawienia.

Wymowny symbol ciszy pojawia się zresztą jeszcze wcześniej – podczas wielkoczwartkowej liturgii Wieczerzy Pańskiej. Po odśpiewaniu hymnu „Chwała na wysokości Bogu" milkną dzwony, organy i inne instrumenty, a dzwonki zastępuje się drewnianymi kołatkami. Taki post od dźwięków trwa aż do odśpiewania hymnu „Chwała na wysokości Bogu" podczas Wigilii Paschalnej. Wówczas zaczynają bić dzwony, a w kościele zapalane są wszystkie światła.

Gdy radość przerywa milczenie

Wezwanie do bicia dzwonów wypowiedziane jest już na początku starego galijskiego hymnu wyśpiewywanego radośnie przez diakona podczas Wigilii Paschalnej. Pierwsze słowa „Exultetu" brzmią: „Weselcie się już zastępy Aniołów w niebie: weselcie się, słudzy Boga. Niechaj zabrzmią dzwony głoszące zbawienie, gdy Król tak wielki odnosi zwycięstwo". Dlaczego dzwony? Według średniowiecznego liturgisty Amalariusza z Metzu są one tym przedmiotem, który przypomina Bogu o ludziach.

Warto wsłuchać się w słowa „Exultetu", który w paradoksalny sposób przedstawia naszą egzystencjalną sytuację („O, szczęśliwa wina, skoro ją zgładził tak wielki Odkupiciel!"), wskazuje na istotę religii („Nic by nam przecież nie przyszło z daru życia, gdybyśmy nie zostali odkupieni") i – w hymnie o paschale, symbolu Chrystusa – wychwala pracowitą pszczołę produkującą wosk („Znamy już wymowę tej woskowej kolumny, którą na chwałę Boga zapalił jasny płomień. Chociaż dzieli się on użyczając światła, nie doznaje jednak uszczerbku, żywi się bowiem strugami wosku, który dla utworzenia tej cennej pochodni wydała pracowita pszczoła").

Gdy pustka wskazuje na pełnię

Istotą 40-dniowego Wielkiego Postu przygotowującego do świętowania Triduum Paschalnego nie jest umartwienie dla samego umartwienia, tylko przywrócenie właściwej miary rzeczom. Odmawiając coś sobie, sprawdzamy, jak bardzo potrzebujemy tej rzeczy i jakie jest jej miejsce w naszym życiu. Elementy logiki postnej ascezy obecne są także w owym świętowaniu najważniejszej w roku kościelnym liturgii.

Na zakończenie wielkoczwartkowej liturgii Wieczerzy Pańskiej (która – zgodnie z liczeniem liturgicznych dni „od wieczora do wieczora następnego dnia" – przynależy już do Wielkiego Piątku) obnażane są ołtarze z obrusów, świeczników, krzyży i kwiatów. Tabernakula pozostają otwarte i puste – konsekrowane komunikanty i hostie przenosi się do ołtarza wystawienia. Gasną wieczne lampki.

W liturgii przedsoborowej to obnażenie nabywało dodatkowo wymiaru chaosu – zdejmowane z ołtarzy świeczniki rozrzucano na posadzce. Chodzi o to, by poprzez brak i ogołocenie docenić to, do czego dostęp mamy na co dzień.

Po rozdaniu komunii i zakończeniu liturgii Wielkiego Piątku pozostaje tylko jedna hostia, ukryta w monstrancji, pod welonem, i umieszczona w Grobie Pańskim. O. Adam Szustak OP w jednej z paschalnych homilii zwrócił uwagę, że w roku liturgicznym istnieje czas, kiedy w Kościele katolickim na całym świecie nie ma ani jednego komunikantu.

W ogołoceniu chodzi też o przemianę myślenia – zmianę perspektywy po to, by dostrzec, czym jest miłość. Jezus podczas Ostatniej Wieczerzy zdejmuje ubranie, owija się prześcieradłem i umywa uczniom nogi. To czynność niewolnika, dlatego tak gwałtownie reaguje Piotr, broniąc się przed tym gestem – nie jest gotów na takie uporządkowanie świata, by ktoś najważniejszy stawał się sługą. Jezus wyjaśnia mu, że jeżeli nie zgodzi się na taką zmianę perspektywy, nie będzie miał udziału w Jego dziele.

Od tego czasu Kościół naśladuje gest Jezusa umywającego nogi. Synod w Toledo w VII wieku pod groźbą ekskomuniki nakazał wszystkim biskupom i przełożonym odprawiać obrzęd umywania stóp w Wielki Czwartek. Od XII wieku papieże umywali stopy ubogim. W 2016 r. papież Franciszek przełamał tradycję obmywania stóp tylko mężczyznom. Sam dawał przykład, obmywając nogi muzułmanom, więźniarkom czy osobom transseksualnym.

W obrzędzie *mandatum* (nazwa pochodzi od łacińskiego słowa „przykazanie" ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ – „Nowe przykazanie daję wam...") nie chodzi o upokorzenie, ale o zdolność kochania i okazywania tego w trosce o innych.

Gdy nadchodzi Pascha

Liturgiczne ogołocenie trwa do Wigilii Paschalnej, w której następuje eksplozja znaków i znaczeń. Ma ona swoją genezę w Wieczerniku, gdzie Jezus spożył żydowską paschę, nadając tradycyjnemu błogosławieniu pokarmów nowe znaczenie: „Następnie wziął chleb, odmówiwszy dziękczynienie połamał go i podał mówiąc: »To jest Ciało moje, które za was będzie wydane: to czyńcie na moją pamiątkę!«. Tak samo i kielich po wieczerzy, mówiąc: »Ten kielich to Nowe Przymierze we Krwi mojej, która za was będzie wylana«" (Łk 22, 19-20). W ten sposób ustanowił Eucharystię.

Czasownik *pesach* po hebrajsku oznacza „przejście". Mowa jest o dwóch wydarzeniach z historii Izraela. Żydzi, świętując paschę, wspominają pełne grozy przejście przez Egipt anioła śmierci mordującego pierworodnych. Anioł mijał tylko te domostwa, których drzwi zgodnie z nakazem Boga zostały pokropione krwią złożonego w ofierze baranka. Wspominają też przejście przez Morze Czerwone ratujące Izraelitów przed ścigającymi ich wojskami egipskimi.

Pascha Chrystusa uniwersalizuje żydowski przekaz – On stał się barankiem złożonym w ofierze za nasze grzechy, przez swoje Zmartwychwstanie pokonuje śmierć i otwiera nam niebo.

Podczas Wigilii Paschalnej na nowo święci się wodę. Pokropieni nią, odnawiamy przyrzeczenia chrzcielne. Chrzest zanurzył nas w śmierci Chrystusa, abyśmy razem z nim mieli życie. Najgłębszym znaczeniem Wigilii Paschalnej i całego Triduum jest ukazanie życia chrześcijańskiego jako odnowionego. Jesteśmy nowym stworzeniem.

Mamy proch ziemi ze Środy Popielcowej symbolizujący pamięć o śmierci, dym kadzidła symbolizujący modlitwę i Bożą tajemnicę, wodę jako symbol oczyszczenia i życia oraz ogień – symbolizujący zbawienie. Żywioły nowego stworzenia.

©℗ ARTUR SPORNIAK

Korzystałem m.in. z „Triduum Paschalne. Przewodnik" (wydawnictwo W drodze).

Wyśpiewany paradoks

EDWARD AUGUSTYN

POBOŻNOŚĆ | Zrodzone ze sporu, od wieków łączą ludzi. Napisane barokowym językiem, do dziś budzą emocje. Gorzkie Żale: nabożeństwo, które nie przestaje zadziwiać.

Ks. Wojciech Kałamarz mógłby o Gorzkich Żalach opowiadać godzinami. Jest muzykiem, redaktorem naczelnym „Śpiewnika Siedleckiego", wydawnictwa, które od 1876 r. kodyfikuje polskie pieśni kościelne, co 15-20 lat publikując ich zweryfikowane zapisy tekstowe i nutowe. W dodatku oba te fenomeny („Śpiewnik" i Gorzkie Żale) są dziełem Zgromadzenia Księży Misjonarzy, do którego ks. Wojciech należy.

Gorzkie żale, przybywajcie,
serca nasze przenikajcie
serca nasze przenikajcie

– Nie byłoby tego nabożeństwa – opowiada ks. Kałamarz – gdyby nie konflikt pomiędzy dwoma warszawskimi bractwami: św. Rocha od misjonarzy i Różańcowego od dominikanów. Sąsiadowały ze sobą na Krakowskim Przedmieściu: dominikanie opiekowali się Kaplicą Moskiewską, która stała dokładnie naprzeciw Kościoła Świętego Krzyża, należącego do misjonarzy.

Gdy procesje bractw spotykały się na ulicy, dochodziło do przepychanek i bójek. Proboszcz świętokrzyskiej parafii, ks. Michał Tarło, zakazał więc członkom Bractwa św. Rocha udziału w procesjach różańcowych i zlecił jego opiekunowi – ks. Wawrzyńcowi Bönnigowi – wymyślenie nowego nabożeństwa, które mogłoby rywalizować z dominikańskim.

W lutym 1707 r. ukazał się drukiem tekst Gorzkich Żalów (pod tytułem „Snopek mirry z Ogroda Gethsemańskiego", używanym aż do połowy XIX w.), a 2 marca, w pierwszą niedzielę Wielkiego Postu, nabożeństwo zostało odprawione po raz pierwszy.

Śpiewane rozważania Męki Pańskiej bardzo szybko się upowszechniły. Przede wszystkim dzięki Zgromadzeniu Misjonarzy, które w tamtych czasach odpowiadało za edukację niemal całego kleru diecezjalnego w Polsce (w XVIII w. prowadziło 22 na 31 istniejących seminariów duchownych). Ale także dlatego, że były ciekawszą i bardziej ekonomiczną alternatywą dla dotychczasowych nabożeństw wielkopostnych, opartych na inscenizacjach Pasji i wymagających długotrwałych, kosztownych przygotowań.

Co ciekawe – nie udało się przenieść Gorzkich Żalów za granicę, mimo tłumaczeń na kilka języków. Pozostało nabożeństwem typowo polskim i polonijnym (odprawianym w społecznościach Polaków na całym świecie).

Rozpłyńcie się me źrenice,
toczcie smutnych łez krynice
toczcie smutnych łez krynice

Według danych CBOS z 2024 r. uczestnictwo w nabożeństwach wielkopostnych, takich jak Gorzkie Żale i Droga Krzyżowa, deklaruje w Polsce 42 proc. dorosłych Polaków. To liczba znacznie przekraczająca odsetek tzw. *dominicantes* – wiernych uczęszczających co niedzielę na mszę (29,6 proc.).

Wszystkie zresztą praktyki wielkopostne cieszą się u nas dużym zainteresowaniem: w nabożeństwach Triduum Paschalnego uczestniczy 48 proc. Polaków, do spowiedzi wielkanocnej przystępuje 53 proc., a pości w Wielki Piątek 72 proc.

Danuta Łazarska z katedry języka polskiego Uniwersytetu KEN opublikowała w 2020 r. wyniki ankiet przeprowadzonych wśród uczęszczających na religię uczniów jednego z krakowskich liceów. Na pytanie: „Czym są dla ciebie Gorzkie Żale" odpowiedziało 220 licealistów. Zdecydowana

LECH PAŁUSZCZAK / FORUM

eprasa.pl df2b558170



Akademickie Gorzkie Żale. Poznań, 18 lutego 2024 r.

większość (65,91 proc.) zadeklarowała, że zna to nabożeństwo, traktując je najczęściej jako „modlitewne przygotowanie do Wielkanocy" (42,27 proc.), „spotkanie z samym sobą i oczyszczeniem siebie" (21,82 proc.), „pokutę za grzechy" (14,09 proc.), „śpiewy mocno oddziałujące na emocje" (8,64 proc.).

Zdarzały się też nietypowe, choć pojedyncze odpowiedzi, uznające Gorzkie Żale za smutny obowiązek, obrzęd nudny i abstrakcyjny czy nawet mantrę.

Słońce, gwiazdy omdlewają,
żałobą się pokrywają
żałobą się pokrywają

Przez ponad 300 lat nabożeństwo niewiele się zmieniło. Ma trzy części, w których rozpamiętywane są kolejne etapy Męki Pańskiej. Każda część ma cztery pieśni: wspólną dla wszystkich „Pobudkę" („Gorzkie żale przybywajcie") oraz dostosowane do tematu „Hymn", „Lament duszy nad Jezusem" i „Rozmowę duszy z Matką Bolesną".

Początkowo śpiewano wszystkie trzy części naraz, zwykle podczas niedzielnej mszy (przedsoborowy zwyczaj, by zająć czymś nierozumiejący łaciny lud boży). Szybko jednak przyjął się zwyczaj odprawiania oddzielnego nabożeństwa – co niedzielę kolejnej części – do którego dodawano z czasem nowe elementy: wystawienie Najświętszego Sakramentu, procesję, kazanie pasyjne, śpiew „Któryś za nas cierpiał rany" (i inne pieśni wielkopostne) oraz suplikacje („Święty Boże, Święty mocny").

Nie mamy pewności, na jaką melodię śpiewano pierwsze Gorzkie Żale – w tamtych czasach drukowane były tylko teksty pieśni. Zapisy nutowe zaczął zbierać dopiero sto lat później ks. Michał Mioduszewski. Był kościelnym prawnikiem, ale też muzykiem (ze Zgromadzenia Misjonarzy, a jakże). Wizytując parafie, dokumentował usłyszane tam pieśni, starając się zawsze dotrzeć do ich najstarszej wersji (i to na kilka dekad przed Oskarem Kolbergiem). W „Śpiewniku kościelnym" Mioduszewskiego z 1838 r. znajdziemy pierwszy pełny zapis nutowy Gorzkich Żalów, który stał się podstawą wszystkich śpiewanych do dziś wersji.

Płaczą rzewnie aniołowie,
a któż żałość ich wypowie
a któż żałość ich wypowie

Bo melodii tego nabożeństwa jest wiele. Zmieniają się nie tylko w zależności od regionu Polski, ale nawet z parafii na parafię.

– Podstawowy rysunek jest zachowany, ale niemal każda społeczność lokalna dodaje do niego jakiś kolor – mówi ks. Wojciech Kałamarz, który badał wariabilność melodyczną Gorzkich Żalów w archidiecezji krakowskiej. I dodaje: – Bogactwo wariacji świadczy o walorach tematu. ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ Muzyczna forma jest z pewnością jedną z głównych przyczyn niegasnącej popularności nabożeństwa. Wspólne, głośne śpiewanie ma przecież wyłącznie dobroczynne skutki, o czym mówi dziś i psychologia, i medycyna: łączy ponad podziałami społecznymi i politycznymi, pomaga bezpiecznie wyrażać i przeżywać emocje, obniża stres, stymuluje wydzielanie endorfin. Miłośnicy różnorakich „lekcji śpiewania", organizowanych w dniu Święta Niepodległości czy Konstytucji 3 Maja, dobrze o tym wiedzą. Podobnie jak uczestnicy wielkopostnych czy majowych nabożeństw.

Opoki się twarde krają,
z grobów umarli powstają
z grobów umarli powstają

W przeciwieństwie do melodii, tekst Gorzkich Żalów zmienił się niewiele. Znajdziemy więc w nim zarówno archaizmy („twarde serc naszych *opoki*"), jak i słowa, które wyszły z użycia („uderz, Jezu, bez *odwłoki*"), czy takie, które mają dziś całkiem inne znaczenie („Niech czuję *gwałt* twej żałości"). Przykłady można mnożyć.

Ale najwyraźniej mało komu to przeszkadza. Nawet badani licealiści nie skarżyli się na starodawny i częściowo niezrozumiały język nabożeństwa. Owszem, szkoła przyzwyczaiła ich do czytania i interpretowania podobnych tekstów, ale możliwe jest także inne wytłumaczenie: tajemnicze i nasycone patosem słownictwo wciąż jest dla wielu z nas synonimem tego, co religijne i święte.

Tak czy inaczej kolejni redaktorzy „Śpiewnika Siedleckiego" dochodzili do wniosku, że należy zachować tradycyjne formy. Z jednym tylko wyjątkiem.

„Jezu, na zabicie okrutne / cichy Baranku od żydów szukany / Jezu mój kochany" – śpiewali wierni przez dwa i pół wieku. Jeszcze w ostatniej, przedwojennej wersji „Śpiewnika" (z 1936 r.) nie brakowało antysemickich treści – chrześcijanie, nie tylko w Polsce, uważali przecież „żydostwo" i „żydów" za winnych śmierci Jezusa. W wydaniu z 1947 r. słowa te zastąpione zostały „pospólstwem" i „łotrami".

Można przypuszczać, że za tą zmianą stał ks. Wendelin Świerczek, redaktor „Śpiewnika Siedleckiego" w latach 1915--1974. Antyżydowskie zwroty zniknęły więc z polskiego nabożeństwa wcześniej niż z liturgii Kościoła powszechnego (modlitwę za „perfidnych Żydów" usunięto z obrzędów Wielkiego Piątku w 1959 r.). Wśród wielu zasług ks. Świerczka warto pamiętać i o tej.

Uderz, Jezu, bez odwłoki,
w twarde serc naszych opoki
w twarde serc naszych opoki

Tekst Gorzkich Żalów jest świadectwem nie tylko XVIII-wiecznej mentalności, ale też ówczesnej pobożności. Barokowej – oddziałującej na wyobraźnię i zmysły, pełnej paradoksów i kontrastów, zafascynowanej przemijaniem i śmiercią. Ale czy tak odległej od dzisiejszej?

O wątkach wanitatywnych we współczesnej literaturze polskiej, lubującej się w sprzecznościach i przepełnionej gwałtownymi emocjami, napisano już wiele, także na naszych łamach. Podobnie jak o jej „barokowej frazie", nasyconej metaforą i detalem, teatralnej, nadekspresyjnej i archaizowanej.

To dużo więcej niż „moda na barok". Bardziej – powracająca wciąż potrzeba emocji, duchowości i mistyki w świecie, który staje się zbyt skomplikowany, by go ogarnąć intelektem i logiką. Oraz szukanie języka, który udźwignie otaczający nas chaos.

Także w tym tkwi tajemnica Gorzkich Żalów: śpiewnych rozważań nad męką Jezusa i cierpieniem Maryi, które uruchamiają wyobraźnię, dotykają zmysłów, budzą żal, współczucie, skruchę...

„Tylko z zadumy, z zagłębienia się myślą i uczuciem w otchłanie smutku, nędzy, tragizmu i poniżenia urodzić się może prawdziwa siła duchowa i trwała nadzieja. Tylko z rozpamiętywań nad śmiercią rodzi się rzeczywiste zrozumienie życia"– pisał prawie 80 lat temu o Gorzkich Żalach Kisiel. Felietonista „Tygodnika" widział w tych sprzecznościach istotę chrześcijaństwa. O którego największym paradoksie – że Boży Syn, zrodzony z kobiety, umarł na krzyżu, by dać nam życie – opowiadają Gorzkie Żale.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl df2b558170

O. WACŁAW

Oszajca:
Dwa grzechy Jezusa



Tego, co się stało, można było się spodziewać, przecież Jezus przez całe życie z niezwykłym uporem działał kontrproduktywnie. Nawet wielkich sukcesów, jakie niewątpliwie odnosił, nie umiał zdyskontować na własną korzyść. Z przedziwnym uporem psuł to, co zbudował, i się skończyło, jak się skończyło – totalną klęską. Przykład pierwszy z brzegu. Po nieszczęsnym sporze w Kafarnaum, dotyczącym tożsamości Jezusa, zamiast załagodzić konflikt, Jezus go jeszcze wyostrzył, przez co wielu uczniów rozczarował i wielu z nich odeszło. Ale nawet widząc, co się dzieje, Jezus zamiast spuścić z tonu, postępuje, jakby Mu na nikim nie zależało. Zamiast zadbać o pozostałych, okazać im zrozumienie, serdeczność, bezdusznie pyta: „Czy i wy chcecie odejść?".

Podobnie stało się w Jerozolimie, z Jego tryumfalnym powrotem do świątyni. Mając w ręku taki atut jak poparcie społeczne, wprost uwielbienie, i wiedząc, że establishment religijno-polityczny czyha na Jego życie, zamiast wyjść z niechby nawet pozorowaną inicjatywą nawiązania stosunków, decyduje się na działania, które Jego przeciwnikom nie dawały żadnych szans na zmianę stanowiska. Robi piekielną awanturę, i to gdzie? W domu Bożym, w miejscu najświętszym z najświętszych. „Dlatego też (kapłani i faryzeusze) usiłowali Go pojmać, bali się jednak tłumów, gdyż miały Go za proroka". Na dobrą sprawę, nawet jeszcze po tym niefortunnym wydarzeniu Jezus mógł się uratować, mógł wykorzystać nadwyrężone przez strach morale przeciwników i dać im szansę na zmianę poglądów.

Ale można na działanie Jezusa popatrzeć pod innym kątem. Można powiedzieć, że owszem, unikanie transakcyjności i nieliczenie się z kontrproduktywnością poczynań doprowadziły Jezusa do klęski. Czas jednak taki osąd Jego działalności zweryfikował i okazało się, że ta klęska jest zwycięstwem Jego i tych, którzy Mu zaufali. Tym bardziej dziwi fakt, że wciąż pośród Jego uczniów, chrześcijan, są tacy, dla których obawa przed kontrproduktywnością i akceptacja transakcyjności to najważniejsze motywy ich działań. Martwiąc się o przyszłość chrześcijaństwa, my, wyżsi i niżsi stopniem i godnością starsi Kościoła, nie zapominajmy o tych, których Jezus przegonił z domu Bożego, a którzy przecież całym sercem troszczyli się o produktywność i opłacalność służby. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Kim On jest



Niemal cały miniony tydzień kolejne fragmenty Ewangelii (zaczerpnięte z reguły ze św. Jana) stawiały nas wobec pytania o Jezusa. Kim jest? Co o Nim wiadomo, a co pozostaje jakąś tajemnicą? Skąd pochodzi? Gdzie się urodził? Co wiemy o Jego rodzinie? I skąd ma taką wiedzę o Bogu? Czy kończył jakieś szkoły? Jakim wykształceniem się legitymuje? Ludzie gorączkowo szukają klucza do zrozumienia Jego Osoby. Rozumiemy to. Oczywiście. Także i dla nas – Jego uczniów – nie ma ważniejszego w życiu pytania od tego: kim jest Jezus?

Liturgia piątkowa przyniosła nam odpowiedź: tajemnicą-kluczem do poznania i zrozumienia Jezusa nie jest (!) ani Jego ziemskie pochodzenie, ani Jego edukacja; jest nią Jego pochodzenie od Ojca – Jego zakryta przed ludzkimi oczyma, najbardziej intymna i zażyła relacja z Ojcem: „I Mnie znacie, i wiecie, skąd jestem. Ja jednak nie przyszedłem sam z siebie... Ja od Niego [tzn. od Ojca] jestem i On Mnie posłał" (J 7, 28-29). Jedynie więź z Ojcem objaśnia, kim jest: „Od Niego jestem". I jedynie więź z Ojcem objaśnia wszystko, co robi: „On Mnie posłał".

Ona też czyni Go całkowicie wolnym Człowiekiem. Ta wolność dochodzi do głosu w ostatnim akapicie piątkowej Ewangelii: „Zamierzali więc Go pojmać, jednakże nikt nie podniósł na Niego ręki, ponieważ godzina Jego jeszcze nie nadeszła" (zob. J 7, 30). Najwyraźniej to nie Jego wrogowie zadecydują o „godzinie" Jego śmierci. Nie współziomkowie; nie faryzeusze i uczeni w Piśmie; nie coraz bardziej wrogi tłum. Także nie Piłat; nie Rzymianie. I nie Herod.

To będzie decyzja, która ostatecznie zapadnie właśnie między Nim a Ojcem. Nikt Mu życia nie odbierze; On sam je odda, stając się szafarzem własnej śmierci. Jego śmierć nie będzie (!) rezultatem zdrady, knowań i nienawiści. Będzie owocem miłości. „Ja życie moje oddaję, aby je [potem] znów odzyskać. Nikt mi go nie zabiera, lecz Ja sam od siebie je oddaję. Mam moc je oddać i mam moc je znów odzyskać" (J 10, 17-18).

Skąd ma tę moc? Skąd bierze się aż taka Jego wolność? Odpowiedź brzmi: od Ojca! Z tajemnicy życiodajnej relacji z Nim. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl df2b558170



RICHARD BAKER / IN PICTURES / GETTY IMAGES

Winston Churchill, premier z czasu II wojny światowej i jedna z najbardziej popularnych postaci brytyjskiej historii, na pięciofuntowym banknocie; obok podobizna króla Karola III.

BORSUKI KONTRA CHURCHILL

Historyczne postaci na brytyjskich banknotach zostaną zastąpione przez zwierzęta. Perspektywa usunięcia z nich bohatera wojennego na rzecz bobra, borsuka czy lisa nie wszystkim się podoba.

PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

Jeszcze nie wiadomo, czy na pewno będzie to borsuk, bóbr, czy może lis. Wiadomo jednak, że zmiana nastąpi – po tym, jak przez ponad 50 lat na brytyjskich banknotach prezentowały się ważne osobistości z dziejów Zjednoczonego Królestwa.

O zmianach, tj. o ich generalnym kierunku, poinformował Bank Anglii, powołując się na wyniki przeprowadzonych konsultacji społecznych. Aż 60 proc. ich uczestników wskazało na brytyjską przyrodę jako na najbardziej pożądany motyw graficzny na banknotach. Niewiele mniej, bo 56 proc., na architekturę i krajobraz.

Natomiast znane postaci historyczne chciałoby dalej widzieć na nich jedynie 38 proc. respondentów. Bank Anglii uważa, że motyw natury to doskonały wybór, bo pozwoli zaprezentować bogatą i różnorodną brytyjską przyrodę.

W OBRONIE PREMIERA | Na brytyjskich banknotach – zaznaczmy, że na tych emitowanych przez Bank Anglii, gdyż swoje emitują też Szkocja i Irlandia Północna, będące częścią Zjednoczonego Królestwa – prezentują się obecnie: Winston Churchill, premier z czasów II wojny światowej; pisarka Jane Austen; malarz William Turner, a także Alan Turing, matematyk, który w czasie II wojny pracował nad złamaniem niemieckiego szyfru Enigmy.

Głośne oburzenie wzbudza jednak na Wyspach przede wszystkim perspektywa banicji Churchilla. Co ciekawe, w proteście siły połączyli tu politycy z bardzo różnych obozów.

eprasa.pl df2b558170



RSPCA

Królewskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt przygotowało żartobliwe projekty banknotów. Jednak pomysł nie może liczyć na akceptację.

„Proponują, abyśmy zastąpili takich ludzi jak on obrazkiem bobra" – grzmiał Nigel Farage, lider populistycznej partii Reform UK. „To głupota" – wtórowała mu Kemi Badenoch, przewodnicząca Partii Konserwatywnej. Badenoch argumentowała, że jest to wymazywanie brytyjskiej historii, i że jeśli jakaś zmiana jest tu w ogóle potrzebna, to na banknoty powinna trafić np. była premierka Margaret Thatcher.

WNUCZKA STUDZI EMOCJE | Najcięższe działa wytoczył jednak ktoś inny: Ed Davey, przewodniczący Liberalnych Demokratów, któremu z Faragem i konserwatystami zwykle nie jest po drodze.

„Nie wyobrażam sobie gorszego momentu, aby to zrobić, niż teraz. Gdy w Europie toczy się wojna, powinniśmy celebrować brytyjski opór wobec nazizmu (...), a nie usuwać Churchilla z naszych banknotów" – przekonywał. Stwierdził, że Churchill zasługuje na coś lepszego, niż aby miał go zastąpić borsuk.

Premier Keir Starmer skorzystał z okazji, aby milczeć. Jedynie jego rzecznik przekazał: „Projektowanie banknotów jest kwestią operacyjną niezależnego Banku Anglii".

W tym całym rozgorączkowaniu spokojnie zabrzmiał głos Emmy Soames, wnuczki Churchilla: przyznała ona, że przecież wiadomo było, iż wizerunek jej słynnego dziadka zniknie kiedyś z pięciofuntowych banknotów (zmiany przeprowadzane są co jakiś czas ze względu na zapobieganie fałszerstwom), i że Bank Anglii ma prawo podjąć taką decyzję.

Pytana przez BBC, co sądzi o alternatywie w postaci borsuka, Emma Soames odparła: „Szczęściarz z borsuka. Albo szczęściarz z dziadka!".

Jednak decyzja o tym, jakie konkretnie zwierzęta mają trafić na jakie banknoty, jeszcze nie zapadła. To będzie kolejny etap społecznych konsultacji. Emma Soames sądzi, że dziadka powinien zastąpić po prostu zwierzak odważny, nawet bardzo odważny, ale i sympatyczny.

OSTATNIA Z KOBIET | Wybuch emocji związanych z planowanym wprowadzeniem nowych banknotów mógł zaskoczyć Bank Anglii. Wszak motyw przyrodniczy został wskazany przez społeczeństwo, w osobach jego reprezentantów. W dodatku mogłoby się wydawać, że jest to coś, co Brytyjczyków – znanych z zamiłowania do pieszych wędrówek i spędzania czasu na łonie natury – raczej jednoczy i wzbudzi pozytywne konotacje.

Nie tak, jak dotychczasowe decyzje o historycznych postaciach, których wybór zawsze był sprawą potencjalnie wybuchową. W przeszłości wytykano już Bankowi Anglii np. zbyt małą reprezentację kobiet. Faktycznie, jak dotąd były tylko trzy: w przeszłości Florence Nightingale (twórczyni nowoczesnego pielęgniarstwa) i działaczka społeczna Elizabeth Fry, a obecnie Jane Austen.

Autorka „Dumy i uprzedzenia" trafiła na 10-funtowy banknot nie bez problemów. W 2013 r., gdy przedstawiono decyzję o nowych banknotach, pierwotnie miało na nich nie być żadnej kobiety – rzecz jasna poza królową Elżbietą II, która do 2024 r. widniała na wszystkich banknotach. Feministki zarzuciły Bankowi Anglii dyskryminację i zagroziły pozwem.

Gdy więc w przyszłości wycofane zostaną funty z Jane Austen, na jakiś czas kobiety w ogóle znikną z brytyjskich banknotów, bo miejsce królowej na tych emitowanych obecnie zajmuje aktualny król Karol III (na razie w obiegu są i te z królową, i nowe z królem; te pierwsze za jakiś czas będą stopniowo wycofywane).

ODCIENIE KOLORÓW | Kobiety były zatem jak dotąd trzy. Za to z mniejszości etnicznych – nikogo. Choć od lat trwa kampania „Banknotes of Colour".

Kto mógłby to być? Na liście jest Noor Inayat Khan: indyjska pisarka, spokrewniona z arystokracją Indii. Wychowana w Wielkiej Brytanii, podczas II wojny światowej została agentką SOE, Zarządu Operacji Specjalnych – komórki wywiadu, która odpowiadała za akcje na terenie okupowanej Europy. Wysłana do okupowanej Francji i aresztowana przez Niemców, zginęła w 1944 r. w obozie koncentracyjnym Dachau w wieku 30 lat.

Podczas debaty na ten temat, która miała miejsce w parlamencie w 2019 r., przywoływano też Sophię Duleep Singh (1876-1948) – sufrażetkę, tj. radykalną sufrażystkę, gotową walczyć o prawa kobiet metodami radykalnymi. A prywatnie – księżniczkę indyjskiego pochodzenia. ↦

Został uznany za najpiękniejszy banknot roku 2024: pięciodolarowy nominał z Bermudów, które mają status brytyjskiego terytorium zależnego.



MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl df2b558170

↦ Rozczarowany obecną decyzją Banku Anglii, prof. Patrick Vernon – działacz społeczny i jeden z organizatorów tej kampanii – przypomniał, że tysiące osób podpisały petycję, by uhonorować pochodzącą z Jamajki Mary Seacole. Podobnie jak Florence Nightingale, była ona pielęgniarką i pomagała żołnierzom podczas wojny krymskiej (1853-1856).

„Dla wielu z nas ta decyzja nie jest neutralnym wyborem tego czy innego projektu – pisał Vernon. – Ona uwiera także ze względu na historyczne dziedzictwo Banku".

Chodzi o to, że Bank Anglii odegrał znaczącą rolę w finansowaniu atlantyckiego handlu niewolnikami. Teraz, dowodził Vernon, Bank „woli pokazać lisa lub kwiat, niż zmierzyć się z różnorodną historią ludności Wielkiej Brytanii".

A SZCZURY I MEWY? | Spory sporami, jednak wielu Brytyjczyków przyjęło plan wprowadzenia krajowej fauny na banknoty z entuzjazmem. Ruszyły spekulacje, jakie powinny to być zwierzęta – i nie ma pewności, że w tym przypadku obędzie się bez kontrowersji. Choć wykluczenie zwierząt domowych trochę chyba pomogło – inaczej wszystko sprowadziłoby się do wiecznego sporu wielbicieli psów i kotów.

Dyskusja i tak może być zażarta. Za zwierzęta ulubione na Wyspach uchodzą jeże i lisy, a wśród ptaków prym wiedzie rudzik. Za nim w rankingu popularności plasują się sowa płomykówka i kos.

Głos zabrało już Królewskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt (RSPCA): postanowiło upomnieć się o zwierzęta niecieszące się zwykle popularnością i w pewien sposób nierozumiane. „Szczury były szkolone do wykrywania chorób i lokalizowania min lądowych, a gołębie odegrały kluczową rolę podczas obu wojen światowych, przenosząc wiadomości, i uważamy, że warto to uczcić" – mówił w mediach Geoff Edmond z RSPCA.

Organizacja przygotowała nawet cztery projekty banknotów z wizerunkami szczura i gołębia, a także lisa i mewy. Wspomniała też o borsuku. Edmond przyznał, że to trochę dla żartu, choć jednocześnie całkiem serio podkreślił: „Wszystkie one są fascynującymi dzikimi zwierzętami i zasługują na uznanie".

OKAZJA DO ROZMOWY | „Dzika przyroda Wielkiej Brytanii nie jest oderwana od naszej kultury. Jest obecna w godłach klubów piłkarskich, naszym folklorze, na naszych wybrzeżach i w naszym dzieciństwie. Umieszczenie jej na czymś tak symbolicznym jak nasza waluta wydaje się zarówno spóźnione, jak i znaczące" – tak z kolei uważa Nadeem Perera, dziennikarz i autor programów przyrodniczych.

„Natura to coś więcej niż sceneria, to żywa nić wiążąca nasze krajobrazy, historię i przyszłość" – mówi natomiast szkocki przyrodnik i filmowiec Gordon Buchanan.



Banknot dziesięciofuntowy z Jane Austen

Obaj należą do zespołu ekspertów, którzy sporządzą dla Banku listę dzikich zwierząt – latem zostanie ona poddana kolejnym konsultacjom i to z niej Brytyjczycy będą mogli wybrać konkretne zwierzęta, które trafią na banknoty.

Geoff Edmond z RSPCA uważa, że te konsultacje będą „doskonałą okazją do dyskusji o przyrodzie, do zmiany postrzegania pewnych gatunków".

Na spokojnej rozmowie mógłby skorzystać także borsuk. To jeden z symboli angielskiej wsi, lubiany bohater książki „O czym szumią wierzby". A także największy brytyjski drapieżnik i zwierzę w Wielkiej Brytanii oficjalnie chronione.

Z drugiej strony – tysiące borsuków są zabijane w majestacie prawa w ramach kontroli rozprzestrzeniania się gruźlicy bydła, którą mają przenosić. W ciągu ostatnich 10 lat zabito 200 tys. borsuków. „Kwestia borsucza" od lat budzi skrajne emocje i mocno dzieli wiejskie społeczności, farmerów i miłośników zwierząt.

MAKRELE I PAPUGI | Podczas gdy Anglicy muszą się oswoić z myślą, że Churchilla zastąpi borsuk (albo lis czy gołąb?), na północy, w Szkocji, zwierzęta na banknotach królują już od lat. Przynajmniej tych emitowanych przez Królewski Bank Szkocji, bo prawo do emisji banknotów mają też dwa inne banki.

Szkockie szlaki przetarły tu w 2016 r. makrele, a za nimi podążyły wydry, rude wiewiórki i rybołowy. Natomiast z drugiej strony banknotów umieszczono słynne szkockie kobiety: pisarkę Nan Shepherd, fizyczkę Mary Somerville, przedsiębiorczynię Catherine Cranston oraz pedagożkę Florę Stevenson.

Zwierzęta widnieją też na pięciodolarowym banknocie z Bermudów (ten archipelag na Atlantyku ma status brytyjskiego terytorium zależnego). Został on uznany przez International Bank Note Society (międzynarodową organizację edukacyjną) za „Banknot roku 2024". Na różowym tle umieszczono tutaj marlina błękitnego, delfiny, tuńczyka i motyle.

Obecnie o prestiżowy tytuł „Banknotu roku 2025" ubiegają się m.in. banknoty z konikiem morskim (200 guldenów z Curaçao), z papużką kulawai i żółwiem (pięć dolarów z Fidżi) czy z rybożerem afrykańskim i żyrafami (100 kwacha z Zambii). Fauna na środkach płatniczych nie jest więc w świecie czymś wyjątkowym.

SASHA LANTUKH / ADOBE STOCK

HISTORIA W LUSTRZE | Zanim nowe banknoty trafią do obiegu, minie kilka lat. To sporo czasu na dyskusje – i żartobliwe, i poważne. Bo debatę o banknotach można traktować też jako okazję, by zastanowić się, jak oceniamy dziś postaci z naszej historii. Przecież nie jest tak, że Churchill to bohater bez skazy. Z jednej strony prawdą jest, iż politycy wyjątkowo zgodnie oburzają się, że miałby zniknąć z banknotu, oraz że w rankingu najpopularniejszych postaci historii, tej widzianej oczami Brytyjczyków – prowadzi go agencja YouGov – plasuje się on wyżej od królowej Wiktorii i Jezusa (ale niżej od Marii Skłodowskiej-Curie!).

Zarazem jednak jego postać wywołuje też sprzeciw – przypomina się, że był przeciwnikiem uzyskiwania niepodległości przez brytyjskie kolonie (zwłaszcza Indie), że pogardliwie wypowiadał się o ludach podbitych Imperium Brytyjskiego. Nie jest przypadkiem, że jego pomnik w Londynie jest regularnie dewastowany – ostatnio w lutym br.

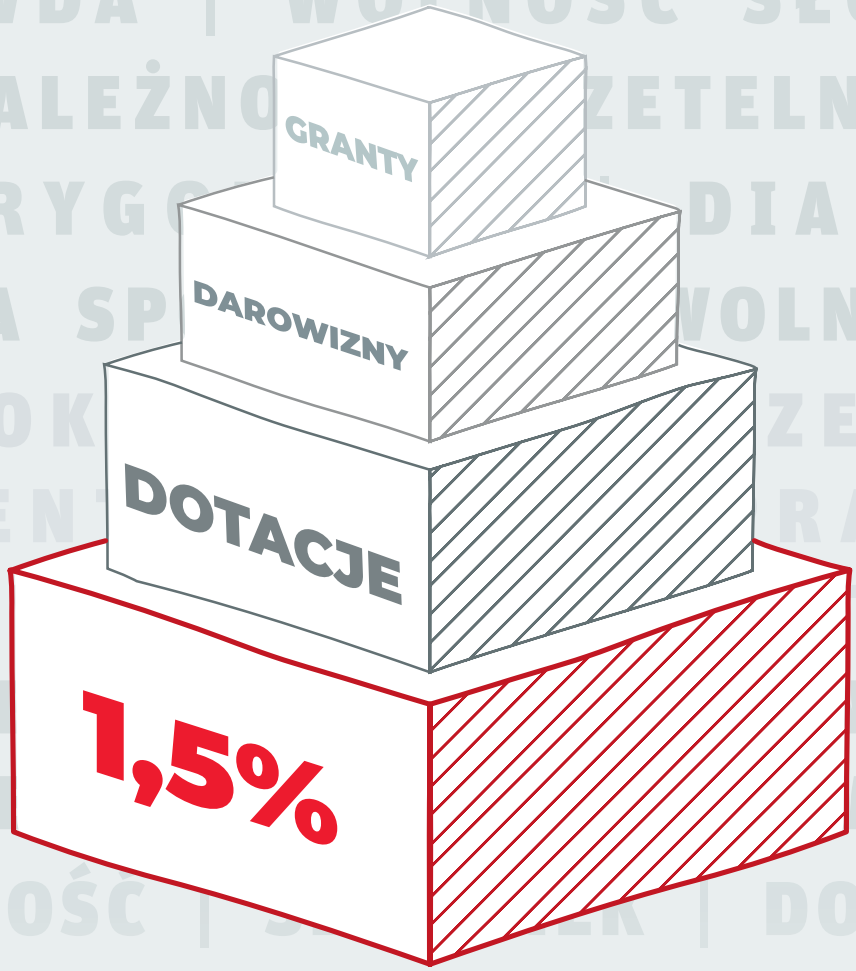
Koniec końców o tym, czy borsuk – jak niektórzy uważają, najbardziej prześladowane brytyjskie zwierzę – trafi na banknot, i czy zastąpi Churchilla, zdecydują eksperci i uczestnicy konsultacji.

Choć ostatnie słowo i tak należy do prezesa Banku Anglii. © PATRYCJA BUKALSKA

eprasa.pl df2b558170

Fundacja Tygodnika Powszechnego

» KRS 0000 125 605

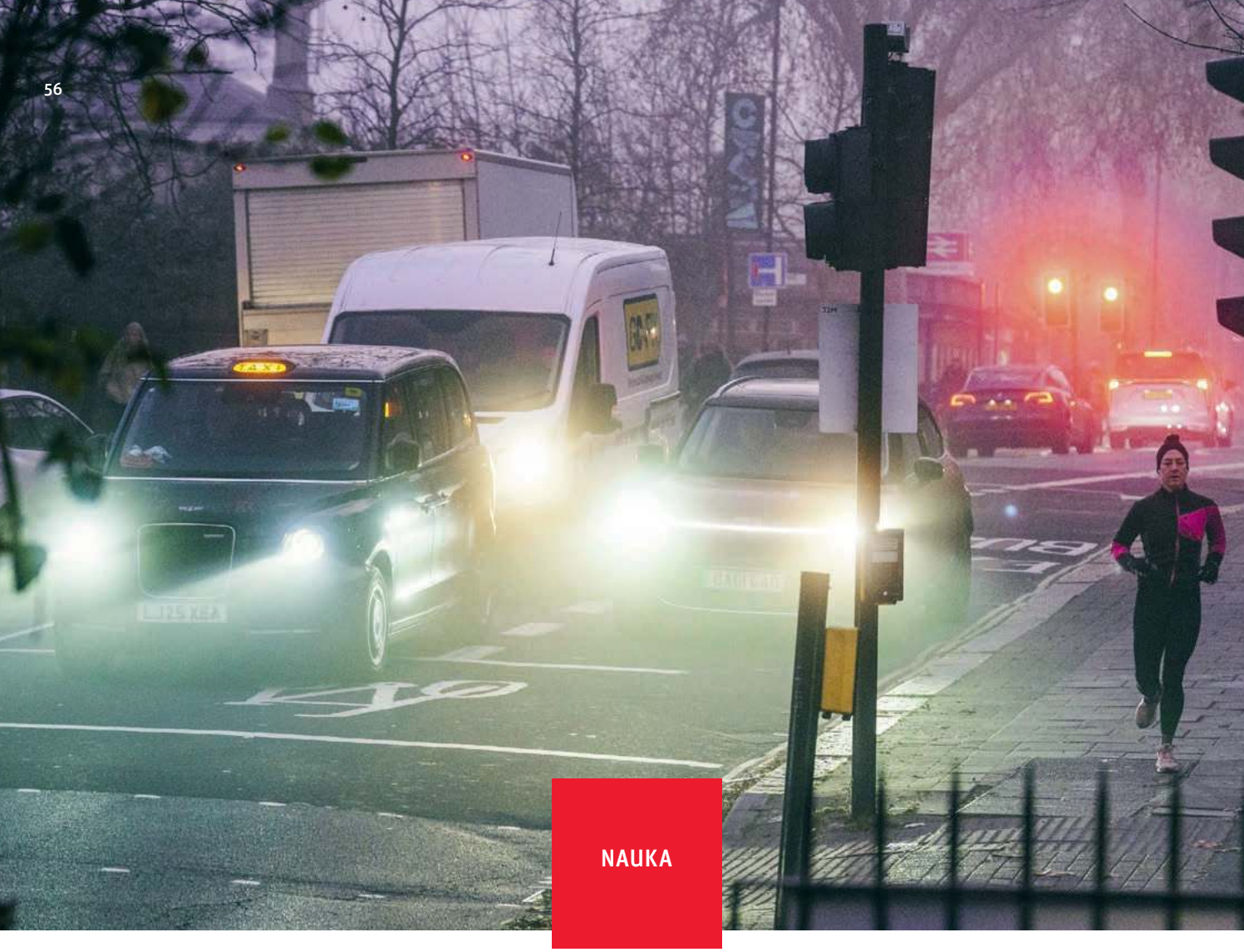


Każda podarowana przez Ciebie złotówka wzmacnia fundament naszej działalności. To, co możliwe, zależy od Twojego wsparcia.

Dowiedz się, skąd organizacje pożytku publicznego pozyskują fundusze na swoje działania.

OPP

eprasa.pl df2b558170



NAUKA

SOWY NIE SĄ TYM, CZYM SIĘ WYDAJĄ

MACIEJ STOLARSKI, PSYCHOLOG:

Mamy bardzo silne przekonania na temat chronotypów. Osoby wieczorne uważamy za mniej zdolne, mniej sprawne, mniej pracowite, a nawet mniej moralne.

MARIA HAWRANEK: Czym zajmuje się chronopsychologia?

MACIEJ STOLARSKI: Badaniem podłoża i skutków różnic w preferencjach okołodobowych i w rytmach biologicznych, które mają duże znaczenie m.in. dla zdrowia psychicznego, podatności na depresję czy uzależnienia. Dzięki tym badaniom wiemy, że poranność-wieczorność ma wymiar ciągły, podobnie jak ekstrawersja-introwersja albo inteligencja. Zwykle myślimy o sobie, że jesteśmy albo „skowronkiem", albo „sową", ale to uproszczenie. Większość populacji nie ma wyraźnie zarysowanego chronotypu. Do tej pory określano takie osoby „typem pośrednim", my zaproponowaliśmy nazwę „zięby".

Dlaczego?

Christoph Randler z Uniwersytetu w Tybindze, chronobiolog i ornitolog, uważa, że zięby najbardziej tu pasują. Nie są ptakami porannymi ani nie wykazują

eprasa.pl df2b558170



RICHARD BAKER / IN PICTURES / GETTY IMAGES

Nasz chronotyp określa to, kiedy w ciągu doby osiągamy szczyt fizycznego i intelektualnego funkcjonowania. Zależy on od wielu czynników – w tym wrodzonych. Londyn, 17 grudnia 2025 r.

specjalnej aktywności wieczorem czy nocą. Funkcjonują gdzieś pośrodku, jak większa część ludzkiej populacji,

Większa, czyli 60 proc. czy 90 proc.?

Są dwa podejścia do badań nad chronotypem. W tym tradycyjnym psychiatrzy i psychologowie używają całego spektrum narzędzi pomiarowych – od pomiaru rytmów temperatury głębokiej ciała, przez tzw. aktygrafy, urządzenia przypominające zegarek na rękę, obiektywnie mierzące pory zasypiania i budzenia się, aż po kwestionariusze mierzące preferencje okołodobowe. Pyta się w nich, w jakich godzinach kładziesz się i wstajesz w dni wolne, o której czujesz się gotowa do podejmowania intensywnej aktywności. Odpowiedzi pozwalają obliczyć nasilenie poranności-wieczorności. Niezależnie od sposobu pomiaru podział na kategorie jest jednak arbitralny, bo nie ma twardych kryteriów, gdzie „kończy się" „skowronek", a gdzie „zaczyna" „sowa". W literaturze czasem przyjmuje się, że po ok. 10 proc. ludzi najbardziej wychylonych ku poranności i wieczorności w rzeczywistości reprezentuje te dwa skrajne chronotypy.

A to drugie podejście?

Ma charakter wielowymiarowy. Zmarła w ubiegłym roku profesorka Uniwersytetu Jagiellońskiego Halszka Kontrymowicz-Ogińska zwróciła uwagę, że ludzie różnią się nie tylko preferencją poranności i wieczorności, ale też stopniem, w jaki doświadczają zmienności samopoczucia i zdolności poznawczych na przestrzeni doby. Nazwała to amplitudą albo wyrazistością rytmów okołodobowych.

Okazuje się, że poszczególne osoby niezależnie od preferencji okołodobowych mogą w różnym stopniu odczuwać tę zmienność. Jedni doświadczają odczuwalnych zmian w samopoczuciu i sprawności fizycznej czy umysłowej na przestrzeni doby, podczas gdy u innych tego rodzaju wahania – i to często pomimo niestandardowych pór budzenia się i zasypiania – są ledwie odczuwalne.

Wprowadzenie idei wyrazistości rytmów dobowych przyniosło istotną zmianę w badaniach nad chronotypem. Wspomniany Christoph Randler na bazie odkryć Kontrymowicz-Ogińskiej stworzył nowe narzędzie – Morningness-Eveningness Stability Scale – które ma trzy wymiary zamiast jednego: osobno mierzone poranność i wieczorność, oraz właśnie wyrazistość rytmu. Joanna Gorgol-Waleriańczyk zaadaptowała je do warunków polskich i, bazując na danych z prób polskich i niemieckich, zaproponowaliśmy nowe podejście do „chronotypowania" oparte na identyfikacji najczęściej występujących w populacji profili.

Udało nam się wyłonić cztery podstawowe typy: „sowy", u których wyrazistość jest zwykle wysoka, „zięby" – czyli osoby, które czują się umiarkowanie przez cały dzień i rozpoczynają/kończą aktywność o standardowych porach, oraz dwie grupy „skowronków", u których zaobserwowaliśmy najciekawszą rzecz.

Jaką?

Do tej pory uważano, że „skowronki" są ogólnie bardzo dobrze zaadaptowane, zwykle funkcjonują wysoko pod względem zdrowia psychicznego i poziomu dobrostanu. Z kolei wieczorność wiązano z depresyjnością i podatnością na uzależnienia. Oczywiście wskazywano na różne mechanizmy. Wieczorny chronotyp niekoniecznie zwiększa podatność np. na zaburzenia lękowe. Może być odwrotnie: doświadczamy zaburzeń lękowych i nie możemy zasnąć, w efekcie nasz rytm okołodobowy się przesuwa, a rano czujemy się gorzej. Jednak dość powszechnie przyjmowano nieadaptacyjny obraz wieczorności.

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Takie przysłowia funkcjonują w wielu językach. Mamy rozpowszechnione kulturowo przekonanie, że poranne wstawanie to klucz do sukcesu. Okazuje się jednak, że „skowronki" występują w dwóch typach. Jeden rzeczywiście od rana funkcjonuje świetnie, a w ciągu dnia utrzymuje duże zasoby i wieczorem też ma się dobrze. Te osoby cechuje emocjonalna stabilność i wysoki poziom samooceny.

Ale jest też niemała grupa „skowronków", które wstają rano całkiem w dobrej formie, ale czują się fatalnie wieczorem, czyli odczuwają dużą zmienność na przestrzeni doby, a ich poziom dobrostanu jest o wiele niższy – przypominają więc pod pewnym względem osoby wieczorne. Nazwaliśmy je „skowronkami wrażliwymi".

Co różni jedne „skowronki" od drugich?

Te różnice wiążą się prawdopodobnie z osobowością i temperamentem. Dobrze przystosowane „skowronki" to osoby, które są niskoreaktywne, czyli mają duże możliwości przetwarzania stymulacji. Natomiast jeśli te możliwości mają niskie, to energia szybko im się wyczerpuje i po południu brakuje im zasobów. Zatem nie sama poranność, a różnice temperamentne bardziej decydują o tym, jak postrzegamy osoby poranne i wieczorne.

Dlaczego osoby wieczorne postrzegamy jako gorzej funkcjonujące? To wynika ze sposobu, w jaki zorganizowane jest nasze kapitalistyczne społeczeństwo?

Zdecydowanie. Bardzo popularne wyjaśnienie odwołuje się do mechanizmu ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ tzw. społecznego jet-lagu. Jeśli jesteśmy w rytmie okołodobowym, który jest przesunięty ku wieczorności, a zegar społeczny w wielu kulturach świata jest ustawiony porannie – szkoła, praca zaczyna się wcześnie – to osoba wieczorna ma kłopot z funkcjonowaniem w tygodniu, a w weekendy z reguły to odsypia.

Badania nad rytmem dobowym zostały najbardziej docenione w 2017 r., gdy odkrywcom molekularnych mechanizmów rządzących tym zjawiskiem przyznano medycznego Nobla. Jak te mechanizmy działają?

Pierwszy jest dość skomplikowany, opiera się na sprzężeniu zwrotnym występującym między dwoma białkami produkowanymi w jądrze nadskrzyżowaniowym w mózgu. Nagromadzenie się tych białek decyduje o tym, czy jesteśmy gotowi do aktywności, czy robimy się senni. Ten system pojawił się dawno temu – genetyczno-białkową regulację zegara biologicznego dzielimy nawet z bezkręgowcami.

Drugi mechanizm odpowiada za dostrajanie naszego wewnętrznego zegara do warunków zewnętrznych i jest sterowany głównie przez produkcję melatoniny w naszym ciele. Jej poziom zależy od ekspozycji na zewnętrzne synchronizatory, przede wszystkim światło. Jeżeli dociera do naszych oczu – niezależnie od tego, czy mamy je zamknięte, czy nie – produkcja melatoniny hamuje i się wybudzamy, a jak robi się ciemno – przyspiesza, a my robimy się senni.

Długość naszej „wewnętrznej doby", czyli tempo działania mechanizmów fizjologicznych regulujących aktywność, różni się między ludźmi. Gdyby zamknąć nas w izolowanym, ciemnym pomieszczeniu, bez jakichkolwiek zewnętrznych synchronizatorów czasu, okazałoby się, że rytm każdego z nas się stabilizuje wokół nieco innej długości cyklu. Tego rodzaju badania prowadzono m.in. w USA, w laboratoriach umieszczonych w jaskiniach. U osób wieczornych doba biologiczna jest zwykle nieco dłuższa niż 24 godziny. Doświadczany przez nie jet-lag ma więc podłoże biologiczne, a nie wyłącznie społeczne.

Jeśli moja biologiczna doba ma 25 albo 26 godzin, to w rzeczywistości jestem w wiecznym niedoczasie?

Tak, w związku z tym dla tych osób wskazówka: „kładź się wcześniej, to wstaniesz wcześniej" to żadna recepta. Oczywiście społeczne wymogi funkcjonowania tylko społeczny jet-lag potęgują. Osoby mocno wieczorne szukają prostych sposobów, by jakoś sobie poradzić z tym, że nie są gotowe do funkcjonowania – piją więcej kawy, napojów energetycznych, jedzą więcej słodyczy, bo one krótkotrwale nas pobudzają, ale powodują, że znowu i znowu trzeba po nie sięgnąć. To dlatego z wieczornością wiąże się większa podatność na otyłość, palenie papierosów czy używanie alkoholu – substancji łagodzących stres związany z niższym funkcjonowaniem.

Gorszy nastrój i chroniczne zmęczenie sprawiają, że sowy np. łatwiej wybuchają gniewem. To wszystko są proste, ale nieadaptacyjne sposoby regulowania stresu, które wrzucają „sowy" w błędne koło – zaczynają być postrzegane negatywnie przez otoczenie. Rodzice czy nauczyciele mówią: ale jesteś leniwy, ziewasz na lekcji, jesteś niezmotywowany, nic cię nie interesuje. To nieprawda – często to po prostu dług snu.

Nawet jeśli „sowa" zmusi się do położenia spać o północy, zamiast o pierwszej w nocy, i uda się jej zasnąć, to i tak do rana zostaje jej 6 godzin snu, czyli zdecydowanie mniej, niż zalecają lekarze.

To co mają robić te biedne „sowy", by nie dopingować się kawą i nie znieczulać alkoholem?

Wprowadzanie zmian do chronotypu jest możliwe, ale trudne. U osób ze zdiagnozowanymi zaburzeniami – np. zespołem opóźnionej fazy snu, który sprawia, że ktoś kładzie się spać o świcie, w efekcie przesypia większą część słonecznego dnia, ma niższe poziomy witaminy D i odczuwa szereg innych konsekwencji – terapia nie polega na przesuwaniu ku poranności, ale na „przeskoczeniu" doby. Zaleca im się, by nie kładły się spać o 5 rano, tylko o 8 rano, po jakimś czasie o godz. 10, 14, a w końcu o 22. Zwykle przy wsparciu farmakoterapii.

Osoby bez zaburzeń, ale z preferencją wieczorną, mogą regulować ją melatoniną medyczną. Sam jestem zwolennikiem podążania za chronotypem i nie zmieniania go na siłę, jeśli to tylko możliwe. Pracodawcy powinni uwzględniać rytmy okołodobowe pracowników – uzyskają ich większą satysfakcję, zaangażowanie, a także produktywność i skuteczność.

Nasze preferencje okołodobowe są bardziej uwarunkowane genetycznie czy kulturowo?

I tak, i tak. Przy klasycznych, jednowymiarowych pomiarach wskazywano, że czynniki genetyczne wyjaśniają ok. 40-50 proc. zmienności chronotypu w populacji.

Należy jednak pamiętać, że nie cała zmienność biologiczna jest zdeterminowana genetycznie – mogą na nią wpływać np. utrwalone nawyki, dieta czy wczesne wpływy środowiskowe, nad którymi nie mamy kontroli. Np. osoby urodzone w miesiącach, w których dzień jest dłuższy i mają one w związku z tym większą ekspozycję na światło, stają się bardziej wieczorne, a te, które rodzą się w ciemniejszych miesiącach, są bardziej poranne.

A dieta?

Nie ma na ten temat systematycznych badań, ale w w stabilizacji rytmu w kierunku porannym pomocne mogą okazać się wysokobiałkowe posiłki, zwłaszcza śniadania. Białko sprawia, że nawet jeśli wstanę przed naturalną porą mojego wybudzenia, to mogę osiągnąć ogólnie większą efektywność funkcjonowania poznawczego i emocjonalnego. Dieta bogata w węglowodany powoduje szybkie wzrosty energii, po których następują wyraźne spadki, sprawiające, że zmęczenie i niewyspanie stają się bardziej odczuwalne.

Wiemy też na pewno – również z naszych badań – że aktywność fizyczna niedługo po obudzeniu znosi wiele różnic samopoczucia i funkcjonowania u osób o różnych preferencjach okołodobowych.

Jakie badania przeprowadziliście?

Wśród osób uprawiających crossfit. Mierzyliśmy u nich rano i wieczorem nastrój przed treningiem i po nim. W przypadku wieczornych treningów, pozytywne efekty – zmniejszenie napięcia, wzrost energii i zadowolenia – był zbliżony niezależnie od chronotypu. Natomiast najciekawsze efekty zaobserwowaliśmy dla treningów porannych – wówczas udział w treningu niwelował praktycznie do zera początkowo drastyczne różnice między osobami o bardziej wieczornym chronotypie. Choć „skowronki" również czuły się nieco lepiej po treningu, to emocjonalny zysk osób

eprasa.pl df2b558170

bardziej wieczornych był nieporównywalnie większy.

Tylko jak bardziej wieczorna osoba ma się zmotywować do wstania rano?

To jest poważny problem, podobnie jak u osób z depresją. Już z wielu badań jasno wynika, że regularna aktywność fizyczna jest niezwykle efektywna w trwałej redukcji jej objawów. Jednak osobom w depresji niezwykle trudno odnaleźć motywację do ćwiczeń.

Przeprowadziliśmy niedawno badanie, w którym analizowaliśmy, jak na osoby o różnych preferencjach okołodobowych działa inna powszechnie stosowana praktyka w psychologii pozytywnej, czyli ćwiczenie wdzięczności.

Osoby badane miały pomyśleć o pięciu dobrych rzeczach, które je spotkały w ostatnich dniach, i wybrać najważniejszą, a potem ją sobie przypomnieć i krótko opisać. Takie interwencje przeprowadzaliśmy rano i wieczorem. Gdy zadanie to było wykonywane o poranku, różnica w nasileniu negatywnych emocji pomiędzy „skowronkami" i „sowami" ulegała znacznemu zmniejszeniu, co sugeruje pozytywną rolę wdzięczności w kompensowaniu niepożądanych skutków wieczorności.

Jak aktywność okołodobowa ma się do indywidualnej potrzeby godzin snu? Pod tym względem również się różnimy.

Potrzeba snu także jest związana z temperamentem – osoby o dużych możliwościach przetwarzania stymulacji mają mniejszą potrzebę snu. To osoby wyposażone w taki układ nerwowy, który szybko się regeneruje, jest sprężysty, żwawy, szybko przechodzi od jednego stanu do drugiego. „Sowy" posiadające te cechy temperamentu w wysokim nasileniu w mniejszym stopniu doświadczają niekorzystnych konsekwencji swojego chronotypu.

Coś jeszcze im pomaga?

Uważność rozumiana jako cecha osobowości, pewnie dlatego, że przekłada się na mniejszą depresyjność i większy dobrostan. Co ciekawe – także religijność. Religijne „sowy" są mniej depresyjne i lękowe niż niereligijne. Istotne jest także poczucie przynależności społecznej, co zresztą zwykle wiąże się z religijnością.



MATERIAŁY PRASOWE

PROF. MACIEJ STOLARSKI jest psychologiem, wykładowcą Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się m.in. badaniami nad mentalnymi podróżami w czasie, chronotypem, inteligencją emocjonalną oraz psychologią sportu i aktywności fizycznej. W 2025 r. otrzymał nagrodę Narodowego Centrum Nauki przyznawaną młodym naukowcom.

Przeprowadziliśmy na ten temat badania, które spotkały się ze sporym zainteresowaniem medialnym. Okazało się, że „sowy" mają poczucie, iż doświadczają o wiele mniej wsparcia społecznego niż osoby o innym chronotypie. Zastanowiło nas, że „sowy", które osiągają szczyt formy w godzinach popołudniowych, związanych zwykle z funkcjonowaniem towarzyskim, doświadczają go mniej niż „skowronki". I to od wszystkich: rodziny, przyjaciół. To przekładało się na ich niższy dobrostan.

Wyniki te doprowadziły nas to postawienia pytania o stereotypizację i stygmatyzację społeczną osób wieczornych. Dziś wiemy już, że tego rodzaju efekty występują zarówno w Polsce, jak i w USA, szczególnie w obszarze kompetencji i sumienności. „Sowy" są uznawane za mniej sprawne, zdolne, pracowite i użyteczne – za niekompetentne i trochę leniwe. W wymiarze ciepła, czyli budzenia sympatii i bycia lubianym, efekt ten, choć wciąż obecny, jest wyraźnie słabszy.

A może „sowy" lubią „sowy", a „skowronki" – „skowronki"?

Rzeczywiście zaobserwowaliśmy pewną tendencyjność – „skowronki" faworyzowały „skowronki" w największym stopniu, a „sowy" postrzegały inne „sowy" jako bardziej ciepłe niż „skowronki", ale już wcale niekoniecznie jako bardziej kompetentne. Generalnie wszyscy faworyzowali „skowronki", co znaczy, że jest to społecznie podzielany stereotyp, obecny również na poziomie utajonym, niedeklaratywnym. Osoby wieczorne również same siebie stereotypizują – mają niższe wyniki w obszarze poczucia własnej kompetencji i lubienia siebie. W dużej mierze, obok niewyspania, to właśnie negatywny obraz własnego „ja" wyjaśnia ich niższy poziom dobrostanu, większą depresyjność i poczucie lęku.

Najbardziej zaskakujące jest dla mnie to, że wiążemy chronotyp również z wymiarem moralności.

Co ma moralność do rytmów dobowych?

No właśnie! Przedstawiliśmy osobom badanym opis Anny, która jest lubiana przez znajomych w pracy, pracowita, świetnie piecze, czym zachwyca swojego męża, itd. W jednej wersji opisu dodaliśmy informację, że Anna lubi wstawać rano, robi poranne spacery z psem, wtedy planuje ważne aktywności. W innej – że lubi ważne prace wykonywać wieczorem i chętnie ogląda zachody słońca. W trzeciej grupie był w tym miejscu wpleciony neutralny element.

Na końcu opisu pojawiła się informacja, że myśli Anny w ostatnim czasie zajmuje kolega z pracy, z którym właśnie umówiła się na kawę. Badani mieli ocenić, na ile Anna jest osobą moralną i lojalną. Okazało się, że zainteresowanie kolegą z pracy i potencjalna nielojalność względem męża jest oceniana jako bardziej niemoralna wtedy, kiedy Anna lubi spacerować wieczorem. To pokazuje, jak głęboko jest w nas zakorzeniony negatywny sentyment do osób wieczornych.

Domyślam się, że zaczynamy się interesować tym, jaki sami mamy chronotyp, w momencie, gdy pojawiają się kłopoty w funkcjonowaniu?

Nie znam badań na ten temat, ale sądzę, że tak. Pewnie ze względu na poczucie stygmatyzacji, niesprawiedliwości społecznej i konsekwencje zdrowotne częściej interesują się tym „sowy". Ale preferencje okołodobowe to coś, co warto o sobie wiedzieć tak po prostu. Możemy dzięki temu świadomie wybierać godziny, w których zaplanujemy ważne dla nas spotkania czy wyzwania, lub poszukiwać stanowisk, na których nasz chronotyp będzie zasobem, a nie przeszkodą.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

eprasa.pl df2b558170

ELIZA

Kącka: *Krótka kołdra*



Tramwaj 16, dosiadam się do starszej pani okutanej wielkim szalem w róże. Szal jak z obicia starej kanapy, gdzie bordowe i kremowe pąki tak są sute, że rozsadzają welur. Nadpłatkowość, ciężar, a wszystko jeszcze przeszyte na złoto. Przygląda mi się. Po chwili: „Pani Marianna?". Uśmiecham się: „Nie". „Psiakość!". Przy Hożej zaczepia znów: „Cholera, rzadko się mylę, to mnie pani urządziła". „W sensie?". „No, zawsze trafiam z imieniem. Ja wyczuwam energię imienia. Pani jest Marianna i już". „Haha, no to się moja matka pomyliła". „No na to wychodzi". „A ja bardzo lubię imię Marianna". „O! Widzi pani! A ma pani drugie?". „Maria". Eeee, Marią to już pani kompletnie nie jest. Błąd na błędzie". „Cóż. Pożyję jeszcze jako błąd". „Nienie, bez przesady, ale mam dla pani radę: jak się Elizie zrobi źle i smutno, to niech sobie wyobrazi, że robi różne rzeczy jako Marianna. I wie pani co: to wyjdzie". „A dobrze". „Bo mnie dali Halina. Nienawidzę tego imienia. Bo tak naprawdę mam na imię Konstancja. I jak umierał mój kotek, to powiedziałam: »Konstancjo«, ratuj go. I uratowałam. Przedłużyłam mu życie o trzy lata!". „No, to powiedziałabym, żeśmy się nieco spóźniły z tą rozmową". „Odszedł pani kot?". „Nie, ojciec". „No tak... Mój ojciec bardzo wcześnie zmarł, żyłam tylko ze zgorzkniałą matką. Gdy odchodził, żegnał Halinkę. Kto wie, co by było, gdybym była Kostką". Milczymy. „Dobra, pani Marianno, zagadaj czasem do taty. Może i on miał inaczej na imię?". Wysiadła przy Królewskiej.

Warzywnik, Filtry, Ochota. Spotykam jedną z pielęgniarek, która zaopatrywała mojego tatę tuż przed jego ostatnią trasą. Trasą na Lindleya. Uśmiecha się serdecznie: „O, to pani dzwoniła, nie? Wzywała do taty". „Tak". „Pożartowało się. Jak tam nasz pacjent?". „Nie żyje". „Ojej" – i zaczyna płakać. A za nią sprzedawczyni, płaczą obie. Pielęgniarka: „Ja się tego w zawodzie boję zawsze. Że się nie da pomóc". „Ależ pomogła pani" – odpowiadam. „Może. Chciałam być lekarką, ale mi punktów zabrakło. No to zostałam pielęgniarką, żeby chociaż tak... Wiadomo, każdy odchodzi. Ale ja się nie zgadzam, tak po ludzku". „Ototo" – sprzedawczyni. „Ludzie gadają o powołaniu. Że to i tamto. Że za dużo zarabiamy, bo to powołanie. A ja myślę, że lekarze z powołania to są ci, co się nie zgadzają. Na śmierć". „Uhm". „I ja się nie zgadzam na śmierć pani ojca". Uściskała mnie, poszła.

Cmentarz komunalny w Lidzbarku Warmińskim. Siadam przy grobie przyjaciół. Kilka ławek dalej rozmowa: „Mówię ci, orżnął mnie na kamieniu". „Jak? Kto?". „Kamieniarz, a kto. Taki ładny wybrałam, brązowo-siwy, w taki rzucik. Widzisz tu coś takiego?". „No, kasztan". „A! Właśnie! Kasa poszła, efekt płaski". „Trzeba było zamawiać na miejscu". „Ależ byłam tam, pokazałam palcem. A ten mi teraz mówi, że to jest to, tylko że kamień zmienny jest. Brednia, to ten tańszy". „Żądaj wymiany". „Podobno z nimi się nie zadziera". „Usługa jak usługa". „Nie, mogą nagrobek zniszczyć za skargę". „Co?! Ja bym się nie poddała". „A ja nie chcę kłopotu. Nie chcę się bać, że nocą przyjdą i rozwalą. Tylko mi przykro, wiesz, chciałam, żeby on leżał pod tym pięknym kamieniem". „Wiem". „To jest jak kołdra, rozumiesz, na wieczność. Wykosztowałam się, zapłaciłam, a teraz widzę, że mnie orżnęli i dali za krótką. I będzie mu niewygodnie. Nie tak chciałam". „Wiem".

Autobus 116, dziewczyny w wieku wczesnolicealnym. „Ona go nie przepuści". „Rel". „Ale głupio nie zdać przez wuef". „Eee, mój facet powtarza przez to". „No dobra, co robimy?". „Czego nie zdał?". „Skoku przez kozła". „Ał, nigdy nie skoczyłam przez kozła". „Chłopacy muszą". „On nie może?". „Nie wychodzi. Sorry, odbija się i spada". „Może z tą babką pogadać, żeby dała spokój". „Powiedzieć, że jest głupia i się kompromituje, i nam podpadnie?". „Już to wie, Anka jej milion razy zapodała, że nie będzie miała życia". „To docisnąć". „?". „Że jej nie akceptujemy". „Ona się czuje spoko czy zagrożona?". „Chyba spoko". „Niech się czuje zagrożona". „Ma etat, dyro jej nie wywali". „Co z tego. Ma wiedzieć, że my jej nie chcemy". „Ok". „Ma się czuć bardzo źle". „Ok, ale dzięki temu mu zaliczy?". „Może. Ale ogólnie, nie wydaje się wam, że oni się wszyscy powinni poczuć źle, tak bardzo źle, że powinni się zacząć bać?". „Nie, przesadzasz, Julka, to nie jest fair". „Nieee, Jula dobrze wyczuwa. Ta pani ma z nami wojnę, bo nie chce przepuścić bracha. I ona ma odczuć pogardę". „Rel". Wyszli. Starsza: „Słyszała to pani? Jest mi strasznie smutno". „Mnie też". „Nigdy w życiu nikogo nie oblałam. Ale skąd ta potrzeba przemocy? Lęk?". „Nie wiem". „Biedne, biedne dzieci".

Poznańskie Targi Książki, siadam sobie przy skwerku z kawą, wyciągam kanapkę. Dosiada się pani z dwiema siatami książek: „Smacznego tak w ogóle. Ma pani długopis?". „Aha". „To da pani. Stałam trzy godziny w kolejce. Potem cztery w drugiej. Dla córki, wie pani". „No domyślam się". „Jang adulty. Ale no wprost powiem, nie mam siły. Jak będzie znów kolejka na kilka godzin, to skopiuję jej wpis tej babki". „A córka nie mogła przyjść?". „Nie, ona jest jakby pisarką". „Aaa". „Wie pani, haha, no nie to, co my". „No, wiadomo". „Ona teraz pisze, a ja jej autografy łowię. Ale już nie mogę, nic od rana nie jadłam". „Chce pani kanapkę?". „Czemu nie". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

eprasa.pl df2b558170

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”



fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem. I o nią głównie staramy się dbać. Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy za publikowane tu treści i nikt poza Wami, Czytelnikami, nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki

Dziękujemy, że są Państwo z nami i wspierają pismo, które odpowiada na pytania, których próżno szukać w głównym nurcie medialnym – co tydzień oferuje więcej niż wiadomości, tworzy przestrzeń do namysłu, stawia na prawdę, rzetelność i dialog, traktuje kulturę poważnie i pomaga zrozumieć złożoność świata bez pogoni za sensacją.

Tylko do **końca marca**, kupując lub przedłużając prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”, otrzymujesz:

- **Rabat** – nawet **4 zł TANIEJ** za numer niż w kiosku

OFERTA CENOWA

InPost	Roczna	~~cena 686 zł~~ **nowa cena 616 zł** z kodem: **10mar26** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 366 zł~~ **nowa cena 346 zł** z kodem: **5mar26** --> **5% zniżki**
Odbiór w Żabce	Roczna	~~cena 688 zł~~ **nowa cena 618 zł** z kodem: **10mar26z** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 368 zł~~ **nowa cena 348 zł** z kodem: **5mar26z** --> **5% zniżki**

Zamówienie prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost oraz z odbiorem w Żabce można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	~~cena 687 zł~~ **nowa cena 617 zł** z kodem: **10mar26p** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 367 zł~~ **nowa cena 347 zł** z kodem: **5mar26p** --> **5% zniżki**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00), adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Razem tworzymy „Tygodnik”

eprasa.pl df2b558170

ROZMOWA

COŚ ODWIECZNEGO



HANNA KRALL, REPORTERKA:

Z pamięcią jest tak, że musi nastąpić czas jej powrotu. Pamięć schowana przez lata, czasami przez całe życie, zaczyna się dopominać.

ANNA GOC: „Jaka jest sytuacja?" – pyta Ojczenasz, Pani Rozmówca, w najnowszej książce. Dlaczego pyta i dlaczego Panią właśnie?

HANNA KRALL: Wie, że jestem rzetelną reporterką. Nie ściemniam, nie zmyślam, nie haftuję. Opowiadam, jak jest. Więc pyta.

Więc nie wie, jak jest?

On może wszystko, mógłby też wiedzieć, gdyby chciał. Widocznie nie chce, skoro wybiera niewiedzę. Pyta jednak, widocznie jest ciekaw, co mu tu z tego wszystkiego wyniknęło. Może czeka, co będzie dalej?

A gdyby wiedział?

Gdyby wiedział, znałby wszystkie zakończenia. Byłoby nudno. Byłby takim własnym spoilerem. Może dlatego woli nie wiedzieć.

Pani wie?

Kieślowski mówił, że jest od tego, żeby nie wiedzieć. Ja jestem od tego, żeby się dowiadywać. Lubię rozmawiać z tym, który mnie zaszczyca pytaniem. Mówię mu – to o Zośce, która nie chciała za męża Bohatera Narodowego, to o Isabel, spalonej na stosie.

I co Ojczenasz na to?

Co robi z wiedzą? Nie mam pojęcia. Staram się nie być wścibska.

Gdy pyta „i jak?", mówię mu, że należy przygotować radio na baterie, latarkę, wodę i jedzenie na siedemdziesiąt dwie godziny. „A co w siedemdziesiątej trzeciej?" – pyta. A w siedemdziesiątej czwartej, a w piątej?

Więc może go to wszystko trochę śmieszy?

Może nie potrafi pytać o wojnę.

Tak pani myśli?

Moje pokolenie, które nie przeżyło wojny, chyba nie potrafi. Nie można zrozumieć wojny...

...której się nie przeżyło? Nie, moim zdaniem nie można. Nie da się zrozumieć ani dobra, ani zła – tego wielkiego Dobra i tego koszmarnego Zła – jeśli się nie przeżyło wojny. I wielkiego strachu nie da się zrozumieć. I wielkiej odwagi.

Rozumie pani odwagę Marii, mojej Sprawiedliwej? Sama Maria, kiedy się zestarzała, nie rozumiała siebie, tej wojennej. Jaka ja byłam odważna, mówiła mi, dzisiaj już bym taka nie była. Byłaby pani, mówiłam, chociaż żadna z nas nie wiedziała, co byłoby dzisiaj.

Zadzwoniła kiedyś, że muszę do niej natychmiast przyjechać. Pojechałam. Okazało się, że znajoma Marii, która pomaga jej w pracach krawieckich i z którą zna się od zawsze, powiedziała, że przez całe życie była w porządku. I to Marię oburzyło. Była w porządku? A po dziewczynkę poszła?

Po jaką dziewczynkę?

Wiadomo jaką, taką z getta. Znajoma Marii tłumaczyła się, że przecież to było niebezpieczne. Gdybym ja myślała, pani Haniu, co jest niebezpieczne, mówiła Maria, to paru osób na świecie by nie było.

I jak o taką historię pytać?

Ja zapytałam, jak ta dziewczynka miała na imię. Maria nie pamiętała, próbowała sobie przypomnieć. Polcia? Tak, chyba Polcia. Przeżyła Polcia wojnę? – spytałam. Nie, nie przeżyła wojny. Nie pomyślałam wtedy o oburzeniu Marii, ani o strachu jej znajomej. Zobaczyłam Polcię, po którą nikt nie przyszedł. Zobaczyłam, jak stoi na ulicy i czeka.

eprasa.pl df2b558170



HANNA KRALL jest reporterką. Właśnie ukazała się jej nowa książka z rysunkami Zbigniewa Libery „Nie mówi się takich rzeczy”.

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Te dziewczynki – tak czytam Pani nową książkę „Nie mówi się takich rzeczy” – trafiają do Pani.

Zawsze są we dwie – jedna, która widziała i przeżyła wojnę, i druga, która na chwilę przed... wiadomo przed czym, popatrzyła, zdążyła popatrzeć. I ta pierwsza, która widziała, mogła mi opowiedzieć o tamtej.

Miałam kiedyś spotkanie autorskie w Katowicach, na Koszutce. Wstała starsza pani, chyba nauczycielka. W czasie wojny – opowiadała – miała osiem lat (wszystkie dziewczynki, które do mnie trafiają, miały wtedy osiem albo dziewięć lat). Stała na mostku i widziała dwie dziewczynki żydowskie, które biegały od drzwi do drzwi, stukały piąstkami i krzyczały: „gewałt”, „gewałt”. Żadne drzwi się nie otworzyły. Gdy dziewczynek już nie było, i nie było Żydów w miasteczku, otworzyły się wszystkie drzwi i ludzie zaczęli wynosić, wynosić, wynosić...

Proszę zadać pytanie, przerwała jej prowadząca. Nauczycielka nie była na pytanie przygotowana, zawahała się i zapytała: Jak pani uważa, czy to tylko my, Polacy, jesteśmy tacy straszni, czy człowiek jest taki?

Jak na takie pytanie odpowiedzieć?

Pytająca pospieszyła mi od razu z pomocą, że nie muszę odpowiadać, jeśli nie mam ochoty. Rzeczywiście nie miałam. Powiedziałam tylko, że być może człowiek taki jest, że lubi wynosić, wynosić, wynosić.

I wie pani co... Ja widzę te piąstki, które stukają w zamknięte drzwi. Ośmio-, może dziewięcioletnie piąstki.

Osiem lat miała też dziewczynka, którą prowadził żandarm.

Opowiedziała mi o niej pewna znana krytyczka literacka. Żandarm prowadził jej najlepszą przyjaciółkę, Marysię, na posterunek. Ona szła za nimi i myślała, co zaraz zrobi. „Panie Niemcu – powie – to jest moja najlepsza przyjaciółka, niech ją pan puści”. Myślała, że ich wyprzedzi, uklęknie przed żandarmem, obejmie jego zakurzone buty i będzie go błagała. I tak szła za nimi i szła. Aż tamci weszli na posterunek. Ale zanim zamknęły się za nimi drzwi, Marysia odwróciła się jeszcze i przez chwilę na siebie patrzyły.

Tak jak dziewczynka na werandzie i dziewczynka ze szkolnego boiska.

Zadzwonił do mnie rabin Michael Schudrich, do którego przyszła kobieta, ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ żeby zapytać, co można zrobić z taką dziewczynką, która jest i jest. W czasie wojny mieszkała w szkole i widziała, jak Niemiec przyprowadził na boisko żydowską rodzinę z dziewczynką i wszystkich zastrzelił. Chwilę wcześniej dziewczynka z boiska zauważyła ją, polską rówieśnicę. „Wiem, że ona na mnie patrzyła, i wiem, że ona wiedziała, że ja też na nią patrzę" – mówiła rabinowi.

Napisałam o boisku i werandzie. Podpisywałam potem książki na targach na stadionie. Podeszła do mnie niemłoda kobieta i powiedziała, że jest dziewczynką z werandy. Kolejka była spora, więc nachyliła się jeszcze i szepnęła, że urodziła się jej wnuczka, bardzo podobna do tamtej z boiska, takie warkocze ma i takie oczy. Ale tego nigdzie nie napisałam.

Dlaczego?

Uwierzyła pani w to?

Tak.

Ja też uwierzyłam. Ale czytelnik mógłby nie uwierzyć.

A powinien?

Czytelnik musi uwierzyć, że historia, którą opowiadam, jest prawdziwa. Kilka razy nie napisałam czegoś, w co czytelnik mógłby nie uwierzyć.

A to, że trafią do Pani te wszystkie dziewczynki?

Nawet ta, od której zaczęły się pogromy w Kordobie 16 marca 1473 roku. I ona miała osiem albo dziewięć lat, kiedy kowal prowadzący procesję zawołał, że figurę Matki Boskiej oblano wodą z siuśkami dziewczynki.

Kolejna, która się do mnie przyplątała. Z daleka, ze średniowiecznej Hiszpanii.

Chcą być pamiętane.

Chciałabym, żeby były pamiętane i żeby zostały w czytelnikach. Czy to jest możliwe, że w nich zostaną?

Czy się je ze sobą zabiera? Zabiera.

Po to o nich opowiadam. Ja się starzeję, ale te dziewczynki mają zawsze osiem lat.

Dlaczego trafiają do Pani?

Może dlatego, że byłam dziewczynką, której się udało. Która wyszła z komisariatu w Alejach Jerozolimskich. Bo umiała się modlić! Bo znała modlitwę – tę samą, którą mówiła na stosie Isabel Lopez. Bo przyszła Maria. Bo powiedziała, że jest rodzoną siostrą mojej mamy. Bo policjantom nie chciało się zabijać tego dnia. Bo...

Nie wiem dlaczego.

Skąd człowiek ma wiedzieć, dlaczego przeżył.

A kiedy z komisariatu wychodziłyśmy, podjechała dorożka. Widzę tę dorożkę. Stanęła tak, że koń był nieco dalej, a wejście na wprost mnie, tuż przy schodach komisariatu.

Pani Haniu, mówiła Maria po latach, szłyśmy pieszo z komisariatu. Na Sienną, do mnie nie było daleko. I żadnej dorożki nie było. Pani Mario, mówiłam, wiem, gdzie jest ulica Sienna. I wiem, że jechałyśmy dorożką.

Nie upieraj się, mówił Jurek, mój mąż. Przyznaj rację pani Marii. Dlaczego mam przyznać, że dorożki nie było, skoro była? Czy jest możliwe, że pamiętam dorożkę, której nie było? Czy jest możliwe, że Maria nie pamięta dorożki, która była? Skąd ona się wzięła pod drzwiami komisariatu? Kto przysłał tę dorożkę?

Pamięta ją Pani dobrze?

Tak, zwykłą czarną dorożkę z budą. Ze schodkami. Wsiadłyśmy do niej z mamą i z Marią, prosto z tych schodów komisariatu.

Kiedy Pani zrozumiała, że chce pisać?

Jak przeczytałam „Anię z Zielonego Wzgórza" podczas powstania warszawskiego. Siedziałyśmy z mamą w małym pokoiku, nie pamiętam czyim i gdzie. Pamiętam łunę z pożarów, która padała na ścianę, dzięki czemu czytało się całkiem dobrze. Niestety, jak zeszliśmy do piwnic, było za ciemno na czytanie.

Postanowiłam napisać powieść – o Ani, która przyjeżdża do mnie w gości. Ale najpierw postanowiłam co innego – że przeżyję wojnę. Trzeba sobie postanowić, że się przeżyje. To ważne, bo miałam sporo okazji, żeby nie żyć. Powieści o Ani nie napisałam, uznałam, że prawdziwe historie są ciekawsze od wymyślonych.

A jak już byłam reporterką, zrozumiałam, że w historii, którą opowiadam, musi być coś więcej niż dosłowna historia.

Czyli co?

Coś odwiecznego. Co jest od zawsze i na zawsze.

W Pani nowej książce wracają bohaterowie z poprzednich reportaży. Wraca też ich pamięć. Inna niż wcześniej, prawda?

Z pamięcią jest tak, że musi nastąpić czas jej powrotu. Ile lat miała Alina Szapocznikow, gdy umarła?

Sprawdzę.

W jej rzeźbach był straszny smutek. Zastanawiałam się, czy ten smutek był z choroby, czy z wojny?

Czterdzieści siedem lat.

Taka młoda była? Rozmawiałam o tym jej smutku z Ryszardem Stanisławskim, mężem Aliny. Uważał, że wojenne wspomnienia nie wracały do niej. Nie dożyła czasu nawrotu koszmarów.

Wracają, później, na starość. Dopadają człowieka te najbardziej bolesne zdarzenia z życia.

Dlaczego na starość?

Bo człowiek czuje, że nie ma czasu, nie ma odwrotu, musi się w końcu z tym zmierzyć. Ale nie mogą wrócić za późno, bo może się okazać, że pamięć szwankuje i nie wiadomo, co jest początkiem, a co końcem. Pozostają tylko strzępy pamięci.

Jaka to jest pamięć – ta, która wraca?

Bezlitosna. Pamięć o rzeczach, których nie chciało się pamiętać, od których człowiek się uchylał. Pamięć schowana przez lata, czasami przez całe życie, zaczyna się dopominać.

W okolicach Nowego Roku odzywają się do mnie ci, którzy jeszcze żyją. Dzwonią z życzeniami, ale coś im się właśnie przypomniało. Gdy byliśmy w domu dziecka, nikt o nic nie pytał i nikt niczego nie opowiadał. Nic się nikomu nie przypominało.

A wiesz, mówił mi kolega, że na przyjęciu urodzinowym Janki jej brat opowiedział o swoim ojcu.

Zapamiętałam ten fragment – owinął ojca w prześcieradło i wyniósł na taczkę pogrzebową, jedną z tych, które stały na ulicach w getcie warszawskim. Wrócił do mieszkania i pomyślał, że powinien się rozpłakać, ale nie miał siły i zasnął.

eprasa.pl df2b558170

I przez to, że się nie rozpłakał, miał poczucie winy. I musiał o tym opowiedzieć na przyjęciu z okazji osiemdziesiątych urodzin, czyli jakieś siedemdziesiąt lat po wojnie.

Inna moja koleżanka w przerwie kongresu historycznego nagle przypomniała sobie o schodach. W czasie powstania kula trafiła jej ojca. Miał semicki wygląd, a ona była jasnowłosym aniołkiem. Ojciec leżał na schodach. Ktoś ją zapytał, czy zna tego pana. Odpowiedziała „nie, nie znam" i zbiegła po schodach. Tatuś byłby dumny, że ma taką mądrą córeczkę, powiedziałam jej. Ale widziałam, że chce mi coś jeszcze powiedzieć. Z zakłopotanym uśmiechem dodała, że zbiegała tak szybko ze schodów, co dwa stopnie, że przeskoczyła przez ojca. I tu już nie przyszły mi do głowy słowa pociechy, nic, co mogłabym jej powiedzieć.

I musiało to wrócić?

I czy to się kończy kiedyś?

Nie, myślę, że się nie kończy.

Dlatego wracają postaci, o których już pisałam. Do nich wraca pamięć, do książek moi bohaterowie dawni, moi dobrzy znajomi.

Historie w Pani nowej książce zbliżają się do czasu dzisiejszego.

Nie ma tu chronologii, nie ma czasu. Czy chronologia jest w ogóle ważna? Czy istnieje coś takiego jak czas w ciekawości, w dociekliwości mojego Rozmówcy?

Pisze Pani Ojczenaszowi: „wiem przecież, wiem, że nie można łączyć wszystkiego ze wszystkim, ale wszystko jest ze sobą połączone, nie udawaj, że nie wiesz".

Córka pani Marleny, która pomaga mi w codziennych sprawach, chodzi do liceum plastycznego, niedaleko Petrochemii. Panią Marlenę niepokoi to sąsiedztwo. Bo jeśli coś się zacznie, pierwsze rakiety spadną na Petrochemię. Rakiety, drony czy bomby.

To nie jest wymyślony lęk. A mój Rozmówca pyta z uśmieszkiem – tak się domyślam, że z uśmieszkiem – co będzie w siedemdziesiątej piątej godzinie. Tego czegoś, co się zacznie.

Jest niepewność, która unosi się nad dzisiejszymi historiami.

Tacy jesteśmy dobrzy dla tych seniorów.

Tak im tłumaczymy, co mają jeść, ile kroków mają robić, a w gruncie rzeczy jest jakaś pogarda dla starości.

„Sytuacja jest taka, że umrzeć można wszędzie" – raportuje Pani Ojczenaszowi. „Można umrzeć pod płotem. Jak mężczyzna z Erytrei. Miał 28 lat, znaleźli go robotnicy, którzy w płocie naprawiali". Albo: „W Puszczy Białowieskiej. Jak Syryjczyk, 23 lata. Znaleźli go badacze przyrody".

Natalia Judzińska, socjolożka i aktywistka, jeździ na Podlasie i mi opowiada. Pod tamtą granicą umarło już osiemdziesiąt osób.

Ten niepokój pochodzi stamtąd – z czasów wojny?

Nie, to już jest nowy niepokój. I nowe drony.

„Sytuacja jest taka, że znowu lecą, to do Iranu, to do Lilki".

Lilki już nie ma, a rakiety nadal spadają. To się nie kończy. To zabijanie się nie kończy.

Bardzo smutne historie pani opowiadam, prawda? Wesołość jakoś mi nie wychodzi.

Prawdziwe.

No to coś jeszcze niewesołego pani opowiem. Pierwszy raz w życiu jestem stara. Nigdy stara nie byłam, zdarza mi się to pierwszy raz, więc z pewną ciekawością przyglądam się tej starości.

Mój holenderski tłumacz, Benjamin, opowiadał mi, że gdy w latach osiemdziesiątych w Amsterdamie była epidemia AIDS, jego przyjaciel chorował, bardzo szybko chudł i co jakiś czas jeździli razem do sklepu po nowe spodnie. Przyjaciel siedział na wózku inwalidzkim i wszyscy sprzedawcy zwracali się do Benjamina. Nigdy do człowieka na wózku. Jakby był niewidzialny.

Osoby z niepełnosprawnościami zwracają uwagę na ten sposób traktowania od dawna.

Niedawno przypomniała mi się ta historia. Poszłyśmy z panią Marleną po narty dla mojego prawnuka. On jeździł na desce, a ja chciałam, żeby miał też narty, na jakich jeździł mój mąż, a potem córka. Prawnuk ma tyle i tyle wzrostu, to są jego pierwsze narty, więc powinny być krótkie, najlepsze będą osiemdziesiątki – powiedziałam panu w sklepie. Tak, najlepiej osiemdziesiątki – potwierdził zwracając się do pani Marleny sprzedawca. Zapytałam, czy wiązania są razem z nartami, czy trzeba je kupić osobno. Sprzedawca potwierdził pani Marlenie – tak, są z nartami. Przepraszam pana bardzo, dlaczego właściwie nie zwraca się pan do mnie, tylko do pani Marleny? – spytałam. Tak się składa, że pani Marlena nie ma pojęcia o nartach, a ja byłam przez sześćdziesiąt kilka lat żoną narciarza i wiem dość dokładnie, czego szukam.

Co sprzedawca na to?

Był bardzo zdziwiony, że się go czepiam. Tacy jesteśmy dobrzy dla tych seniorów. Tak im tłumaczymy, co mają jeść, ile kroków mają robić, a w gruncie rzeczy jest jakaś pogarda dla starości.

„Medale narciarskie ojca zostawiam, w salonie je ułóż na półce" – mówi do Pani córka. To również osobista książka.

Każdy tekst poprzedzają rysunki Zbigniewa Libery. Towarzyszą tekstom. To był śmiały eksperyment dla nas obojga. Czytałam panu Zbigniewowi na głos, a po jakimś czasie przychodził z rysunkami. Rozstawialiśmy je tu, na krzesłach, i o nich rozmawialiśmy. Jakbyśmy patrzyli na to samo, ale z różnych miejsc.

Czasami nie wiedziałam, co jest na rysunku. Na przykład na tym, który poprzedza rozdział „Wyrzucić", z którego jest fragment o medalach narciarskich Jurka. Gdzie córka i wnuk robią porządki u ojca i zastanawiają się, co wyrzucić, a co zostawić. Ten rozdział zrozumie każdy, kto robił porządki po kimś, kto odszedł.

Znajdźmy go.

Tutaj są... Co to za kule, pytałam pana Zbigniewa. To są łzy – wyjaśnił.

Są więc i łzy w książce.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

eprasa.pl df2b558170



SPÓŹNIONY GOŚĆ

W USA ukazała się pierwsza biografia Denisa Johnsona. Zmarły dekadę temu pisarz także u nas nie daje o sobie zapomnieć.

PIOTR KOFTA

OLIVER MARK / CC BY-SA 4.0

eprasa.pl df2b558170

Owinięty przemokniętym śpiworem autostopowicz stoi w ulewie przy wjeździe na drogę stanową gdzieś na Środkowym Zachodzie USA. Wcześniej podczas tej podróży z jednym kierowcą palił haszysz, natomiast od innego, gadatliwego akwizytora, wziął pigułki, po których czuł się, „jakby coś przeżarło mu żyły". Autostopowicz ma wielki bałagan w głowie, a przez to być może widzi pewne sprawy całkiem jasno, uzyskując wgląd w mechanikę przyszłości.

„Przeczuwałem wszystko, co się miało zdarzyć" – opowiada. „Jeden taki oldsmobile jeszcze nie zaczął zwalniać, a wiedziałem już, że się przy mnie zatrzyma, a gdy usłyszałem słodkie głosy rodzinki w środku, wiedziałem, że podczas tej burzy czeka nas wypadek. Miałem to gdzieś" – wyznaje. „Zwinąłem śpiwór, oparłem się o drzwi po lewej stronie i zasnąłem. Cały czas wiedziałem, co się wydarzy. I nic nie mogły zmienić żywiołowe protesty, którymi obudzili mnie mężczyzna i jego żona: – O nie! NIE!".

Tak zaczyna się jedno z najsłynniejszych amerykańskich opowiadań drugiej połowy XX w., czyli „Wypadek autostopowicza" Denisa Johnsona. Tekst otwiera wydany w 1992 r. tom „Syn Jezusa" (wyd. pol. 2020, przeł. Szymon Żuchowski).

Jest tu jednak dodatkowy kontekst: ten wypadek naprawdę miał miejsce, a przemokniętym i znarkotyzowanym autostopowiczem był, wówczas niespełna 23-letni, Denis Johnson.

Sos do tacosów

Zdarzyło się to 20 kwietnia 1972 r. w okolicach miasta Bethany w stanie Missouri, na wąskim odcinku drogi nr 69, przez miejscowych, ze względu na liczbę ofiar rozmaitych kolizji, zwanej złośliwie Szlakiem Ho Chi Minha (czyli ścieżką zaopatrzeniową Wietkongu z północy na południe Wietnamu). Johnson – na szlaku od wielu dni – zmierzał z domu rodziców w Arizonie do Iowa City, gdzie studiował pisarstwo w słynnym Iowa Writer's Workshop. To z grubsza 2500 kilometrów, wypadek przytrafił się zasadniczo pod koniec trasy.

Buick (nie Oldsmobile), który zabrał Johnsona ze stacji benzynowej, należał do małżeństwa Eckhartów: podróżowali z dwiema córkami, czteroletnią i roczną.

Denis Johnson, 2003 r.

Do zderzenia doszło przy mostku i na zakręcie – Ford prowadzony z nadmierną prędkością przez niejakiego Williama Webba wpadł w poślizg i rąbnął czołowo w Buicka Eckhartów, ulewny deszcz oraz śliska nawierzchnia były dodatkowym problemem.

W Buicku nikt nie zginął, a Johnson wyszedł z wypadku praktycznie bez szwanku, podobnie zresztą jak roczna córeczka Eckhartów, którą – zarówno w opowiadaniu, jak i w rzeczywistości – pisarz nosił na rękach zaraz po zdarzeniu. „Ciecz, w której od razu rozpoznałem ludzką krew, [a która] tryskała wszędzie i obryzgała mi twarz", okazała się szczęśliwie sosem do tacosów.

Kierowca Forda miał mniej szczęścia: zmarł wkrótce po przewiezieniu do szpitala, gdzie trafili na obserwację również wszyscy jadący Buickiem, w tym Johnson, „przewodniczący tej tragedii".

„Korytarzem nadeszła żona zmarłego – czytamy w opowiadaniu, które jest jednocześnie deliryczne i zimno trzeźwe. – Była wspaniała, płomienna. Nie wiedziała jeszcze, że jej mąż nie żyje. A myśmy wiedzieli. Właśnie dlatego miała nad nami taką władzę. Lekarz zaprowadził ją do gabinetu na końcu korytarza. Spod zamkniętych drzwi promieniała tafla blasku, jak gdyby wewnątrz – na drodze jakiegoś zdumiewającego procesu – poddawano kremacji diamenty. Co za płuca! Krzyknęła, jak mógłby krzyknąć orzeł. Cudownie było móc usłyszeć coś takiego. Od tej pory wciąż gonię za tym uczuciem".

Państwo Eckhartowie nigdy więcej nie zobaczyli przemokniętego autostopowicza, nie wiedzieli, że sam był już wówczas ojcem, że właśnie zakończyło się z hukiem jego młodzieńcze, studenckie małżeństwo, że miał za sobą bezskuteczny odwyk w klinice psychiatrycznej, że ostro pił, brał piguły, szprycował się heroiną, a jego przyszłość w tamtym momencie miała bardzo bliski horyzont: sprowadzała się zasadniczo do rychłego przedawkowania na jakiejś melinie.

Nie wiedzieli również, że po latach jakoś się z tego wszystkiego wykaraskał i został słynnym prozaikiem, a ponadto unieśmiertelnił ich w literaturze. Bo Johnson z reguły unieśmiertelniał w ten sposób ludzi, których spotkał na swojej drodze, niekoniecznie pytając ich o zgodę. Prócz tego, że był poetą zdania i akapitu, był również mistrzem autofikcji pozostającej w skomplikowanej, nieco paranoicznej relacji z prawdą.

Momenty sławy

Któregoś dnia, całkiem niedawno, do pary emerytów dotarł dziennikarz „New Yorkera" Ted Geltner. Jego dociekliwości zawdzięczamy skrupulatną rekonstrukcję opisanych wyżej wydarzeń. Na początku listopada zeszłego roku ukazała się na amerykańskim rynku (nakładem University of Iowa Press) książka Geltnera „Flagrant, Self-Destructive Gestures" („Ostentacyjne, autodestrukcyjne gesty") – pierwsza biografia Johnsona zmarłego w 2017 r.

Zresztą i u nas Johnson nie daje o sobie zapomnieć. Po pierwsze, można obejrzeć nominowaną do Oscarów w czterech kategoriach ekranizację noweli „Sny o pociągach" (reż. Clint Bentley). Po drugie, przeczytać debiut powieściowy Johnsona z 1983 r., „Anioły", opublikowany przez Karakter w tłumaczeniu Krzysztofa Majera. Właściwie to i „Sny o pociągach" (oryg. wyd. 2012, wyd. pol. Czarne 2021), w przekładzie Tomasza S. Gałązki, warto sobie przy okazji przypomnieć.

Oba spolszczenia są świetne, a każde skrajnie odmienne: „Anioły" to frenetyczna, rozedrgana opowieść o społecznych wyrzutkach (i powodach, dla których droga powrotna do społeczeństwa pozostaje dla nich, z nielicznymi wyjątkami, zamknięta), natomiast „Sny o pociągach", jeden z ostatnich utworów wydanych za życia pisarza, w sposób wyciszony, wręcz medytacyjny traktują o stracie, odkupieniu i ciężkiej fizycznej pracy. Tym, co je łączy, jest głęboka świadomość Johnsona, że kamień węgielny Ameryki stanowi kultura wszechobecnej przemocy. Oraz jego empatyczna fascynacja (mająca swoje korzenie również w obserwacji uczestniczącej) wobec wszelkiej maści outsiderów.

W amerykańskiej tradycji literackiej istnieje osobna ścieżka dla opowieści o outsiderach. Książki o nich się kocha, kocha się także ich autorów – być może dlatego, że uchylają drzwi do mitu, nie kłamiąc o jego okrutnym obliczu. Kiedy więc blisko dziewięć lat temu Denis Johnson zmarł na raka wątroby, przez tamtejszą prasę przetoczyła się potężna fala pożegnań, epitafiów i wspomnień. Były to często teksty bardzo osobiste i silnie emocjonalne, pisane przez ludzi z branży. ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ W pewnym sensie: wyznania platonicznej miłości. Było to dlatego ciekawe, że nie chodziło o autora z pierwszego szeregu gwiazd. Johnson miał w zasadzie dwa niedługie momenty sławy – pierwszy przy okazji wydania wspomnianego „Syna Jezusa", drugi, gdy ukazał się nagrodzony Pulitzerem monumentalny quasithriller szpiegowski „Drzewo dymu" (2007, wyd. pol. Sonia Draga 2009, przeł. Alina Siewior-Kuś), przez wielu recenzentów zresztą poddany wówczas ostrej krytyce jako nieczytelna, wtórna i spóźniona o wiele dekad wariacja na temat wojny wietnamskiej.

Przez środowisko Johnson (nazywany, może nieco ironicznie, „pisarzem pisarzy") był jednak postrzegany jako wynalazca swego rodzaju kamienia filozoficznego: udało mu się uniknąć klątwy pokoleniowości. Będąc rozbitkiem po epoce kontrkultury lat 60., dał radę przyciągnąć uwagę czytelników o generację młodszych – znalazł wspólny język z członkami Pokolenia X, i to nie jako dziadyga-weteran, ale jako człowiek o podobnej do nich, ironiczno-apokaliptycznej wrażliwości. A ponieważ klimat ogólnej paranoi tylko się w Ameryce (jak i w całym świecie) wzmaga, Johnson zapewnił sobie kolejne grupy odbiorców zapewne aż po kres naszej cywilizacji.

Za tę międzypokoleniową łączność odpowiada w jakiejś mierze przypadek – zwany też losem albo przeznaczeniem. W życiu Johnsona różne sprawy działy się bowiem albo za wcześnie, albo za późno (jeśli uwzględnić odchylenia od średniej); nowi czytelnicy w latach 90. mogli go zaakceptować jako swojego również z tego powodu, że wydał opętańczo młodzieńczą książkę („Syna Jezusa"), będąc już po czterdziestce: książkę niby przeterminowaną o dwie dekady, a jednak – lub właśnie dlatego – uderzająco aktualną.

O dwóch takich

Johnson urodził się w 1949 r. w Monachium, ale nie dlatego, że był z pochodzenia Niemcem (jak z osobliwej przyczyny podaje polska Wikipedia), ale z tej przyczyny, że jego ojciec Alfred pracował tam w amerykańskiej misji wojskowej. W latach późniejszych, wraz z kolejnymi awansami ojca – i w związku z jego karierą dyplomatyczną w USIA (United States Information Agency), agencji zajmującej się koordynacją polityki propagandowej Stanów Zjednoczonych – mieszkał w Japonii i na Filipinach.

W amerykańskiej tradycji literackiej istnieje osobna ścieżka dla opowieści o outsiderach. **Książki o nich się kocha, kocha się też ich autorów** – może dlatego, że uchylają drzwi do mitu.

Wraz z rodzicami i młodszym bratem wrócił do Ameryki dopiero jako czternastolatek. To dziwne wykorzenienie i poczucie obcości musiały wywrzeć wpływ na młodego Johnsona, zwłaszcza że zaraz potem Ameryka zaczęła wrzeć – wojennie, obyczajowo, kontrkulturowo.

Johnson w 1967 r. rozpoczął studia na Uniwersytecie Iowa, w jednej z najbardziej znanych szkół kreatywnego pisania. Możemy się podśmiewać z głębokiego przekonania Jankesów, że tworzenie literatury to praktyczny przedmiot akademicki jak każdy inny, ale tamtejsze wydziały *creative writing* wyprodukowały mnóstwo pisarek i pisarzy, stwarzając sieć, która nie tylko zapewniała – i nadal zapewnia – miejsca pracy literatom uczącym innych literatów, lecz także oferuje sieć kontaktów między studentami, wykładowcami, agentami, wydawcami i redaktorami.

Kiedy osiemnastoletni Johnson przybywał do Iowa City, czyli, jak sobie żartowano, „Paryża i Berkeley Midwestu", Kurt Vonnegut właśnie stamtąd wyjeżdżał po dwuletniej przygodzie z nauczaniem, a przygoda ta – choć bywało różnie – dosłownie uratowała jego podupadającą karierę podstarzałego ekscentryka, którego nikt nie czyta: zarobił wystarczająco dużo pieniędzy, aby móc w spokoju pisać, a dzięki nabytym w Iowa kontaktom w środowisku dostał stypendium Guggenheima i zmienił wydawcę swojej kolejnej książki, niezapomnianej „Rzeźni numer pięć".

W wypadku Johnsona było w pewnym sensie podobnie – znajomości zawarte w czasie studiów procentowały przez całe życie, niejednokrotnie chodziło o sytuacje podbramkowe, w których czyjaś niespodziewana pomoc dosłownie ściągała pisarza znad krawędzi alkoholowej albo heroinowej otchłani.

Johnson nie był jednak produktem programowej edukacji literackiej, on już przyjechał jako gotowy poeta, wunderkind. Na zajęciach towarzyszyła mu aura wycofanego geniusza, który pisze inaczej i lepiej niż wszyscy. Budził zainteresowanie, może nawet olśniewał. W wieku dziewiętnastu lat miał już wydany tom poematów, „The Man among Seals", wymieniano go w rozmaitych rankingach jako wielką nadzieję amerykańskiej liryki.

Rzecz w tym wszelako, że nie było jednego Johnsona, ale dwóch: ten, który brylował na akademickich salonach, oraz ten, który zaliczył wpadkę z dziewczyną, a rodziny uznały, że młodzi powinni wziąć ślub, zanim urodzi się dziecko; ten, który planował literacką karierę, i ten, którego ciągnęło na margines uporządkowanego świata, do żuli, odklejów, złodziejaszków i włóczęgów.

Z czasem zaczął przeważać ten drugi Johnson, a wypadek w kwietniu 1972 r. stanowił jakąś cezurę: przez kolejne sześć lat przyszły autor „Aniołów" tułał się po Stanach, pijąc i ćpając w rozmaitych katastrofalnych konfiguracjach towarzyskich, na drodze ku samounicestwieniu.

Nieco kolorytu tej historii niech nada fakt, że w 1973 r., czyli pod koniec pobytu Johnsona w Iowa City, Iowa Writer's Workshop nawiedziło aż dwóch wielkich pisarzy i zarazem wielkich pijaków: Raymond Carver i John Cheever. Ich straszliwe libacje, również z udziałem przyszłego autora „Snów o pociągach", przeszły do legendy. Nie chodziło zresztą tylko o wspólne chlanie whiskey: ich mistrzowska nowelistyka także nie pozostała bez wpływu na Johnsona.

Ten wytrzeźwiał dopiero pod koniec lat 70. – dzięki silnej woli i kolejnemu bardzo amerykańskiemu wynalazkowi: ruchowi AA, którego pozostał wiernym (do granic dewocji) uczestnikiem przez resztę życia. Co ciekawe, ani przez chwilę nie przestał być pisarzem. Kumple od strzykawki i kieliszka drwili z Johnsona, że zadaje się z nimi i ładuje w żyłę, bo zamierza ich wszystkich później opisać. Jak już wspominałem, nie pomylili się. Johnson mógł kompletnie nie panować nad bie-

eprasa.pl df2b558170

giem swojego losu, ale pamięć miał fotograficzną, a zmysł literacki niezawodny.

Nóż w oku

„Anioły", powieść pełna wspaniałych zdań i sytuacji o ludzkich odpadach, których państwo amerykańskie wytwarza, wysysa (dosłownie – przypatrzcie się scenom przedstawiającym pobieranie osocza; Johnson też tak dorabiał) i porzuca na zatracenie, powstały z opowiadania napisanego na początku lat 70. Stanowi ono pierwszy rozdział powieści. Ale właściwą materię – pisarskie mięso – Johnson zgromadził, gdy dekadę później podjął się prowadzenia warsztatów literackich w więzieniu stanowym we Florence w stanie Arizona.

Więźniowie, w tym wielokrotni mordercy, darzyli go szczerym, niemal miłosnym uczuciem, on ich chyba na swój sposób też, bo „Anioły" są historią o próbie zrozumienia zła i szaleństwa bez warunków wstępnych. Z drugiej strony: Johnson całkiem na zimno wykorzystał to wszystko, co usłyszał od swoich skazanych podopiecznych na kursie. Być może zimna krew jest tym, co odróżnia profesjonalistę od amatora.

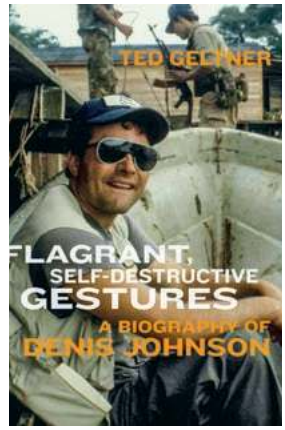
„Syn Jezusa" zawiera z kolei historie z przełomu lat 60. i 70., *stricte* autobiograficzne. Nawet gdy uwzględnić niewielkie różnice i fabularyzacje, główny bohater – Pojeb – jest Johnsonem, a Johnson, cóż, jest Pojebem. Geltner dokładnie inwentaryzuje te przygody i udowadnia, że zdarzyły się naprawdę. Ale jak to jest napisane (i jak przełożone – znakomite tłumaczenie na polski to dzieło przedwcześnie zmarłego wiosną zeszłego roku poety Szymona Żuchowskiego)!

„Denis uważał, że pisanie opowiadań powinno przypominać wizytę na imprezie, gdy przychodzi się późno i wcześnie się wychodzi. Narracje Pojeba ułożono właśnie w ten sposób – niekoniecznie prowadzą do konkluzji, ale raczej do momentu, w którym opada napięcie" – zauważa Geltner.

Warto wspomnieć, że istnieje zadziwiająco sensowna ekranizacja tej książki, „Syn Jezusa" Alison Maclean (1999). Grający główną rolę Billy Crudup jest rzeczywiście Pojebem/Johnsonem, a przynajmniej łatwo w to uwierzyć, natomiast sam autor zagrał niewielką rolę faceta, który przychodzi na ostry dyżur do szpitala z nożem wbitym w oko po rękojeść.

Ostatnio wydane:

▪ po angielsku

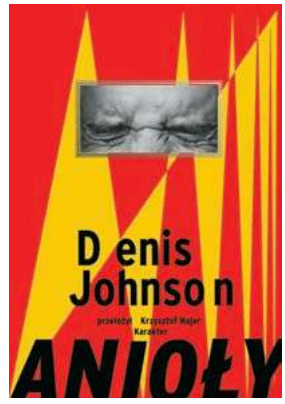


Ted Geltner, **FLAGRANT, SELF-DESTRUCTIVE GESTURES. A BIOGRAPHY OF DENIS JOHNSON,** *University of Iowa Press*

▪ po polsku



Denis Johnson, **SNY O POCIĄGACH,** *tłum. Tomasz S. Gałązka, Wydawnictwo Czarne*



Denis Johnson, **ANIOŁY,** *tłum. Krzysztof Majer, Karakter*

Była to zresztą jedyna udana próba współpracy Johnsona z przemysłem filmowym – może dlatego, że sam nie pisał scenariusza. Pozostałe, starannie wyliczone przez biografa, skończyły się spektakularnym fiaskiem: Johnson nie umiał się podporządkować bezwzględnej zespołowej robocie, w której scenarzysta zajmuje poślednią pozycję w łańcuchu pokarmowym.

Nim wyszedł u nas „Syn Jezusa", Johnson miał dwa podejścia do polskiego rynku – w 2001 r. ukazało się w efemerycznym wydawnictwie Libros „Zagubione wybrzeże" (przeł. Jędrzej Polak, amerykański tytuł jest inny, „Already dead"), osobliwy thriller o północnokalifornijskich wariatach i wykolejeńcach, właściwie smoliście czarna komedia w pynchonowskim duchu. Johnson nie byłby Johnsonem, gdyby nie zasiedlił tej komedii ludźmi, których znał albo o których słyszał. Dla przykładu, dwumetrowy Wilhelm Frankheimer, odludek zamieszkujący zdemolowane śmietnisko z widokiem na Pacyfik, to Bill Winkelholz, jeden z najbliższych przyjaciół pisarza.

Tak czy owak, „Zagubione wybrzeże" nie zażarło, podobnie zresztą jak wspomniane już „Drzewo dymu", schizofreniczna dekonstrukcja lat wojny wietnamskiej, w której Johnson sportretował zarówno swojego ojca (pod postacią cichociemnego pułkownika Francisa Xaviera Sandsa), jak i własne *alter ego* (w kamuflażu Williama „Skipa" Sandsa), dopisał też wcześniejsze losy głównym bohaterom „Aniołów".

To są trudne książki, łamiące wiele reguł typowej narracji powieściowej, w jakiejś mierze ambitne porażki, choć czyta się je z rosnącą fascynacją.

Kiedy to czytasz

Mamy jeszcze wzmiankowane wcześniej, przepiękne i stonowane „Sny o pociągach" – owoc paru lat spędzonych przez Johnsona w lasach północnego Idaho, pod granicą kanadyjską. Ekranizacja Netfliksa jest niezła, choć przenosi akcenty: u Johnsona czytamy historię o pogodzeniu się z absurdalnością i przypadkowością życia, w filmie silniej podkreśla się nostalgię i tęsknotę za tym, co minione. Tymczasem „Sny o pociągach" układają się w oczywistą metaforę tego, co połączone w biografii i twórczości samego pisarza. ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ Johnson nie pił i nie ćpał – może poza pewną słabością do marihuany – od 1978 r., ale pozostał pod wieloma względami człowiekiem uzależnionym. Zmieniały się tylko nałogi. Raz były to seksoholiczne akty niewierności. Innym razem wariacka jazda samochodem na granicy samobójczego ryzyka. Wreszcie zaś silna potrzeba przebywania w miejscach i sytuacjach niebezpiecznych – tę akurat Johnson zamienił na parę znakomitych reportaży ze stref wojny, drukowało mu je przeważnie „Esquire".

No i już na zawsze pozostało dwóch Johnsonów. Pierwszy: najsłodszy na świecie dowcipniś i brat łata, drugi niczym jego mroczny cień: płaczliwy, nieprzewidywalny awanturnik. Pod sam koniec życia doszedł jeszcze trzeci – terminalnie chory i głęboko świadomy własnej śmiertelności.

To była kwestia pokoleniowo-środowiskowa: wszyscy w zasadzie kompani Johnsona z czasów heroinowego haju chorowali na zapalenie wątroby typu C, nie wiedząc o tym. Przez brudne igły przekazywali sobie wirusa, którego naukowcy wyizolowali i nazwali dopiero na przełomie lat 80. i 90. Zapalenie wątroby typu C, jeśli nieleczone, skutkuje marskością i nowotworem. Johnson, dobiegając siedemdziesiątki, był ostatnim z tego kręgu znajomych, który pozostał przy życiu.

Kiedy go wreszcie dopadło, wiedział doskonale, etap po etapie, co będzie się z nim działo. Jego ostatnia, wydana już pośmiertnie książka, mroczna i niepokojąca „Szczodrość syreny" (oryg. wyd. 2018; wyd. pol. Karakter 2022, przeł. Krzysztof Majer), to w gruncie rzeczy pożegnanie. „Jest dla ciebie oczywiste, że kiedy to piszę, nie jestem jeszcze martwy. Ale może kiedy to czytasz" – brzmi finalne zdanie jednego z opowiadań ze zbioru.

Ale to nie koniec, mam nadzieję, naszej przygody z Johnsonem. Zostało parę książek do przetłumaczenia. Jestem bardzo ciekaw postapokaliptycznego „Fiskadoro" i czarnego kryminału „Nobody move"; Johnson nie lubił tkwić w obrębie jednego gatunku i jednej poetyki, bo jako człowiek ruchliwy i popędliwy szybko się nudził. Jego pisarstwem znudzić się nie sposób.

© PIOTR KOFTA

Bez wyjścia

MONIKA OCHĘDOWSKA

NA EKRANIE | Oglądając ten serial pamiętajmy, że każdego dnia ponad 100 kobiet szuka informacji o antykoncepcji i przerywaniu ciąży – i to tylko w ramach jednej organizacji pomocowej.

NA POCZĄTEK TRZY SCENY.

Pierwsza z serialu „Piekło kobiet". Akcja rozgrywa się w jednym z warszawskich szpitali, prawdopodobnie na początku lat 30. Oglądamy teatr anatomiczny z bezpiecznej pozycji widza: na scenie szeroko rozłożone nogi kobiety, w roli głównej – krocze. Profesor rozładowuje atmosferę żartem: „wagina nie gryzie". Palący papierosy młodzi mężczyźni śmieją się nerwowo.

Pacjentka ma lat 30, liczne porody zostawiły na jej ciele blizny. Ma popękane krocze i uszkodzoną cewkę moczową, zapewne żyje z bólem. Profesor odkłada papierosa, a następnie, nie myjąc rąk, rozpoczyna badanie palpacyjne. Rozpoznaje pierwszy trymestr. I wtedy leżące, dotąd nieruchome ciało szlocha z rozpaczy. Właściwie jestem zdziwiona: to ona żyje? Nie jest tylko materiałem badawczym wyciągniętym na lekcję anatomii z prosektorium?

Zaraz potem uświadamiam sobie, jak doskonale pomyślana została ta scena, wywołując w widzach – we mnie – taką reakcję. Przecież dokładnie tak – przedmiotowo, bez prawa głosu – przez wiele dekad czuły się kobiety, nie tylko w czasie ciąży. Prawa wyborcze przyznano nam w roku 1918.

Scena druga pochodzi z wydanej w listopadzie książki Błażeja Brzostka „Życie codzienne kobiet w PRL". Historyk cytuje prywatne zapiski młodej rolniczki z Rzeszowszczyzny, która – wbrew swojej woli – w wieku 25 lat zostaje matką czwartego dziecka. Podczas niezbyt mroźniej zimy w końcówce 1955 r. kobieta notuje: „Chodzę do lekarzy, błagam, proszę nieomal na kolanach o przerwanie ciąży – na próżno. Stosuję sama duże dawki chininy i co tylko kto doradzi, nie pomaga. Za dokonanie zabiegu lekarzowi grozi kara. Można to zrobić pokątnie, ale brak pieniędzy".

Dopiero ustawa z kwietnia 1956 r. dopuści możliwość przerywania ciąży w trzech przypadkach, w tym także ze względu na trudne warunki bytowe. Wcześniej ciężarne próbują płukać pochwę toksycznymi płynami albo roztworem mydła. Brzostek porównuje reżim ówczesnej porodówki do wojskowej musztry – kobiety otrzymują specyficzne umundurowanie: krótkie koszulki, niezakrywające części intymnych.

Scena trzecia jest z wydanej właśnie książki Pauliny Małochleb o macierzyństwie. Wiek XXI, duże miasto w Polsce: „Kiedy zachodzę w ciążę, nie wiem, że na końcu tej drogi czeka mnie wejście na scenę. Światło skierowane na krocze w trakcie porodu – punktowe, mocne i zimne – jest snopem wymierzonym we mnie na tej scenie także później. Działa jak lampy w teatrze: nie służy mnie, służy komuś, kto mnie ogląda, ma mu pomóc lepiej mnie widzieć".

Uniesienie nóg w geście poddańczym zapowiada kolejne momenty, w których narratorka będzie oceniania: w roli kobiety, matki, pracownicy. Czy ma – wywrócona odtąd na plecy niczym żuczek – inne wyjście?

Poradnia

Zanim na początku marca na platformie HBO Max pojawił się pierwszy odcinek serialu „Piekło kobiet" w reżyserii Anny Maliszewskiej oraz według scenariusza Magdaleny Franczuk i Ewy Popiołek, na Filmwebie opublikowano dziesiątki opinii zaniżających ocenę produkcji oraz szkalujących ją za „lewacki i propagandowy" tytuł.

„Piekło kobiet" wielu kojarzy się ze Strajkiem Kobiet i protestami, które wybuchły po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r., uznającym aborcję ze względu na cięż-

eprasa.pl df2b558170



AGNIESZKA JUREK-OPALIŃSKA / MATERIAŁY PRASOWE

Serial „Piekło kobiet" w reżyserii Anny Maliszewskiej, według scenariusza Magdaleny Franczuk i Ewy Popiołek, dostępny jest na platformie HBO Max

kie wady płodu za niezgodną z konstytucją. Ale sformułowanie „Piekło kobiet" liczy sobie nie sześć, a prawie sto lat.

Dokładnie w niedzielę 20 października 1929 r. w polityczno-społecznym „Kurierze Porannym" ukazuje się pierwszy z cyklu felietonów „Piekło kobiet" Tadeusza Boya-Żeleńskiego – słynnego krytyka i tłumacza, w tym wypadku przede wszystkim lekarza i społecznika. Teksty będą się ukazywać przez dwa miesiące, z czasem zostaną wydane w formie książki.

Boy zwraca uwagę na status młodych kobiet, które stają się matkami często wbrew własnej woli. Uważa, że nie powinno się karać tych, które – zdesperowane – próbują usunąć niechcianą ciążę, narażając zdrowie i życie (kobietę można było wówczas skazać za aborcję na 5 lat pozbawienia wolności, oglądamy taką scenę w serialu).

Żeleński pisze o nędzy robotniczych osiedli, na których dzieci umierają z powodu niedożywienia, chorób („ten sam płód, nad którym trzęsą się ustawodawcy, póki jest w łonie matki, w godzinę po urodzeniu traci wszelkie prawa do opieki prawnej, może zginąć pod mostem z zimna, gdy matka nie ma dachu nad głową").

Czego domaga się autor? Przede wszystkim: zastopowania penalizacji kobiet. W roku 1931, razem z pisarką Ireną Krzywicką, otwiera w Warszawie na ulicy Leszno pierwszą Poradnię Świadomego Macierzyństwa. Jej główną klientelą będą kobiety „pragnące ustrzec się ciąży".

Boyszewicy

Te sceny – publikacji felietonów, otwarcia Poradni na ulicy Leszno – pojawiają się w serialu. Scenarzystki pokazały również gwałtowne, agresywne reakcje na inicjatywę Żeleńskiego. Kiedy „Kurier" drukuje „Piekło kobiet", inne pisma atakują autora *ad personam*, pisząc, że to „dureń albo kanalia" („Przedświt") co „sympatiami inklinuje do żydów" („Głos Narodu"). Czytelników próbuje się przekonywać, że Boy robi to wszystko wyłącznie dla sławy, „aby tą drogą spopularyzować nazwisko". Wspierających działalność pisarza nazywa się Boyszewikami.

Ale nie tylko prawicowa prasa atakuje tłumacza. – Boy spotykał się z niezrozumieniem również ze strony elity intelektualnej Warszawy. Nie było wcale tak, że wszyscy uważający się w tamtym czasie za postępowych przyklasnęli temu, co próbował robić. Oczywiście, najsilniejszy opór stawiała bardziej konserwatywna część społeczeństwa – opowiada pomysłodawczyni i scenarzystka serialu Magdalena Franczuk: – Ale ostatecznie Boy zapłacił za swoją działalność wysoką cenę, tracąc źródła utrzymania oraz szacunek części środowiska.

Mimo ataków na jej pomysłodawców, Poradnia Świadomego Macierzyństwa cieszyła się ogromną popularnością, szczególnie wśród biedniejszych kobiet. Ostatecznie w roku 1932 doszło także do zmiany prawa. Wraz z wejściem w życie tzw. Kodeksu Makarewicza zalegalizowano dwa możliwe wskazania do legalnego przerwania ciąży: ze względu na zagrożenie życia lub zdrowia kobiety ciężarnej oraz w sytuacji, gdy ciąża była wynikiem przestępstwa (zgwałcenia lub kazirodztwa).

Telefon

Gdy proszę przedstawicielkę Fundacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny FEDERA o podsumowanie działalności warszawskiej placówki, dowiaduję się, że tylko w zeszłym roku udzielała ona wsparcia w sprawach dotyczących przerywania ciąży ponad 100 razy dziennie (łącznie ok. 3 800 porad). Ponad 900 interwencji dotyczyło przypadków ciężkich wad płodu i zagrożenia zdrowia lub życia kobiety w ciąży. Wszystkie one wymagały pilnego, wieloetapowego wsparcia informacyjnego, medycznego i organizacyjnego.

Interwencje FEDERY, relacjonuje Julia Karwan-Jastrzębska, obejmowały m.in. przekazywanie informacji o przepisach prawa, możliwych ścieżkach postępowania medycznego, dostępnych placówkach oraz procedurach diagnostycznych. Kobietom i mężczyznom udzielano także wsparcia w kontaktach z systemem ochrony zdrowia. Wspólnie reagowano na odmowy świadczeń. Ponad 2900 spraw było związanych z niechcianą ciążą oraz poszukiwaniem wsparcia w dostępie do bezpiecznej aborcji.

Pod numer Telefonu Zaufania FEDERY zadzwoniono ponad 1200 razy, co potwierdza, jak mówi Karwan-Jastrzębska, ogromne zapotrzebowanie na empatyczne wsparcie, szczególnie w sytuacjach kryzysowych.

– Sprawy związane z przemocą seksualną to wciąż rzecz trudno wykrywalna – tłumaczy Magdalena Franczuk. – Staramy się właśnie tym aspektom przyglądać w serialu. Może ubieramy problem w kostium historii, ale chcemy pokazać, że w sumie niewiele się pod tym względem zmieniło. ©℗

eprasa.pl df2b558170

XXXII Bydgoski Festiwal Operowy

BYDGOSKI FESTIWAL OPEROWY

25 IV–10 V OPERA NOVA 2026

SOBOTA 25.04.2026 r., g.19.00 – OPERA
Gaetano Donizetti

ŁUCJA Z LAMMERMOORU

Inauguracja Festiwalu
Opera Nova w Bydgoszczy
PREMIERA

WTOREK 28.04., g. 19.00
Łukasz Godyla

WÒLÔ BÒSKÔ

Inscenizowany cykl pieśni kaszubskich
Teatr Wielki – Opera Narodowa w Warszawie

CZWARTEK 30.04., g. 19.00
OPERA/ORATORIUM SCENICZNE
Georg Friedrich Haendel

TRIUMF CZASU I ROZCZAROWANIA

Polska Opera Królewska w Warszawie

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo zmian programu.

SOBOTA 02.05., g. 19.00. – BALET
NIEDZIELA 03.05., g. 18.00

FOLKÅ

chor. Marcos Morau

SAABA

chor. Sharon Eyal / Gai Behar
Nederlands Dans Theater - NDT 2 (Holandia)

WTOREK 05.05., g. 19.00 – BALET
ŚRODA 06.05., g. 19.00
Piotr Czajkowski / Jean-Christophe Maillot

LAC

(Le Lac de cygnes/Jezioro łabędzie)
Les Ballets de Monte-Carlo (Monako)

PIĄTEK 08.05., g. 19.00 – OPERETKA
Jacques Offenbach

ORFEUSZ W PIEKLE

Opera na Zamku w Szczecinie

NIEDZIELA 10.05., g. 18.00 – OPERA
Richard Strauss

SALOME

Łotewska Opera Narodowa w Rydze

REKLAMA

Festiwal dofinansowany przez:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Bydgoszcz
PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ MIASTO BYDGOSZCZ
Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego
Kujawy Pomorze
Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu
Dofinansowano z budżetu Samorządu Województwa Kujawsko-Pomorskiego

eprasa.pl df2b558170

■ **30. WIELKANOCNY FESTIWAL LUDWIGA VAN BEETHOVENA**, *22 marca – 3 kwietnia, Warszawa*


MATERIAŁY PRASOWE

Wielka symfonika z Beethovenem na czele, kameralistyka, recitale solowe, sławne nazwiska. To wszystko jak zwykle w kilku różnych miastach w Polsce, z centralnym punktem Festiwalu w stolicy. „Chciałbym – mówi Andrzej Giza, prezes Stowarzyszenia im. Ludwiga van Beethovena – żeby Festiwal pozostawał blisko idei profesora Mieczysława Tomaszewskiego, który podkreślał, że ma to być impreza dla publiczności aspirującej, prezentująca klasykę i sięgająca programem do pierwszej połowy XX w. Jednocześnie każdego roku Festiwal powinien pozostawać blisko idei, która określa jego repertuar. W tym roku jest to Beethoven, przełom klasycyzmu i romantyzmu". Komponent beethovenowski znajdzie się więc niemal w każdym koncercie, poczynając od wykonanej na inaugurację IX Symfonii pod dyr. Marzeny Diakun. Dalej zabrzmi Koncert skrzypcowy (z Arabellą Steinbacher) i Koncert potrójny (na fortepianie Alexander Lonquich). Po raz pierwszy znajdzie się w programie klasyczne dzieło romantyzmu, czyli Koncert skrzypcowy Brahmsa (solista Vadim Gluzman – na zdjęciu). Koncert na dwa fortepiany Mozarta zagrają z kolei uwielbiani od czasu Konkursu Chopinowskiego bracia Hyo i Hyuk Lee. Nie zabraknie kameralistyki, także beethovenowskiej (m.in. Sitkovetsky Trio), a fortepianowy recital z m.in. „Appassionatą" zagra Barry Douglas. Jak widać, sławne nazwiska pozostają wizytówką imprezy. Tradycyjnie zabrzmi koncertowe wykonanie opery – komiczny „Weksel małżeński" Rossiniego (dyr. Łukasz Borowicz). A wielki finał zapewni wykonanie arcydzieła Krzysztofa Pendereckiego, „Pasji wg św. Łukasza" (dyr. Maciej Tworek, współpracownik kompozytora). „Dla Festiwalu ważny jest element interdyscyplinarny – dodaje Giza. – Mamy więc kursy mistrzowskie, w tym roku poprowadzi je Barry Douglas. Studenci dowiedzą się, jak wybrać się na studia i pozyskać granty w Stanach Zjednoczonych. UJ organizuje jednodniową konferencję na temat Festiwalu, pracujemy też nad tym, żeby faksymile rękopisów utworów, które są wykonywane podczas imprezy, były prezentowane w formie wystawy w Filharmonii Narodowej. I oczywiście każdego roku staramy się, żeby plakat i wizerunek Festiwalu kreowali najważniejsi współcześni polscy artyści".

© JAKUB PUCHALSKI

■ *Xue Mo*, **ŁUSKANIE BOBU W BLASKU KSIĘŻYCA**, *przeł. Marta Torbicka, ArtRage*



Wydany właśnie zbiór opowiadań Xue Mo to pierwsza okazja, by poznać w języku polskim twórczość utytułowanego chińskiego pisarza, który chętnie portretuje swoje rodzime ziemie, prowincję Gansu. To naprawdę dalekie peryferie z perspektywy Pekinu, Szanghaju czy Kantonu – dalej mamy już tylko Sinciang. I to właśnie od ujgurskiego Sinciangu przydomek otrzymał bohater pierwszego opowiadania tego tomu. Jest to mężczyzna, który w młodości uciekł z wojska. Powrót do domu po latach wojaczki okazuje się zaskakująco trudny – wszyscy jego bliscy myśleli bowiem, że nie żyje, żona zdążyła sobie ułożyć życie na nowo z innym mężczyzną. Mężczyznę poznajemy już u schyłku jego drogi, gdy prowadzi bardzo proste życie, pogodzony z przeszłością. Już ten pierwszy tekst zapowiada, że Xue Mo będzie nam opowiadał o sprawach najbardziej fundamentalnych. I tak jest – jego bohaterowie nieustannie walczą o życie, a zagrożenia, które napotykają, wynikają z bardzo różnych czynników: srogiej natury, pochopnych wyborów życiowych. Obrazy, które tworzy Xue Mo, pełne są napięcia, brzydoty, choroby, mroku. Atmosfera, którą buduje, sprawia też, że większość opowiadanych w tej prozie scen zdaje się rozgrywać w ciemności nocy. Ale surowe tło trudnego życia na prowincji, w pobliżu pustyni, daje też pretekst do opowieści o miłości i nadziei. Walczące o życie, zagubione na pustyni postaci wykazują się zaskakującą solidarnością. Wreszcie: dzięki przypisom i posłowiu Marty Torbickiej książka jest po prostu świetną okazją, by zapoznać się z kulturą odległego, słabo znanego regionu Chin.

© JAKUB SZYMCZAK



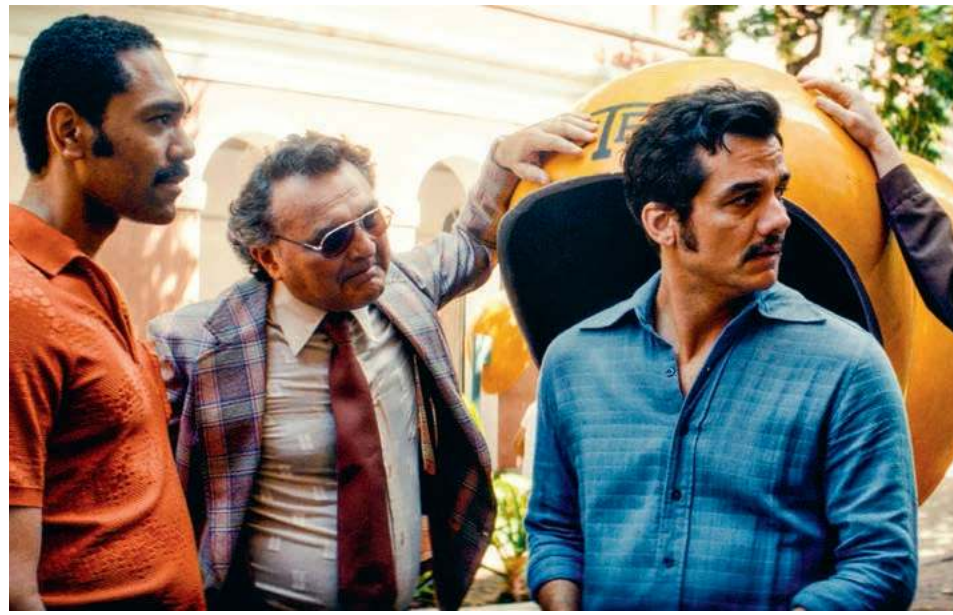
■ *Rowan Jacobsen*, **DZIKIE KAKAO. WYPRAWA DO ŹRÓDEŁ CZEKOLADY**, *przeł. Aleksander Gomola, Bo.wiem*

To nie jest kolejna książka w rodzaju „Wszystko, czego nie wiedzieliście o czekoladzie" ani „Sekretna historia kakao", nie jest to też książka gurmandzistowska, popularyzatorska ani aktywistyczna. Choć z drugiej strony – wszystko to w sobie zawiera. Przewaga Rowana Jacobsena, dziennikarza i autora książek o znaczeniu żywności, polega na tym, że napisał reportaż. O pionierach, ryzykantach, straceńcach i śmiałkach, którzy poświęcili się przywracaniu godności nasionom kakaowca właściwego, którego nazwa gatunkowa, *Theobroma cacao*, tłumaczy się przecież „pokarm bogów". A może nawet bardziej przywracaniu jej ludziom, którzy nam ten surowiec dostarczają. Czekolada – pisze Jacobsen – to rynek wartości 130 mld dolarów zbudowany na grzbietach 50 mln robotników żyjących w biedzie w tropikach. Gigantom tego rynku, zwanym, a jakże, Big Chocolate, 90 proc. kakao dostarczają firmy rodzinne, a 80 proc. z tych rodzin musi przeżyć za mniej niż 3 dolary dziennie. Dwie trzecie światowego kakao produkują Ghana i Burkina Faso, które pod wielkie plantacje hybrydowych odmian wykarczowały swoje lasy tropikalne. Wszystko po to, żebyśmy mogli kupić tabliczkę czekolady za dolara. Ta książka zabiera czytelnika w podróż do Boliwii, Mezoameryki i Meksyku – matecznika kakaowców – w poszukiwaniu rodzimych odmian i świętego Graala tej opowieści: kakaowców rosnących dziko. Towarzyszymy ludziom chcącym skrócić łańcuchy dostaw i wykorzystać logikę kapitalizmu przeciwko niemu: rozkochać zachodnich konsumentów w czekoladzie craftowej, kosztownej i statusowej, a tym samym sprawić, żeby nie opłacało się wycinać dżungli, bez której dzikie kakaowce nie przeżyją. Można tę książkę smakować jak powieść przygodową, acz to trudna przygoda: idealistyczna naiwność raz po raz idzie w niej z torbami, a przy lekturze towarzyszy pytanie, kiedy nowa fala czekolady „od ziarna po tabliczkę" – która ma ocalić lasy deszczowe, dać godziwe życie mieszkańcom okolicznych wiosek i zapewnić zrównoważony rozwój – zje własny ogon.

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

eprasa.pl df2b558170

Karnawał kina



ANITA PIOTROWSKA

FILM | Jak zrobić świetne rozrywkowe kino o zbiorowej traumie i narodowej pamięci, nie odbierając im ciężaru właściwego.

Takiego kina historycznego – czy politycznego – dzisiaj potrzebujemy. Bo choć w „Tajnym agencie" grasuje po parkach włochata noga, łasi się kotka o dwóch pyszczkach i sypią się z ekranu filmowe cytaty, nie odbiera to autentycznej grozy systemowi, jaki zapanował w Brazylii wraz z nastaniem dyktatury wojskowej, wspieranej przez USA.

Jesteśmy w jej szczytowym momencie, na początku 1977 r. Kończy się właśnie karnawał i kiedy ogłaszane są statystyki jego ofiar, można się domyślać, że ci wszyscy zabici czy zaginieni to niekoniecznie ekstremalni imprezowicze albo ofiary gangsterskich porachunków. Kleber Mendonça Filho był wtedy jeszcze dzieckiem, ale jego film nie chce być jedynie świadectwem mrocznego czasu ani nostalgiczną stylówką. Jako dorosły człowiek i uznany reżyser zdążył się przekonać, że w jego kraju autorytarne zapędy wcale nie przeminęły wraz z końcem lat 80.

Ponieważ nieraz otwarcie krytykował urzędujących polityków, zwłaszcza Jaira Bolsonaro, i znany jest z lewicowych poglądów, jego poprzednie filmy, „Aquarius" i „Bacurau", wyposażone na dodatek w ostry społeczny pazur, nie były zgłaszane do Oscarów. W tym roku otrzymał aż cztery nominacje, również dla najlepszego filmu, potwierdzając witalność kinematografii brazylijskiej – oraz aktualność zawartych w „Agencie" ostrzeżeń związanych z łamaniem demokracji.

Tyle, że filmowiec z Recife robi to zupełnie inaczej niż na przykład weteran Walter Salles, którego „I'm Still Here" zdobyło przed rokiem statuetkę Amerykańskiej Akademii dla najlepszego filmu międzynarodowego. Owszem, podobny był czas akcji i polityczny klimat, lecz na pierwszy plan wysuwał się przede wszystkim indywidualny heroizm w starciu z dyktatorskim zamordyzmem. „Tajny agent" samym swoim tytułem wprowadza pewne zamieszanie. A więc historia szpiegowska? Bynajmniej. Kiedy Armando, wąsaty naukowiec po przejściach, odwiedza stolicę stanu Pernambuco, prędzej jest tym szpiegowanym aniżeli szpiegującym. Chciałby odwiedzić synka u teściów, którzy opiekują się nim po śmierci żony, ale że bohater ewidentnie przed czymś ucieka, natychmiast zmienia swoje imię na Marcelo.

Schronienie znajduje w domu pani Sebastiany, jowialnej staruszki z przepalonym głosem (cudowna Tânia Maria), gdzie lokum znaleźli jeszcze inni uchodźcy z brutalnej rzeczywistości, jak para dysydentów z Angoli czy chłopak uznawany w swojej wsi za niemęskiego. Ale już od pierwszych scen, zanim Armando dotrze do miasta, pojawiają się makabryczne znaleziska: na stacji benzynowej od paru dni rozkłada się jakiś trup, a naukowcy z Wydziału Oceanografii wyciągają z wnętrza rekina ludzką kończynę. Tak oto – z faktów i miejskich legend, z surrealistycznej wyobraźni i gatunkowych zapożyczeń – buduje Mendonça Filho iście karnawałową opowieść o życiu w prawicowym reżymie.

Wszystko zdaje się tutaj ustawką albo przykrywką dla czegoś innego – funkcjonowanie urzędów, aktywność policji, zblatowany z polityką wielki biznes... Gliniarza trudno czasem odróżnić od gangstera, sprawiedliwość stała się własną parodią i nawet ocalały z Zagłady żydowski krawiec jest brany za zbiegłego nazistę (ostatnia rola filmowa Udo Kiera). Dlatego staje się tak ważne, by na przekór zakłamaniu i zatarciu przejrzystości dokumentować wszelkie nadużycia i zbrodnie. Nagrania magnetofonowe Armanda trafiają po latach do rąk studentki, która angażuje się w jego historię.

Ten współczesny wątek sięgania do archiwum i upamiętniania, na pewno dużo mniej ekscytujący niż sensacyjna akcja sprzed półwiecza, przynosi nie tylko oskarżenie zbrodniczego systemu, lecz także rozliczenie głębszej przeszłości kraju, ufundowanej na niewolnictwie i rasizmie. Co nie zmienia faktu, że „Tajny agent" wygląda tak, jakby – mimo atmosfery polityczno-etycznego chaosu – powstał z miłości do Brazylii. Do jej eklektycznych tradycji, wierzeń i kultury popularnej.

Bo oprócz grupy Chicago czy Donny Summer słychać z ekranu rodzime przeboje i zmysłową sambę, a obok hołdu złożonego klasycznym dziś filmom typu „Szczęki" czy „Omen", kłania się telenowela „Niewolnica Isaura". Jedną z nielicznych przestrzeni wolności odtworzonych w tym filmie okazuje się zresztą kino, gdzie teść Armanda pracuje jako operator projektora. To w jego przytulnej kanciapie spiskują opozycjoniści, gdy trzeba ratować głów-

eprasa.pl df2b558170



MATERIAŁY PRASOWE

TAJNY AGENT
(„O Agente Secreto”) – reż. Kleber Mendonça Filho. Prod. Brazylia/ /Francja/Niemcy/ /Holandia 2025. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 27 marca.

Kleber Mendonça Filho, brazylijski reżyser i scenarzysta, zaczynał jako krytyk filmowy i dokumentalista. Jego fabularny debiut to „Sąsiedzkie dźwięki” (2012), którym podbił wiele festiwali. Podobnie było z „Aquariusem” (2016) i „Bacurau” (2019), uhonorowanym m.in. Nagrodą Jury w Cannes. Najnowszy film otrzymał tam nagrodę za reżyserię i dla najlepszego aktora.

Powyżej: kadr z filmu „Tajny agent”

nego bohatera przed grożącą mu wendetą.

Nie miałby jednak film Mendonçy Filho aż takiego wdzięku, gdyby nie nałożony na ekran oldskulowy, pięknie przesterowany filtr, z dominantą indygo i ochry. Spowolniony rytm opowiadania (chociaż są tu też brawurowe przyspieszenia) pozwala rozsmakować się w wyrazistych detalach i pomysłowych stylizacjach.

Nie sposób również oderwać wzroku od Wagnera Moury, brazylijskiego aktora, znanego także z produkcji amerykańskich, w tym z roli Pablo Escobara w serialu „Narcos”. Przyklejony do twarzy tajemniczy uśmiech sprawia, że jego postać ma w sobie coś swojskiego, charyzmatycznego i niepokojącego jednocześnie. W finale zagra Moura także dorosłego syna głównego bohatera – pracuje w banku krwi i nie jest przypadkiem, że mieści się on w dawnym budynku wspomnianego wyżej kina. Brazylijski reżyser uwielbia bowiem podrzucać widzom różnego rodzaju smaczki do rozgryzania, na przykład znaczące podwojenia czy przestawienia jakichś motywów.

Okazuje się, że można zrobić świetne rozrywkowe kino o zbiorowej traumie i narodowej pamięci, nie odbierając im ciężaru właściwego. Mendonçy Filho udało się coś, co nie do końca wyszło w filmie „Zima pod znakiem wrony” Kasi Adamik na podstawie opowiadania Olgi Tokarczuk „Profesor Andrews w Warszawie”, wydrukowanego po raz pierwszy w „Tygodniku”. U Brazylijczyka gatunkowa maszyneria działa supersprawnie, cały zaś terror i groza ujawniają się mimochodem. Elementy rodem z groteskowego *body horroru* z jednej strony rozładowują napięcie, z drugiej zaś kreują atmosferę zagubienia w kafkowskim świecie, którą tylko pozornie ociepla karnawałowa gorączka i kinofilskie wtręty.

I film, mówiony oczywiście w języku portugalskim, jedynie powierzchownie kopiuje styl Tarantino czy jemu podobnych. Pod wypożyczonymi skądś przebraniami kryje się mistrzowsko okiełznany żywioł kina, który realny i odczuwalny podskórnie koszmar potrafi zamienić w doskonałą zabawę. ©

Lektor:
Sztuka opowiadania



▪ *Jacek Dehnel*
HISTORIE ŁAJDACKIE
Znak Literanova
Kraków 2026

Ogromna powieść Jacka Dehnela „Łabędzie”, wydana przed blisko trzema laty, nie doczekała się niestety odbioru, na jaki ten zdumiewający, wielowątkowy eksperyment i jeden z najciekawszych portretów PRL-u w literaturze zasługiwał. By sparafrazować Słowackiego: mówię, bom smutny i sam pełen winy, ale zdawkowa nota uwłaczałaby tej książce.

Z „Historiami łajdackimi” będzie chyba lepiej – już pojawiły się rzeczowe i niezdawkowe recenzje. I dobrze, bo to świetny tom opowiadań, kolekcja losów ludzi i przedmiotów opisanych wirtuozersko, historie na ogół mroczne, zwięzłe, wciągające i osadzone w namacalnych niemal realiach. Czasem polifoniczne, jak „Bieg okoliczności”, w którym narrator, uprawiając jogging, przywołuje w myślach opowieści warszawskich sąsiadów, jednocześnie obserwuje ulicę, a ze słuchawek dobiega muzyka. Czasem czymś zainspirowane, jak moja ulubiona „Wicekrólowa Rugii” obrazem Caspara Davida Friedricha.

Nie będę już nigdy mógł minąć rogu Augustiańskiej i Skałecznej na krakowskim Kazimierzu, nie myśląc o bohaterach „Ćwiartki papieru (historii prawdziwej z roku 1934)”. Tak, dramat Józefa Maciaszka, zredukowanego urzędnika Polskich Kolei Państwowych, i Józefy Banasikównej, którzy tam właśnie odebrali sobie życie, rozegrał się naprawdę. „Prawdziwa jest też treść listu, który pozostawili – dodaje Dehnel. – Autor tylko dodał dekoracje, trochę światła i dźwięku, a potem zamiótł scenę”. Autentyczne postacie są również wykorzystane w potwornie (w sensie dosłownym) przewrotnym opowiadaniu „Czterech, czwartek”.

Zamykają tom „Dwa sny”, ale także wcześniejsze „Głosy”, niby tylko obrazek z wakacyjnego pobytu w Kadyksie, ma – niebezzasadnie – klimat onirycznego koszmaru. A w „Nieznajomej z Sekwany”, podejmującej sławny wątek młodej topielicy, której twarz uwieczniona w odlewie powielona została po latach w setkach manekinów służących do ćwiczenia resuscytacji, słuchamy monologu martwej bohaterki, u Dehnela – służącej z Bretanii.

Korzyść z lektury nowych książek jest i taka, że skłaniają one do sięgnięcia po inne, dawniej czytane. Tak było z opowiadaniami Dehnela. Musiałem wspiąć się na drabinę, by z podsufitowej półki zdjąć niewielki tomik wydany równo 60 lat temu w serii Nike: „Orfeusz i inne opowiadania” wybitnego poety Julesa Supervielle'a, w opracowaniu Jerzego Kwiatkowskiego. Jest tam i „Nieznajoma z Sekwany”, która u francuskiego pisarza dociera do morza, do ludu Podwodnych, ale decyduje się wrócić w wody płytsze... ©℗

eprasa.pl df2b558170

PAWEŁ

Bravo:
Szczęście w kiszkach



Dziewięćdziesiąt pięć procent serotoniny, jaką dysponuje nasz organizm, powstaje w jelitach. Ale, niestety, nie jest w stanie przepłynąć do mózgu, gdzie, uzupełniwszy tę wytworzoną w zbyt nędznej ilości przez neurony, mogłaby zapewnić nam dobry nastrój, wolę życia i atrybuty produktywnego członka społeczeństwa ze śpiewem na ustach pchającego kierat codzienności. Każdy kolejny rok, mam wrażenie, sypie w jego łożyska kolejną szuflę piachu.

Ale niestety to nie takie proste. Począwszy od tego, że o tym tzw. hormonie szczęścia pisze się już tylko w najniższych kręgach pop-psychologii, w domenie poradniczych stron serwujących zdezaktualizowaną wiedzę, uproszczoną do poziomu komunikatu reklamowego. Masz depresję? To tylko brak serotoniny. Weź proszek. Najlepiej dwa.

Wiemy już od jakiegoś czasu, że tak naprawdę mało co wiemy i że przy wszystkich znacznych korzyściach dla dobrostanu pacjentów, zafiksowanie się na poziomie serotoniny nijak nie tłumaczy złożonego zjawiska depresji. Podobnie jak nie wiemy dokładnie, w jaki sposób dokładnie przebiega komunikacja brzucha z głową. Mówi się w literaturze fachowej o osi jelita-mózg, ale jej działanie to nadal obszar raczej wstępnych hipotez struganych ostrożnie skalpelem.

Ale że takowa jest, to pewne, rzekłbym wręcz, że to nasza podstawowa pionowa oś egzystencjalna (do poziomych należą np. linie kreślone przez bezradnie rozłożone ramiona). Przecież nawet jeśli ani kropla z brzusznej serotoniny nie przepływa w górę do głowy, to związek tego, co się zje (albo zjeść pragnie) z nastrojem i nastawieniem do świata oraz odwrotnie, wpływ myśli oraz nastrojów na bóle w dołku i zanik apetytu są faktem niezaprzeczalnym i podstawą działania *comfort foods*. Gdyby jedzenie dla pociechy było wysoko punktowaną dziedziną nauki, byłbym już profesorem *honoris causa* licznych uczelni. (Przy okazji – z dziesięć lat temu już postulowałem, żeby polszczyzna znalazła wreszcie swój odpowiednik tego terminu i co? Gdzie jest Rada Języka Polskiego, ja się pytam!).

Określeń góra/dół używam tylko przestrzennie, a nie prestiżowo – wszak jelita już doczekały się nobilitacji i bywają zwane drugim mózgiem. Może więc byśmy skupili się na szczęściu osiąganym w kiszkach, skoro szara materia pod czaszką pozostaje trudna do pojęcia.

W ramach cyklicznych zmian na piedestale jedzeniowego bożka, teraz będzie dużo gadania o jelitach. Dopiero co zwracałem wam uwagę na ubóstwienie białka, ale było to,



LETTERBERRY / SHUTTERSTOCK

jak się zdaje, tylko skwitowanie trendu w jego fazie zejściowej, kiedy jest, owszem, wszechobecny i wyłazi z każdej lodówki, ale wytraca impet i zmierza na śmietnik, gdzie spocznie obok takich bywszych gwiazd jak margaryna. Uważne i życzliwe czytelniczki uświadomiły mi, że teraz na topie będzie *fibermaxxing*. Koniecznie z dwoma iksami, może nawet trzema, bo rzecz sprowadza się do tego, by napakować biedny brzuszek błonnikiem w każdej możliwej postaci. Mówię biedny, bo trudno potem nie mieć wzdęcia – ale to też jest częścią obrzędu, na TikToku ponoć, gdzie teraz dzieje się wszystko, co aktualne, istnieje osobny rodzaj kontentu zwany gut-tokiem (od *gut* – jelito). Pod tym hasztagiem influencerzy dokładnie opisują swoje, by tak rzec, wiatropędne podrygi.

Zamiast ulec pokusie skojarzeń fizjologicznych, tyleż łatwych, co wyższościowych, przyjrzyjmy się życzliwie nowej modzie. Jej znakiem rozpoznawczym będzie dla nas babka płesznik, bo pięknie brzmi. Dotąd byłem świadom jedynie istnienia babki zwyczajnej, to była druga po pokrzywie roślina, jaką poznałem w podwórkowym mikrokosmosie, przydawała się do okładania licznych ran, zanim jakiś dorosły pospieszył z gencjaną. Uwielbiam patrzeć, jak dzielnie pcha ku słońcu swoje liście przez szpary w trotuarze, choć ciasno ułożona kostka bauma daje jej znacznie mniej szans. Płesznik nie wiem, jak rośnie, bowiem występuje u nas tylko pod postacią preparatów z nasion, które w połączeniu z wodą dają kleik, coś jak poczciwe siemię lniane, tylko turbodoładowane błonnikiem.

eprasa.pl df2b558170



Dobroczynne dla jelit, bo to teraz im staramy się każdym posiłkiem dogodzić.

W przeciwieństwie do proteinizmu, błonnikowa wiara nie jest dynamiczna, raczej medytacyjna. Bierze rozbrat z wydajnością, kładzie nacisk na równowagę. W swoim – na pewno pożytecznym – uwielbieniu otrębów, grubego ziarna i wszelkiego razowca odwraca zbożową hierarchię. Mimo całego gadania, że ciemny chleb jest zdrowy, do niedawna nie miałem wątpliwości, że to ten biały był symbolem nowoczesności, awansu społecznego w obyczajach. Odseparowanie otrębów we młynie wyzwalało mąkę ze śladów tego, co wsiowe, zapaskudzone, niskie i biedne. Biała mąka była symbolem postępu, higieny i cywilizacji. Dzisiaj miękki, puszysty chleb wydaje nam się pusty. Biel zaczęła być oznaką winy, nie cnoty. To, co usuwano jako szorstki odpad, zabrudzenie, nagle stało się częścią szlachetną. Karmi florę jelitową, zapewnia szybką sytość. Podobnie jak fermentowane produkty – jako szczęśliwi odwieczni zjadacze kapusty kiszonej i kefiru nie zauważamy, że staliśmy się niechcący także i w tym bardzo awangardowi. A któżby śmiał narazić się mikrobiomowi! Niech kiszki grają triumfalnego marsza, już teraz wypada.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Ciastka owsiano-daktylowe

Może byłem zbyt złośliwy. Każdy dzień zaczynam od szorstkiej owsianki z kawałkiem jabłka i bywam ciągle zmuszony do luzowania paska z racji ogromnej ilości zjadanej fasoli, powinienem więc chyba nosić odznakę fibermaxxera. Płatków owsianych zresztą używam też do wielu „zdrowych” ciastek i deserów, chociaż w przypadku słodyczy nadal uważam biel czystej mąki i pochodnych za oznakę postępu i wyższej cywilizacji. Te ciastka tutaj są kompromisem – zawierają jedno i drugie.

SKŁADNIKI:
175 g stopionego masła 200 g brązowego cukru 80 g białego cukru 1 jajko 1 żółtko kropla ekstraktu waniliowego 250 g białej mąki 1,5 łyżeczki proszku do pieczenia 130 g płatków owsianych górskich 100 g drobno posiekanych daktyli

Ucieramy masło z cukrami, aż stanie się gładkie. Dodajemy jajko i żółtko, dalej ucieramy, dodajemy ekstrakt, potem stopniowo mąkę z proszkiem, dalej płatki i na sam koniec daktyle. Lepimy z masy kulki wielkości orzecha włoskiego, układamy na blasze wyłożonej papierem w dużych odstępach, pieczemy w 170 stopniach przez 15 do 17 minut, aż brzegi będą dobrze zrumienione, ale środek pozostanie jeszcze trochę wilgotny. ©℗



SUNNY FOREST / ADOBE STOCK

eprasa.pl df2b558170



ZMYSŁY

CO JEST GRANE

Zimowy wiatr na nowojorskim Broadwayu naprawdę daje w kość. W kolejce do Ed Sullivan Theater, neogotyckiej świątyni telewizji, od prawie dwóch godzin stoi dobre kilkaset osób. Wszyscy przemarznięci i coraz bardziej zmęczeni, ale perspektywa udziału w nagraniu „The Late Show" pomaga przetrwać niedogodności.

Program stacji CBS to jedna z żywych legend amerykańskiej popkultury. Podobnie jak „The Tonight Show", w którego nagraniu wezmę udział kilka dni później. W teorii bliźniacze, w praktyce różnią się od siebie jak Manhattan od Brooklynu.

Jest jednak coś, co je łączy – mają posprzątać bałagan zostawiony przez polityków i serwisy newsowe. Gdy nad Nowym Jorkiem zachodzi słońce, na scenę wchodzą komicy z *late night shows*, aby przetrawić informacyjny chaos i przemielić go w formę żartu, który pozwoli rozedrganemu narodowi zasnąć.

Dopóki Ameryka śmieje się ze swoich przywódców i siebie samej, dopóty nasza demokracja ma się całkiem nieźle. Przynajmniej tego wieczoru.

DAWID IWANIEC Z NOWEGO JORKU

eprasa.pl df2b558170



TODD OWYOUNG / NBC / GETTY IMAGES

The Tonight Show, gościnią Jimmy'ego Fallona była aktorka Margaret Qualley, 14 sierpnia 2025 r.

Tam, gdzie debiutowali Beatlesi

Kwadrans przed czwartą ochrona otwiera drzwi Ed Sullivan Theater i kolejka formuje się w nową kolejkę, tym razem w wąskim hallu. Reprezentacyjne wnętrze ze sklepieniami krzyżowo-żebrowymi, sztukateria z bogatą ornamentyką, ażurowe balustrady na klatkach schodowych – niezmieniony od stu lat wystrój był świadkiem ewolucji funkcji budynku od broadwayowskiego teatru, poprzez studio, w którym Beatlesi po raz pierwszy grali na żywo w amerykańskiej telewizji, aż po siedzibę „The Late Show".

Po wyjaśnieniu zasad i przebiegu nagrania obsługa zachęca do skorzystania z toalety. To dosłownie sikanie na zawołanie: kto nie skorzysta teraz, będzie musiał się zdać na silną wolę. Wychodzenie w trakcie nagrania to bilet w jedną stronę – gdy opuścisz salę, już na nią nie wrócisz, dlatego siedzisz, klaszczesz i choćby pękał ci pęcherz, trzymasz fason.

Tuż przed otwarciem drzwi na widownię jeszcze jedno przypomnienie: telefony mają zostać wyłączone, a najlepiej schowane głęboko do torebki lub kieszeni. W erze cyfrowego uzależnienia nagły detoks jest szokiem, ale – obok kilku godzin stania w kolejce – jedyną ceną za wstęp do świata, który zazwyczaj oglądasz na ekranie. W mieście, w którym wstęp do muzeum to wydatek kilkudziesięciu dolarów, bilet na musical kosztuje grubo ponad stówę, a wejście na mecz Knicksów drenuje konto jak rata kredytu, jedną z najlepszych atrakcji dostajesz za darmo. Walutą jest wyłącznie twoja obecność, cierpliwość i dobry humor.

Przeżyjmy to jeszcze raz

Kilka przecznic dalej *check-in* wygląda już zupełnie inaczej. Wchodzisz do wystawnego Rockefeller Plaza, potem stoisz maksymalnie godzinę, a następnie zapraszają cię po szerokich schodach do Peacock Lounge, gdzie zaczyna się przygoda z „The Tonight Show".

Atmosfera jak w eleganckim klubie: przyjemna muzyka, miękkie sofy, przygaszone światło i toalety bez limitu! NBC dba o to, by oczekiwanie na nagranie ich flagowego programu wieczornego było ekskluzywnym doświadczeniem, nawet jeśli docelowo w kadrze masz być tylko jednym z setek anonimowych uśmiechów.

W centrum sali wysoki na kilka metrów, podświetlony na niebiesko ekran z sylwetką gospodarza – Jimmiego Fallona. Po bokach miga kilkanaście kolejnych ekranów. Odtwarzana jest na nich historia programu: pojedynek na udawanie śpiewu z Emmą Stone, tiktokowe tańce z Charli D'Amelio, Barack Obama „jammujący" wiadomości – setki fragmentów z udziałem aktorów, sportowców, piosenkarek, polityków i celebrytów, którzy odwiedzili Fallona, odkąd w 2014 r. przejął po Jayu Leno prowadzenie kultowego programu.

W Ed Sullivan Theater montaż w stylu „greatest hits" jest znacznie skromniejszy – urywki ostrych monologów Colberta, skeczy i rozmów emitowane są na pojedynczym ekranie zawieszonym pod sufitem w rogu foyer. Skromniejsze nie oznacza, że mniej efektowne, bo grono gości, które przewinęło się przez „The Late Show", jest równie doborowe. Stojąc w kolejce uświadamiasz sobie, że nie tyle czekasz na nagranie programu, ile dołączasz do trwającego od dekad serialu o Ameryce.

Zapraszamy na kanapę

Serialu, który wystartował w połowie XX w., gdy stacje zaczęły eksperymentować z ramówką po wieczornych wiadomościach – od krótkich wywiadów i prostych scenek w „Broadway Open House", aż po większe, ustrukturyzowane produkcje. Wzorem stał się „The Tonight Show", który zadebiutował w 1954 r. i ukształtował kanon: żart otwierający, ironiczny monolog-komentarz do aktualności, gorące nazwiska gości i błyskotliwe rozmowy, a wszystko w rytm energicznej muzyki na żywo.

W 1962 r. stery programu przejął Johnny Carson, który prowadził show przez 30 lat. Przez studio przewinęło się w tym czasie kilkanaście tysięcy gości ze skrajnie różnych środowisk – od prezydenta Nixona, po Myrtle Young, kolekcjonerkę chipsów o kształcie przypominającym zwierzęta. Dla komików sofa w jego studiu stała się czymś w rodzaju przepustki do nieśmiertelności. ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ Gdy odwiedzający program usłyszeli od gospodarza magiczne: „Zapraszam na kanapę", wiedzieli, że następnego dnia będzie o nich mówić cały kraj. Tym jednym zdaniem Carson potrafił zrobić z nikomu nieznanych osób wielkie gwiazdy – tak było m.in. z Jerrym Seinfeldem czy Ellen DeGeneres.

Lata 80. i 90. to złota epoka. Widzowie zasypiali z Carsonem, później z Jayem Leno i Davidem Lettermanem, którzy wieczór po wieczorze wyznaczali granice tego, z czego wolno się śmiać. Listy „Top Ten" Lettermana (satyryczny ranking komentujący świat polityki, zachowanie celebrytów lub po prostu absurdy codzienności), surrealistyczna rubryka „Stupid Pet Tricks" (m.in. z psem grającym w koszykówkę czy świnią delektującą się miętówkami) – wszystko to trafiało następnego dnia razem z widzami do zatłoczonych wagonów metra i do stolików fast foodów w porze lunchu. Pojedyncze odcinki oglądało kilkanaście milionów ludzi. To na tę epokę przypadły „Late Night Wars" – legendarna wojna między „The Tonight Show" i „The Late Show". Gdy w 1992 r. Johnny Carson odchodził na emeryturę, David Letterman wydawał się być jego naturalnym następcą. NBC oddało jednak stery programu Jayowi Leno. Letterman poczuł się zdradzony. CBS zwęszyło okazję i powołało do życia „The Late Show" z Lettermanem, emitowane o tej samej godzinie co program Leno.

Medialna batalia najpierw o fotel prowadzącego, a następnie o widza, zelektryzowała Amerykę, napędzając oglądalność obu programom. Zakulisowe intrygi były jednym z najbardziej fascynujących rozdziałów w historii amerykańskiej telewizji, powstała inspirowana nimi książka, a potem film „Nocna zmiana" w reżyserii Betty Thomas (dziś do obejrzenia na HBO Max).

Donald Trump podaje dłoń

Gdy wraz z rozwojem internetu telewizja zaczęła tracić na znaczeniu, wydawało się, że także dla wieczornych show nadszedł zmierzch. Odbiorcy rozpierzchli się po platformach streamingowych i YouTubie. Ale wówczas pomocną dłoń podał telewizji Donald Trump. Krucjata prezydenta przeciwko prowadzącym, nasilona w drugiej kadencji, ponownie napędziła stacjom oglądalność.

Każdy atak prezydenta był jak darmowa kampania promocyjna. Najlepszym przykładem stał się niedawny, triumfalny powrót Jimmy'ego Kimmela, który obejrzało w telewizji ok. 6 mln widzów, a fragmenty – monolog o Trumpie i satyryczne „reklamy" jego firm – nabiły setki milionów odsłon w mediach społecznościowych.

Dziś w ogólnokrajowych ramówkach działa kilka klasycznych *late night shows* z widownią wahającą się między 1 a 3 mln na odcinek. „The Tonight Show", którego gospodarzem jest Jimmy Fallon, oraz prowadzony przez Stephena Colberta „The Late Show" należą do wielkiej trójki – uzupełnia ją nagrywany w Los Angeles i nadawany przez ABC program „Jimmy Kimmel Live!".

Według zapowiedzi stacji CBS dni „The Late Show" są już jednak policzone, program ma zostać wycofany z ramówki w maju. Oficjalnie – z przyczyn finansowych (wysokie koszty produkcji przy malejących wpływach z reklam). Nie brakuje jednak opinii, że decyzja została podyktowana krytyką Colberta pod adresem właściciela stacji za zawarcie wartej 16 mln dolarów ugody z Trumpem. Gdy prezydent USA w swoim stylu ogłosił zwycięstwo nad znienawidzonym „komikiem bez talentu", wymierzone w niego monologi Colberta znów przyciągnęły rekordową widownię.

Rozgrzewka i pięć minut sławy

Zanim na scenę wejdą główni bohaterowie, publiczność musi zostać urobiona. Wszak nie przyszła tu po to, aby się bawić – ma pracować. Nasz śmiech to ścieżka dźwiękowa, a entuzjazm – paliwo dla prowadzących. Wykreowaniu odpowiedniej atmosfery służy tzw. *warm-up*. To nie kurs „jak klaskać, kiedy zapali się napis »Aplauz«", ale doskonale przemyślana operacja psychologiczna przeprowadzana przez weteranów nowojorskiej komedii. U Fallona rządzi Seth Herzog.

Wpada na scenę jak kula energii, a następnie przechadza się po widowni, zaczepiając widzów. Herzog ma przy tym genialne wyczucie granicy, poza którą ktoś mógłby się poczuć urażony. Występ komika trwa około pół godziny i tyle w zupełności wystarcza, aby zamienić przypadkowy tłum nieznajomych w jeden zgodnie reagujący organizm.

U Colberta lody kruszy Paul Mecurio, były prawnik z Wall Street, który garnitur zamienił na mikrofon, a kodeksy na scenariusze dla „The Daily Show". Jest ostrzejszy, bardziej cyniczny, idealnie skrojony pod intelektualne ambicje programu. On także zaczepia widzów, a ci, którym poświęci swoją uwagę, powinni mieć sporo dystansu, co Mecurio bezbłędnie wyczuwa już po pierwszych sekundach rozmowy. Gdy przejdą test, w nagrodę zaprasza ich na scenę, dając im przysłowiowe pięć minut sławy.

Kazanie albo wiral

Gdy światła przygasają i rozbrzmiewa muzyka na żywo – u Fallona hiphopowe The Roots, u Colberta jazzujące combo Louisa Cato – wiadomo, że zbliża się moment kulminacyjny: monolog otwierający. Kilka, kilkanaście minut, podczas których gospodarz stoi sam na scenie, streszczając wydarzenia dnia. Monolog od początku był kręgosłupem *late night show*, a każdy z prowadzących miał na niego swój pomysł. Johnny Carson jednym żartem potrafił podsumować całą kampanię wyborczą. Gdy wybuchł skandal obyczajowy z Billem Clintonem, Jay Leno każdej nocy pytał: „Co prezydent porabiał dziś w pracy?".

Tego wieczoru w Ed Sullivan Theater Colbert bierze na celownik wybory na burmistrza Nowego Jorku. Żart goni żart, a obrywa się po równo wszystkim, także kandydatowi demokratów Zohranowi Mamdaniemu. U Fallona monolog z reguły jest lżejszy, zgodny z wizerunkiem wiecznego chłopca telewizji. Tu prędzej usłyszymy żart z nowej aplikacji czy kaprysu celebryty niż analizę wyroku Sądu Najwyższego. Kiedy u Colberta padają długie, gęste od odniesień zdania, u Fallona – krótkie pointy skrojone pod TikToka. Obie strategie mają sens. Jedna przypomina wieczorne kazanie, druga – serię wiralowych żartów.

Są jednak chwile, kiedy Ameryce wcale nie jest do śmiechu. Gospodarze *late night show* zrzucają wówczas maski komików i stają się jej sumieniem. To David Letterman po 11 września dał wyraz zbiorowej traumie, gdy łamiącym się głosem opowiadał o tym, co widział z okna, a Stephen Colbert w dobie politycznych wstrząsów, m.in. po ataku na Kapitol, stawał się moralnym kompasem. Jimmy Fallon z kolei z empatią komentował społeczne dramaty, od masowych strzelanin po ruch Black Lives Matter. W takich momentach ich głos nazywa najgłębsze emocje narodu, daje ukojenie i próbuje wskazać drogę.

eprasa.pl df2b558170



SCOTT KOWALCHYK / CBS / GETTY IMAGES

The Late Show, gościem Stephena Colberta był Bernie Saunders, 20 stycznia 2026 r.

Od rana do wieczora

Po monologu przychodzi czas na gości. Ich nazwiska są jak sejsmograf pokazujący, czym żyje Ameryka. „The Tonight Show" to popkulturowy kalejdoskop: premiery seriali, musicale, osobowości social mediów. Tego dnia w studiu pojawiają się Sarah Snook (gwiazda „Sukcesji"), komik Mikey Day, mistrz NASCAR Kyle Larson i portorykańska raperka Young Miko.

Rozmowy są szybkie, naskórkowe, nastawione na anegdotę. Fallon w przerwach żartuje z publicznością, jest „swój". To format tworzony z myślą o erze social mediów – dynamiczny, błyszczący, łatwy do pocięcia na krótkie klipy.

Colbert jest spadkobiercą dawnej szkoły: inteligencki, zakorzeniony w polityce, szukający kontekstu. Jego program to klasyczne dziennikarstwo, nawet jeśli podane z dużym przymrużeniem oka. Rozmowa z gościem przypomina wywiad z poważnego magazynu. Tego wieczoru jego gośćmi są była pierwsza dama Michelle Obama i legendarny wokalista Robert Plant.

Reakcja na pojawienie się Obamy przypominać musi tę, którą Plant obserwował podczas koncertów w latach świetności Led Zeppelin. Jest ekstatyczna, owacja na stojąco trwa kilka minut. Colbert pozwala jej wybrzmieć, bo wie, że w montażu i tak zostanie skrócona (ostatecznie trwać będzie rekordowo długą, jak na *show*, minutę). Reakcja to zresztą za mało powiedziane, to raczej polityczna demonstracja, bo widownia Colberta jest starsza, bardziej zaangażowana obywatelsko niż widownia Fallona.

Dane o oglądalności idealnie oddają zresztą różnice między Fallonem a Colbertem. W tradycyjnej telewizji ten drugi nokautuje konkurenta, przyciągając średnio 2,4 mln widzów każdego wieczoru. Fallon zostaje daleko w tyle z wynikiem około 1,2 mln. Tyle że telewizja to dziś tylko część statystyk. W internecie role się odwracają. Na YouTubie, Instagramie i TikToku to Fallon jest królem. Jego młodsza widownia konsumuje *late night show* rano, na smartfonie, przewijając gagi przy kawie. Colbert to wieczorny rytuał dla wiernych tradycyjnym mediom, Fallon – niekończąca się impreza w social mediach.

Świat nadal istnieje

No dobrze, ale dlaczego w ogóle warto stać w tych kolejkach, chodzić na komendę do toalety i dać się zamknąć w studiu bez telefonu? Bo *late night show* to rentgen Ameryki. Tutaj widać, co ją śmieszy, boli i dzieli. Siedząc w studiu, masz wrażenie, że dotykasz tego wszystkiego w sposób niemal intymny.

Widzisz, jak owacja dla byłej pierwszej damy zmienia się w sygnał wysyłany władzy, a śmiech z prezydenta staje się aktem obywatelskiego sprzeciwu. Żarty nie rozwiązują oczywiście problemów, ale pozwalają znieść ich ciężar. A dopóki Ameryka śmieje się ze swoich przywódców i z samej siebie, dopóty demokracja ma się nieźle.

Drugi powód jest taki, że po kilku godzinach bez telefonu naprawdę zaczynasz dostrzegać, że świat *offline* wciąż istnieje. Wracasz wieczorem do hotelu, miasto wciąż huczy, neony Times Square wypalają oczy, ale w głowie pobrzmiewa echo muzyki The Roots i Louisa Cato. Włączasz telewizor. Na ekranie widzisz ten sam program, w którym przed chwilą brałeś udział. Kamera przelatuje nad publicznością. Odruchowo szukasz siebie – potwierdzenia, że naprawdę byłeś częścią tego wszystkiego.

© DAWID IWANIEC

Autor jest reportażystą, w wydawnictwie Dowody ukazała się jego książka „Ogień wyszedł z lasu".

eprasa.pl df2b558170

TOMASZ

Stawiszyński: *O potrzebie wyobraźni*



Ostatnio wraca do mnie powtarzana przez Czesława Miłosza myśl: najbardziej charakterystyczną cechą współczesności jest atrofia wyobraźni religijnej. Przy czym nie należy jej automatycznie utożsamiać z konkretną religią. Miłosz szukał jej przecież między Scyllą scjentyzmu a Charybdą fundamentalistycznego, dosłownie interpretowanego chrześcijaństwa. W obu tych przypadkach rzeczywistość ogranicza się do bezalternatywnie zdefiniowanych formuł, w obu przypadkach staje się jednowymiarowa i pozbawiona tajemnicy.

Nieprzypadkowo „Ziemia Ulro", jedna z najciekawszych książek Miłosza, dziś aktualna jeszcze bardziej niż w chwili pierwodruku, to próba uchwycenia i opisania „przesilenia romantycznego", czyli momentu, w którym ów podział zaczął się kształtować. Nieco zapomnianymi mistrzami religijnej wyobraźni są tam William Blake i Emmanuel Swedenborg, nieortodoksyjni mistycy, którzy usiłowali (bezskutecznie) zapobiec rozparcelowaniu świata i człowieka na domenę rozumu i domenę wiary. Nie trzeba jednak szukać aż tak daleko. Tradycja chrześcijańska obfituje wszak w refleksję zdecydowanie przekraczającą horyzont dosłowności i politycznej militaryzacji. Filozofia zaś otwiera perspektywy znacznie szersze niż przesąd, jakoby to wyłącznie nauka dostarczać nam mogła odpowiedzi na istotne pytania.

Wszystko to mieści się, jak sądzę, w postulowanym przez Miłosza pojęciu „wyobraźni religijnej", która stara się symbolicznie objąć całość, nadać jej sens, a może raczej go w niej odnaleźć. W duchu Heraklita – sięgać dalej niż bezpośredniość i naoczność, bo jak słusznie zauważył ten starożytny nonkonformista: „harmonia niewidzialna od widzialnej silniejsza" (przeł. K. Mrówka). Niestety, tak rozumiana wyobraźnia faktycznie niemal wyparowała z kultury, a w każdym razie jest jej dziś z pewnością jeszcze mniej niż w 1977 r., kiedy ukazała się „Ziemia Ulro". Nieuchronnie zanika też refleksja na temat dobra i zła, pojęć w zasadzie nieużywanych i zapomnianych, a jeżeli używanych, to najwyżej w sensie czysto pragmatycznym.

Z tego ostatniego powodu wraca do mnie dictum Miłosza. Mam nieodparte wrażenie, że ubogie środki opisu – a zatem rozumienia – meandrów ludzkiego serca i ludzkiej duszy (celowo używam tych słów, nie zaś „sfery emocjonalnej" i „umysłu"), jakimi dziś dysponujemy, sprawiają, że na tle wcześniejszych epok nasze poznawcze możliwości okazują się w tych obszarach wyjątkowo ograniczone. Owszem, psychologia empiryczna, ewolucjonizm i neuronauki rozwinęły się imponująco – a to przecież dopiero początek. Dowiedzieliśmy się dzięki nim mnóstwo o budowie ludzkiego i nieludzkiego mózgu, o zależnościach w nich zachodzących, o reakcjach i predyspozycjach, które je cechują. Owszem, więcej wiemy też o zachowaniu jednostek i grup, a kontekst ewolucyjny rzuca coraz jaśniejsze światło na rozmaite, wcześniej zmitologizowane czy obudowane przesądami lub półprawdami aspekty zbiorowego życia.

Czy jednak, wyposażeni w te wszystkie instrumenty, jesteśmy dziś jakkolwiek bliżej odpowiedzi na pytanie o źródło zła? Czy w ogóle myślimy jeszcze takimi kategoriami? Czy neuronauka wnikająca głęboko w strukturę mózgu albo rewolucyjna humanistyka sprowadzająca złożoność ludzkiej natury do ekonomii oraz rozgrywek o władzę i dominację potrafią wiarygodnie wyjaśniać to, co dzieje się dookoła nas – i w nas? Czy potrafimy przekonać kolejne pokolenia wchodzące w dorosłość, że przemoc, przebiegłość i eksploatacja innych to ślepe uliczki, pomimo swojej ewidentnej uwodzicielskiej atrakcyjności i skuteczności? Czy umiemy odpowiedzieć na pytanie, dlaczego właściwie mielibyśmy odrzucać przemoc i kult jednostki, a wybierać kooperację? Albo dlaczego troska o słabszych jest wartością, skoro zewsząd słyszymy, że powinniśmy wciąż tylko się doskonalić, pomnażać swoje zasoby, budować „osobistą markę" i wygrywać? Dlaczego mielibyśmy rezygnować z dążenia do zysku na rzecz jakichś innych wartości? Czym są pokusy, złe uczynki, zatracenia, zwiedzenia? I co to właściwie dziś znaczy być dobrym człowiekiem? Nie: co to znaczy rozwijać się, realizować swój potencjał, wzmacniać się, spełniać marzenia albo dążyć konsekwentnie do celu – tylko co to znaczy być dobrym człowiekiem? W jaki sposób można nim dzisiaj być?

Bez wyobraźni, w tym także wyobraźni religijnej, nie sposób poruszać tych kwestii. Wiem, usłyszę zaraz, że wystarczy sięgnąć do bogatej współczesnej literatury z dziedziny etyki albo filozofii moralności, bo tam przecież poddaje się je wielorakim oglądom i badaniom. Istotnie, jest tak. Tyle że są to wypreparowane, laboratoryjne rozważania, które nie działają na zbiorowy umysł owładnięty szaleństwem mediów społecznościowych, ideologicznymi wojnami, pogonią za bogactwem, resentymentem podniesionym do rangi cnoty i wieloma innymi współczesnymi odmianami „opium ludu".

Żeby wyrwać nas z tego transu, potrzebny jest przekaz o stosownej skali, stosownym rozmachu, zdolny zadziałać na masy, przyćmić intensywnością – a przede wszystkim egzystencjalną prawdą – wszystkich współczesnych idoli razem wziętych. Czy jest to w ogóle dziś jeszcze do pomyślenia? Czy potrafimy sobie w ogóle coś takiego wyobrazić?
No właśnie – czy potrafimy to sobie wyobrazić? ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl df2b558170

78
Locarno Film Festival
OFICJALNA SELEKCJA

HISTORIĘ JUDASZA OPOWIADA

WOJCIECH MECWALDOWSKI

PAZ VEGA | JOHN SAVAGE | ABEL FERRARA | DARKO PERIC | TOMASZ KOT | RUPERT EVERETT

WERSJA JUDASZA

FILM GIULIO BASE



W KINACH OD 27 MARCA

W ROLACH GŁÓWNYCH **WOJCIECH MECWALDOWSKI, RUPERT EVERETT, TOMASZ KOT, PAZ VEGA, ABEL FERRARA, VINCENZO GALLUZZO, ADA RONCONE, DARKO PERIC** ORAZ **JOHN SAVAGE**SCENARIUSZ **GIULIO BASE**
ZDJĘCIA **GIUSEPPE RICCOBENE** DŹWIĘK **FRANCESCO SPADAFORA, GIANFRANCO TORTORA, MATEUSZ ADAMCZYK**
KOSTIUMY **PAOLA TOSTI** SCENOGRAFIA **GIANLUCA SALAMONE** ASYSTENT REŻYSERA **GIULIA ROSSI**
PRODUCENCI WYKONAWCZY **ALESSANDRO GIORDANO, EMANUELE NESPECA** MUZYKA **CHECCO PALLONE**
MONTAŻ **NATASCIA DI VITO (AMC)** PRODUKCJA **AGNUS DEI PRODUCTION I MINERVA PICTURES** WRAZ Z **RAI CINEMA**
KOPRODUKCJA **AGRESYWNA BANDA** ZREALIZOWANO PRZY WSPARCIU **MINISTERO DELLA CULTURA DIREZIONE GENERALE CINEMA**
PRZY WSPARCIU **REGIONU KALABRIA** ORAZ **CALABRIA FILM COMMISSION**
PRODUCENCI **ALESSANDRO LEONE, MARTA LEONE, TIZIANA ROCCA, SANTO VERSACE, GIANLUCA CURTI** REŻYSERIA **GIULIO BASE**

AGNUS DEI TIZIANA ROCCA PRODUCTION | MINERVA PICTURES | Rai Cinema | MiC | PIANO AZIONE COESIONE PAC | Calabria Film Commission

REKLAMA

eprasa.pl

WYPRZEDAŻ ROCZNIKA SUBARU CROSSTREK Z ATRAKCYJNYM FINANSOWANIEM

JUŻ OD 76 450 PLN BRUTTO W KREDYCIE 50/50*
LUB W ELASTYCZNYM LEASINGU



SZCZEGÓŁY U DEALERÓW
DEALERZY.SUBARU.PL

*Podmiotem finansującym jest Santander F24 S.A. Propozycja nie jest ofertą w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego. Decyzja o przyznaniu finansowania oraz warunki umowy zależą od wyniku badania zdolności kredytowej oraz oceny ryzyka kredytowego. Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) ustalona na dzień 23.12.2025 na podstawie reprezentatywnego przykładu dla samochodu Subaru Crosstrek o cenie 152 900,00 zł i przy udziale własnym klienta w wysokości 50% wynosi 2,05%, całkowita kwota pożyczki (bez kredytowanych kosztów) 76 450,00 zł, całkowita kwota do zapłaty 77 979,00 zł, oprocentowanie stałe 0%, całkowity koszt pożyczki 1 529,00 zł (w tym: prowizja stanowiąca 2 % całkowitej kwoty pożyczki, to jest 1 529,00 zł oraz odsetki 0 zł), umowa zawarta na okres 13 miesięcy, w 1 racie. Ubezpieczenie pojazdu w zakresie OC oraz Autocasco (wraz z ryzykiem kradzieży) jest obowiązkowe. Jego kosztu nie da się przewidzieć – nie został wliczony do RRSO. Obowiązuje wyłącznie dla samochodów z rocznika produkcji 2025. Liczba egzemplarzy ograniczona.

SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ **SUBARU SAFE8**

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**

8 LAT GWARANCJI SUBARU SAFE8

SUBARU

PARTNERZY SUBARU

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU
KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS
warta.
Santander Leasing
ENEOS MOTOR OIL
ERGO HESTIA
YOKOHAMA

REKLAMA

eprasa.pl df2b558170

BIELSKO-BIAŁA

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY „TP” 13/2026



PIERWSZA W HISTORII POLSKA STOLICA KULTURY 2026

REKLAMA

Banialuka
TEATR LALEK

1966 2026

15-20.05 2026

31. międzynarodowy festiwal sztuki lalkarskiej

international festival of puppetry art

Zeskanuj kod QR
i sprawdź program
Festiwalu

POLSKA STOLICA KULTURY

BB 2026 Bielsko-Biała Polska Stolica Kultury

eprasa.pl df2b558170

Z Bielskiem-Białą zaprzyjaźniłem się stosunkowo niedawno – i od pierwszego momentu miałem poczucie, że trafiłem w miejsce unikalne. Takie, które nie próbuje nikogo naśladować ani niczego udowadniać. Miasto o własnym rytmie, wyraźnym charakterze i niepowtarzalnej energii.

To właśnie ten zachwyt – nad nieoczywistą urodą miasta, nad jego wielowarstwową historią, nad intensywnością życia kulturalnego – stał się punktem wyjścia do pracy nad tym dodatkiem. Chcieliśmy uchwycić coś, co trudno opisać jednym zdaniem: szczególny rodzaj napięcia między tradycją a współczesnością, między lokalnością a otwartością, między tym, co oswojone, a tym, co dopiero się wydarza.

Tytuł Polskiej Stolicy Kultury 2026, który Bielsko-Biała otrzymało jako pierwsze miasto w historii, nie jest więc zaskoczeniem. Dla wielu osób – także tych, które z tym miastem są związane od lat – decyzja ta wydaje się oczywista. Bo jeśli przyjrzeć się bliżej temu, jak Bielsko myśli o kulturze i jak ją tworzy, na tle innych polskich miast wyróżnia się imponującą konsekwencją.

Kultura nie jest tu bowiem dodatkiem ani tylko jego ozdobą. Jest jednym z fundamentów – czymś, co kształtuje tożsamość i sposób działania. Widać to zarówno w historii, jak i we współczesności. Już w XIX wieku powstawały tu instytucje, które do dziś wyznaczają standardy życia kulturalnego, jak Teatr Miejski otwarty w 1890 r. Później pojawiały się kolejne ogniwa: Studio Filmów Rysunkowych, z którego wyrosły postaci tak szczególne dla całych pokoleń jak Bolek i Lolek czy Reksio, a także silne środowiska muzyczne, festiwale – i wiele innych inicjatyw, które razem tworzą tę gęstą sieć.

Ale równie ważni jak instytucje są ludzie i sposób, w jaki traktują sztukę – bo w zasadzie do tego sprowadza się ta opowieść. W rozmowach powraca ten sam motyw: partnerstwo, otwartość, gotowość do współpracy. Zbigniew Preisner mówi wprost, że w Bielsku spotyka ludzi naprawdę zainteresowanych sztuką – takich, którzy chcą z artystami pracować i traktują ich jak partnerów, a nie wykonawców zadań.

Ten dodatek pokazuje tylko wycinek tej rzeczywistości. Zebrane w nim teksty prowadzą przez najważniejsze wątki: historię miasta na styku różnych porządków – dawnego świata habsburskiego i galicyjskiego, przemysłowe dziedzictwo oraz dzisiejszą aktywność instytucji i środowisk twórczych. Jak zauważa Rafał Matyja, Bielsko-Biała od początku rozwijało się jako przestrzeń na przecięciu różnych tradycji i doświadczeń – i to właśnie ta złożoność stała się fundamentem jego dzisiejszej tożsamości.

Program Polskiej Stolicy Kultury 2026 jest naturalnym rozwinięciem tej historii. To nie pojedyncze wydarzenia, ale całościowa propozycja – rozpisany do końca roku kalendarz festiwali, wystaw, koncertów i projektów, który pokazuje skalę i ambicję miasta. Nawet nie próbuję go streszczać – dostępny jest online i to on najlepiej oddaje intensywność tego roku.

Ten dodatek to rodzaj przewodnika po logice miasta. Pokazuje, skąd bierze się jego pozycja i dlaczego właśnie tu kultura rozkwita z całą mocą. Zapraszam do lektury – i oczywiście do Polskiej Stolicy Kultury.

©℗ Michał Sowiński

4. Zaczyna się od ludzi
Rozmowa ze Zbigniewem Preisnerem

9. Stolica jazzu Marta Kula

12. Miejsce jak z bajki
Rozmowa z Patrykiem Oczką

17. Droga do nowoczesności
Michał Sowiński

18. Historia zaczyna się w lesie
Michał Sowiński

20. Za górami, za lasami
Zbigniew Rokita

22. Miasto w dobrej skali
Rozmowa z Rafałem Matyją

Wszystko o programie Polskiej Stolicy Kultury 2026 w Bielsku-Białej na stronie bb2026.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

BB 2026 Bielsko-Biała Polska Stolica Kultury

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 13/2026

REDAKCJA: Michał Sowiński
OPIEKA WYDAWNICZA: Michalina Kościelny
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
SKŁAD: Andrzej Leśniak
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Katarzyna Bułtowicz
KOREKTA: Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk



Na okładce fragment bramy wejściowej secesyjnej kamienicy „Pod Żabami", zbudowanej w 1903 r. Tu mieściła się znana bialska winiarnia, stąd architekt Emanuel Rost jr. umieścił nad łukiem wejścia dwie wesołe żaby we frakach, z fajką i mandoliną, wsparte o beczkę ze starym winem.

FOT. JAKUB DODEK / / ARCHIWUM UM BIELSKO-BIAŁA

eprasa.pl df2b558170



Zaczyna się od ludzi

ZBIGNIEW PREISNER, KOMPOZYTOR:

Kultura w Polsce nigdy nie była tylko dodatkiem do życia społecznego. Ona była jednym z jego fundamentów. I dobrze, że wciąż są miejsca, które o tym pamiętają. Takie jak Bielsko-Biała.

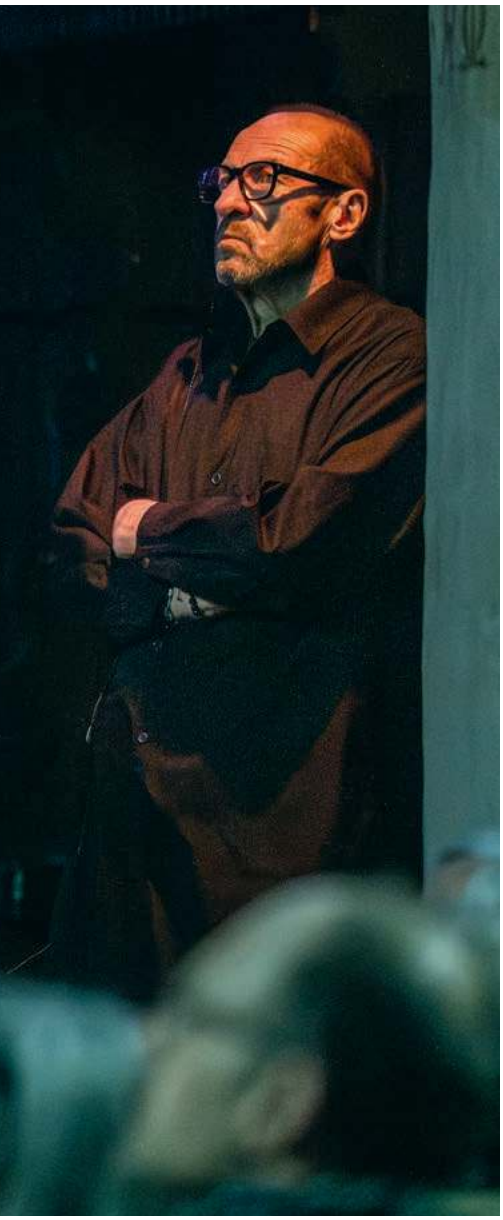
MICHAŁ SOWIŃSKI: Jakie Bielsko pamięta Pan z młodości?

ZBIGNIEW PREISNER: Kiedy mieszkałem w Bielsku w latach 50. i 60., było to oczywiście zupełnie inne miasto – wciąż naznaczone wojną. A jednak już wtedy miało w sobie coś wyjątkowego.

Mam do Bielska ogromny sentyment: tam się urodziłem i jestem jego honorowym obywatelem. Dziś wjeżdża się do niego jak do dużego, światowego miasta. Widać to choćby po liczbie instytucji i wydarzeń kulturalnych. Ale najważniejsi są ludzie – tacy, którzy naprawdę rozumieją sztukę, potrafią ją docenić i chcą z artystami współpracować. To robi ogromną różnicę.

Czasem mam wrażenie, że Polska dzieli się na dwie części – Bielsko-Białą i resztę kraju. Naprawdę. Kiedy spotykam tam ludzi – od prezydenta i wiceprezydentów

eprasa.pl df2b558170



LUCJUSZ CYKARSKI / BIELSKIE CENTRUM KULTURY

Na koncercie „Requiem dla mojego przyjaciela", w 30. rocznicę śmierci Krzysztofa Kieślowskiego. Bielsko-Biała, 13 marca 2026 r.

miasta, po osoby pracujące w Bielskim Centrum Kultury – często mam poczucie, jakbym był w trochę innej rzeczywistości. To miasto bardzo przyjazne sztuce, otwarte na artystów i nowe pomysły.

Na czym polega jego fenomen?

Myślę, że poniekąd wynika to z historii. Przed wojną część Bielska była niemiecka, miasto miało też silne związki z Austrią. Widać to choćby w dawnych inwestycjach infrastrukturalnych – kolejach czy tramwajach – które powstawały jako część tamtego świata. Być może znaczenie ma też fakt, że w regionie silna jest tradycja ewangelicka. To tworzy pewien etos: otwartość, odpowiedzialność za wspólnotę, gotowość do współpracy. Spotykam tam ludzi bardzo życzliwych i zaangażowanych.

To wciąż stosunkowo niewielkie miasto – położone zaledwie sto kilometrów od Krakowa – a pełne energii. W Bielsku powstała przecież Cavatina Hall, prawdopodobnie jedyna w Polsce duża sala koncertowa zbudowana z prywatnych pieniędzy. To świetny projekt: dobrze pomyślany, znakomicie wykonany i w świetnej lokalizacji – światowy poziom. Kiedy patrzy się na Kraków, gdzie w filharmonii podczas koncertów słychać przejeżdżające tramwaje, tym bardziej widać różnicę.

Dziś najciekawsze rzeczy w kulturze często powstają nie w największych metropoliach, lecz w miastach takich jak Bielsko-Biała.

I bardzo mnie to cieszy. Bo w takich miejscach widać, że po drugiej stronie są ludzie, którzy traktują kulturę poważnie. Artysta ma poczucie, że rozmawia z partnerem – z kimś, kto jest ciekawy nowych rzeczy, kto chce współpracować, kto rozumie, że sztuka jest ważna. A nie z kimś, kto patrzy z boku i zastanawia się, po co w ogóle artyści są potrzebni.

To ogromnie ważne. Jeśli spojrzymy na historię Polski, widać wyraźnie, jak ogromną rolę odgrywała kultura. W czasie zaborów to literatura i sztuka w dużej mierze podtrzymywały poczucie wspólnoty. Po II wojnie światowej było podobnie. Filmy Wajdy, poezja Herberta czy Miłosza, książki Konwickiego – to wszystko tworzyło przestrzeń wolnej myśli. W pewnym sensie przygotowało też społeczeństwo do przemian 1989 r.

Kultura w Polsce nigdy nie była tylko dodatkiem do życia społecznego. Ona była jednym z jego fundamentów. I dobrze, że wciąż są miejsca, które o tym pamiętają.

Coraz rzadziej traktujemy kulturę z należytą jej powagą?

Mówię oczywiście bardzo ogólnie, ale mam poczucie, że brakuje u nas wizji – zarówno wizji państwa, jak wizji kultury. Często myśli się o niej w bardzo prosty sposób: że trzeba po prostu dosypywać pieniądze. Tymczasem wystarczyłoby stworzyć dobre mechanizmy dla jej rozkwitu i funkcjonowania.

Prosty przykład: produkcja filmowa. W wielu krajach – choćby na Węgrzech czy w Bułgarii – istnieją ulgi podatkowe, które sprawiają, że wielkie produkcje przyjeżdżają właśnie tam. Dzięki temu kręci się mnóstwo filmów, a przy okazji zarabiają na tym całe regiony. We Francji z kolei często w napisach końcowych widzimy informację, że film jest współfinansowany przez konkretny region albo miasto. Te miejsca wiedzą, że promując sztukę, promują też siebie. Jeśli dobre kino pokazuje jakieś miasto, ludzie potem chcą je zobaczyć, przyjeżdżają, zostawiają pieniądze. Siła kultury polega także na tym. Ona potrafi zmieniać miejsca i sposób, w jaki są postrzegane.

W Polsce to nie działa?

Przykład ze Stevenem Spielbergiem. Zanim powstała „Lista Schindlera", spotkaliśmy się z nim w Paryżu razem z Krzysztofem Kieślowskim. Spielberg zastanawiał się wtedy, czy kręcić film w Krakowie, czy w Pradze. Kieślowski powiedział mu: jedź do Krakowa, zobacz Kazimierz. Pojechałem z nim. To był zupełnie inny Kazimierz niż dziś – właściwie pusty i zaniedbany. Na Szerokiej był chyba tylko posterunek policji. Spielberg zobaczył to miejsce i zdecydował się kręcić film właśnie tam. Wystarczy spojrzeć, co stało się z Kazimierzem po „Liście Schindlera". Dziś to jedno z najżywszych miejsc w Krakowie. Na tym polega siła sztuki. Jeśli się ją mądrze wykorzysta, potrafi zmieniać rzeczywistość. Wystarczy stworzyć warunki i nie przeszkadzać.

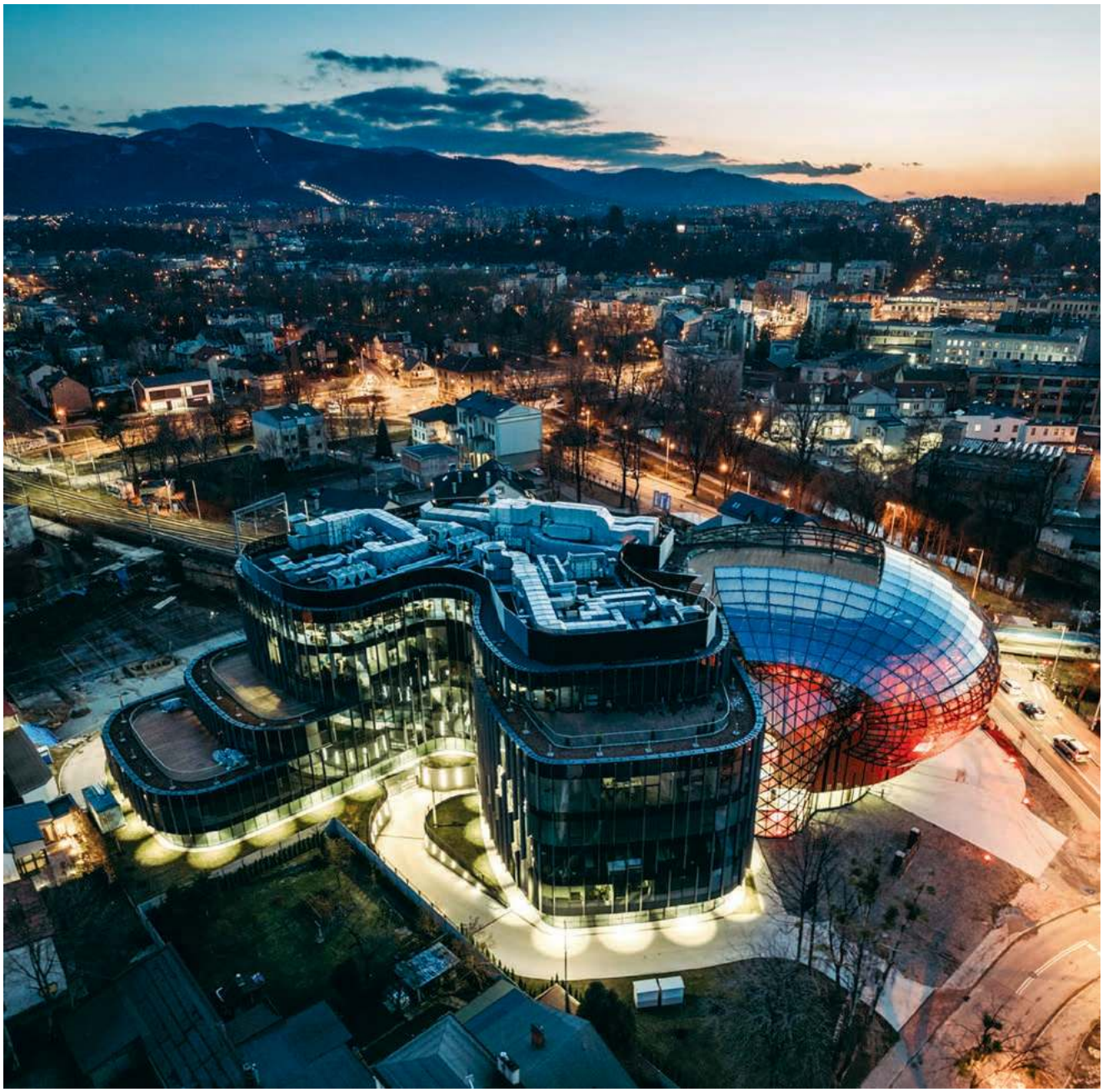
Czy Bielsko może doczekać się kiedyś swojego „momentu Spielberga" – wydarzenia albo inicjatywy, która rozsławi miasto w świecie kultury?

Nie wiem, czy stanie się to akurat w taki sposób. Ale właśnie z tego powodu robimy konkurs kompozytorski Preisner's Music Competition. Mam poczucie, że dostałem od życia bardzo dużo szczęścia – mogę robić to, co kocham. Dlatego też wydaje mi się, że moim obowiązkiem jest dziś pomóc młodym ludziom, którzy dopiero zaczynają swoją drogę.

Mają trudniej niż kiedyś?

Takie porównanie nie jest proste, ale jeśli spojrzeć historycznie, najlepsza sztuka w Polsce powstawała często w trudnych ↦

eprasa.pl df2b558170



MATERIAŁ PRASOWY CAVATINA HALL

Sala koncertowa Cavatina Hall w Bielsku-Białej

↦ czasach. W okresie PRL-u było w niej dużo napięcia, marzeń o wolności, potrzeby przekraczania granic. To rodziło ogromną energię twórczą. Pamiętam choćby rozmowy z Jerzym Turowiczem – przez wiele lat mieszkaliśmy obok siebie. W 1980 r., kiedy zaczęły się strajki w Gdańsku, spotykaliśmy się u niego i zastanawialiśmy się, czy to wszystko może się udać – no i ostatecznie się udało. M.in. dlatego, że wtedy w Polsce żyło wielu mądrych ludzi.

Myślę, że możemy się zgodzić, że w Krakowie było ich więcej.

Kraków był wtedy miejscem niezwykłym. Do kawiarni Vis-à-Vis przychodzili Konieczny, Demarczyk, Grechuta, Szczeklik, Nowosielski, Kantor – można było tam spotkać całe środowisko twórcze. W Piwnicy pod Baranami powstało coś absolutnie wyjątkowego – Piotr Skrzynecki stworzył miejsce, które wychowało całe pokolenia artystów. Myśmy tam w pewnym sensie żyli w innym świecie.

Był oczywiście komunizm, ale w Piwnicy się go nie czuło. Byliśmy – jak pisał Wyspiański – „własną wolą wyzwoleni". I z tego ducha rodziła się sztuka.

Właśnie dlatego powstał konkurs dla młodych kompozytorów?

Tak. Chodzi przede wszystkim o to, żeby dać młodym ludziom szansę. I muszę powiedzieć, że skala zainteresowania bardzo mnie zaskoczyła. Mamy już zgłoszenia z całego świata, a do końca naboru zostało jeszcze trochę czasu.

To też wielka zasługa Bielska, ten konkurs powstaje właśnie tam. Najpierw wybierzemy dziesięciu kompozytorów, a potem ich muzyka będzie wykonywana w Bielsku przez orkiestrę – z pełną realizacją, nagłośnieniem i profesjonalną reje-

eprasa.pl df2b558170



LUCJUSZ CYKARSKI / BIELSKIE CENTRUM KULTURY

„Requiem dla mojego przyjaciela", w 30. rocznicę śmierci Krzysztofa Kieślowskiego. Bielsko-Biała, 13 marca 2026 r.

stracją. Dajemy im realną możliwość zaprezentowania się.

Temat konkursu jest nietypowy.

W muzyce filmowej zazwyczaj komponuje się do gotowego obrazu. Tutaj nie ma filmu – jest punkt wyjścia w postaci motywu Wieży Babel, a konkretnie słynny obraz Pietera Bruegla.

Dlaczego akurat Wieża Babel?

Bo mam wrażenie, że dziś żyjemy w świecie, który ją przypomina. Ten motyw daje ogromne pole dla wyobraźni. Jeśli ktoś przyjrzy się obrazowi, zobaczy nie tylko samą wieżę, ale też ludzi, którzy gromadzą się wokół niej. Każdy z nich ma swoją historię. I od wyobraźni kompozytora zależy, jak tę historię opowie poprzez muzykę.

Dla zwycięzcy przewidziana jest nagroda w wysokości 25 tysięcy euro – dla młodego twórcy to naprawdę duże wsparcie. Dzisiejsze pokolenie ma znacznie trudniej niż my. Kiedy zaczynałem, płyty się sprzedawały, można było zarabiać, inwestować w sprzęt czy własne studio nagrań i budować niezależność.

Dziś wszystko wygląda inaczej. Sprzedaż płyt praktycznie zniknęła, muzyka przeniosła się na platformy cyfrowe, które płacą śmieszne pieniądze – nawet za milionowe odtworzenia. Jeśli ktoś ma prawa do nagrań i wydawnictwa, jeszcze jakoś funkcjonuje. Ale młodzi twórcy często oddają je producentom finansującym projekt.

Do tego dochodzi jeszcze jeden problem – sztuczna inteligencja. Już dziś można w kilka sekund wygenerować muzykę „w stylu" konkretnego kompozytora. Sam z ciekawości sprawdzałem, jak to działa. Wpisałem – stwórz utwór w stylu Preisnera.

I jakie było Pana wrażenie?

Nie byłem szczególnie zaskoczony, bo to nie jest żadna „inteligencja", tylko zestaw algorytmów. One potrafią przetwarzać to, co już istnieje, ale nie stworzą nic naprawdę nowego. Myślę, że przez kilka najbliższych lat świat kultury będzie się tym fascynował. Potem emocje opadną i wszystko wróci do pewnej równowagi.

W wielu dziedzinach – np. w medycynie – takie narzędzia mogą być bardzo pomocne. W sztuce jednak ostatecznie liczy się coś innego. Potrzebna jest wyobraźnia, doświadczenie, emocje. Algorytm może złożyć coś z elementów, które już istnieją – trochę z Morricone, trochę z Williamsa, trochę z innych kompozytorów – ale prawdziwej twórczości nie da się w ten sposób zastąpić.

Czego będzie Pan szukał w pracach młodych kompozytorów startujących w konkursie?

Jak już mówiłem – chcę przede wszystkim dać im realną szansę pokazania swojej muzyki. Wykonanie utworu przez orkiestrę, profesjonalne nagranie to dla młodego twórcy często pierwszy moment, kiedy muzyka naprawdę zaczyna żyć – nie na papierze, ale w dźwięku. W jury są ludzie, którzy świetnie rozumieją muzykę filmową i szerzej – kulturę: Lisa Gerrard, Fernando Trueba, Michel Duval i Matthew Sweet z BBC. Mam nadzieję, że dzięki temu ocena będzie możliwie rzetelna, a uczestnicy będą mogli pokazać się przed ważnymi osobami ze środowiska. ↦

eprasa.pl df2b558170



PAWEŁ SOWA / UM W BIELSKU-BIAŁEJ

PREISNER'S MUSIC COMPETITION
to międzynarodowy konkurs dla młodych kompozytorów muzyki filmowej, którego finał odbędzie się w Bielsku-Białej. Nabór trwa do 31 marca 2026 r., a wyniki pierwszego etapu zostaną ogłoszone 1 maja, drugi zaplanowano między 24 a 26 czerwca, a finałowy koncert – 27 czerwca 2026 r. Uczestnicy przygotowują autorskie kompozycje inspirowane motywem Wieży Babel na podstawie obrazu Bruegla. Spośród zgłoszeń wyłoniona zostanie finałowa dziesiątka, której utwory zabrzmią podczas koncertu z udziałem orkiestry i zostaną zarejestrowane. Zwycięzca otrzyma nagrodę główną w wysokości 25 tysięcy euro. Konkurs zainicjował Zbigniew Preisner (obok na zdjęciu), który jest również członkiem jury – obok Lisy Gerrard, Fernanda Trueby, Michela Duvala i Matthew Sweeta (BBC). Więcej informacji na **preisnercompetition.com**

↦ Czy to wystarczy, żeby zrobić karierę? Tego nikt nie zagwarantuje. Ale na pewno może być dobrym początkiem.

13 marca w Bielsku odbył się koncert „Requiem dla mojego przyjaciela", w trzydziestą rocznicę śmierci Krzysztofa Kieślowskiego. Jakie to było dla Pana doświadczenie po tylu latach?

Bardzo mocne. Przypomniały mi się wszystkie dni między śmiercią Krzysztofa a jego pogrzebem – wtedy właśnie powstawało „Requiem for My Friend". Wszystkie wspomnienia wróciły.

Kieślowski wciąż jest na świecie bardzo obecny. Odbywają się wykłady i spotkania poświęcone jego twórczości, są retrospektywy filmów – w Paryżu, w Londynie, na uniwersytetach w USA. Tym bardziej zastanawia mnie, że w Polsce 30. rocznica jego śmierci przeszła właściwie bez większego echa w mediach. Mam czasem wrażenie, że w naszym kraju nie zawsze potrafimy docenić własnych twórców. A przecież to właśnie kultura zostaje na dłużej niż polityka czy bieżące wydarzenia. Politycy się zmieniają, kolejne kadencje mijają, a dzieła artystów po latach wciąż są czytane, oglądane i słuchane.

Po 30 latach wciąż czuje Pan siłę „Requiem"?

Tak. To moje bardzo osobiste pożegnanie z Krzysztofem. I, jak widać, ta muzyka wciąż jest ludziom potrzebna. Dlatego koncert w Bielsku był ogromnym przeżyciem. Panowała absolutna cisza, wielkie skupienie. Czuło się emocje na sali. Były dwa wykonania, a później także transmisja. Widać było, jak mocno ta muzyka działa na ludzi.

Zresztą „Lacrimosa" z „Requiem for My Friend" jest dziś jednym z najbardziej rozpoznawalnych utworów tego typu na świecie. Sięgają po nią różni reżyserzy – od Terrence'a Malicka po Paola Sorrentino. Widzę też, jak wielu ludzi słucha tej muzyki w internecie i jak reagują po koncertach. To znaczy, że ona wciąż trafia i jest potrzebna.

Na koniec wróćmy jeszcze do Bielska. Jakie obrazy z tego miasta wracają do Pana najczęściej?

Przede wszystkim dzieciństwo: szkoła, koledzy, podchody, budowanie szałasów, jazda na rowerze. Pamiętam tramwaj do Cygańskiego Lasu, skocznię narciarską, na której kiedyś się potłukłem, i rzekę Białą, która potrafiła mieć zupełnie niezwykłe kolory, gdy z fabryk spuszczano wodę. To było też miasto wielu kultur. W naszej szkole było sporo dzieci greckich imigrantów, którzy trafili do Polski po wojnie. Ta różnorodność tworzyła szczególną atmosferę.

Dzisiaj Bielsko-Biała wygląda zupełnie inaczej – jest nowoczesne, zadbane, dobrze zaprojektowane urbanistycznie. Widać ogrom pracy włożonej w rozwój miasta, dlatego właśnie pojawia się ochota, żeby robić tam nowe rzeczy. Pomysł konkursu też narodził się po prostu z rozmowy o tym, co można wspólnie stworzyć. I bardzo się cieszę, że dzieje się to właśnie w moim Bielsku. Bo to miasto, z którym naprawdę warto coś budować.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

ZBIGNIEW PREISNER (ur. 1955 w Bielsku-Białej) – kompozytor muzyki filmowej i teatralnej, a także producent muzyczny. Właściciel Preisner Studio, członek Francuskiej Akademii Sztuki i Techniki Filmowej. Autor m.in. muzyki do filmów „Podwójne życie Weroniki" i trylogii „Trzy kolory", laureat dwóch Cezarów, a także nagród na festiwalach w Berlinie i Los Angeles.

eprasa.pl df2b558170



PAWEŁ SOWA / WYDZIAŁ PRASOWY UM BIELSKO-BIAŁA

Dave Holland i Lionel Loueke, 2026 r.

Stolica jazzu

MARTA KULA

Jeśli ma być blisko ludzi, powinien stać się elementem codziennego życia. Tylko wtedy jazz może naprawdę wyznaczać rytm życia miasta.

Podróż przez Polskę śladami jej jazzowej historii zaprowadzi nas w różne miejsca. Wszystko zależy od tego, jaki klucz zwiedzania przyjmiemy. W poszukiwaniu przeszłości warto udać się do Krakowa albo wybrać odwrotny kierunek i – jadąc do Sopotu – przypomnieć sobie o legendarnym Ogólnopolskim Festiwalu Muzyki Jazzowej z 1956 roku. Jeśli interesują nas jazzowe biografie, przystankiem obowiązkowym jest Poznań – miejsce urodzenia Krzysztofa Komedy, lub Rzeszów, gdzie na świat przyszedł Tomasz Stańko. Dla wielu melomanów polski jazz najlepiej brzmi nad Odrą, inni poszukują koncertów na światowym poziomie w stolicy. A co, jeśli powiem Państwu, że w 2026 roku stolicą polskiego jazzu jest Bielsko-Biała? Bo gdy patrząc na mapę Polski szukamy zarówno jazzowej historii, jak i przyszłości tej muzyki, to znajdziemy ją właśnie tam.

Po pierwsze: edukacja

Nieocenioną rolę w wychowaniu kolejnych pokoleń muzyków jazzowych odgrywa, obchodząca w 2026 roku swoje 80-lecie, bielska szkoła muzyczna. Absolwentami Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. S. Moniuszki są najbardziej cenieni muzycy jazzowi młodego pokolenia, a wśród nich między innymi: Tymon Kosma (wibrafon), Marta Wajdzik (saksofon altowy i sopranowy), Jan Pieniążek (perkusja) czy Hania Derej (fortepian). Stoją oni jednak na ramionach swoich wielkich poprzedników. Początki jazzu w „bielskim Muzyku" to bowiem lata 60., kiedy ówczesny dyrektor szkoły, Kazimierz Duda, postanowił wprowadzić do programu edukacyjnego jazz jako nową formę zespołowego muzykowania.

Wtedy swój pierwszy kwartet stworzył dziś już legendarny dyrygent, kompozytor i aranżer, a wówczas jeden z uczniów szkoły – Andrzej Zubek. Zespół występował w składzie: Andrzej Zubek – fortepian, Bronisław Skawina – trąbka, Bronisław Suchanek – kontrabas, Kazimierz Jonkisz – perkusja, a opiekunem przedsięwzięcia był wspomniany dyrektor szkoły, Kazimierz Duda. W owej dekadzie funkcjonował w Polsce jeden, główny konkurs jazzowy, na którym warto było się pokazać. Sukces na nim oznaczał szybką drogę do kariery i kwartet ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ Andrzeja Zubka postanowił spróbować swoich sił. W 1967 roku na IV Krajowym Festiwalu Zespołów i Wokalistów Jazzowych „Jazz nad Odrą" zespół otrzymał wyróżnienie i został okrzyknięty „rewelacją" ówczesnej edycji.

Był to początek fascynującej drogi artystycznej każdego z muzyków tworzących tę grupę i ważny sygnał dla bielskiego środowiska jazzowego. Historia zatoczyła także symboliczne koło: dziś konkursów jazzowych w Polsce jest znacznie więcej, a jednym z kluczowych jest ten odbywający się w Bielsku-Białej, w ramach Bielskiej Zadymki Jazzowej. Przewodniczącym obrad jury Konkursu im. Jana Ptaszyna Wróblewskiego od kilku lat jest właśnie Andrzej Zubek.



ANDRZEJ GRYGIEL / PAP

Wynton Marsalis podczas uroczystego odsłonięcia instalacji przestrzennej Rondo Jazzu z okazji 23. Bielskiej Zadymki Jazzowej, 25 czerwca 2021 r.

Jazzowa symbioza

Rok 2026 to nie tylko rok jubileuszu 80-lecia bielskiej szkoły muzycznej, lecz także 28. edycji kultowej Bielskiej Zadymki Jazzowej. Twórcy tego festiwalu to absolwenci szkoły muzycznej, a część z nich zasila dzisiejsze grono pedagogiczne placówki. Nie da się dobitniej pokazać, jak kluczową rolę w życiu kulturalnym miasta odgrywa edukacja muzyczna. Ale dobrze prowadzona edukacja to nie jedyny element, który składa się na sukces Bielska-Białej jako Polskiej Stolicy Kultury. Innym ważnym elementem jest tworzenie przestrzeni dla rozwoju artystycznego poza szkołą. Taką funkcję, między innymi, pełni właśnie ten festiwal, którego nieodłączną częścią są *jam sessions*.

Każde *jam session* to okazja dla uczniów szkoły muzycznej do tego, by znaleźć się na scenie z najlepszymi muzykami jazzowymi z Polski i ze świata. To działanie, które sprawia, że kultura staje się dostępna i na wyciągnięcie ręki. Młodzi muzycy nie muszą wyjeżdżać do Warszawy, Londynu czy Nowego Jorku, by na etapie szkolnej edukacji spróbować swoich sił w improwizacji. Dodatkowo, nieodłącznym elementem Zadymki jest także Festiwalowa Scena Promocji, czyli koncerty młodych muzyków organizowane w różnych nieoczywistych przestrzeniach miasta, jak galeria handlowa. Dzięki temu uczniowie szkoły muzycznej mogą pokazać się szerokiej publiczności, wychodząc ze swoją muzyką do mieszkańców Bielska-Białej.

Zresztą to jedno z podstawowych założeń Zadymki: mianowicie jazz ma być blisko ludzi, ma stać się elementem życia codziennego mieszkańców. Efekty widzimy dosłownie na ulicach: 25 czerwca 2021 roku w ramach 23. edycji imprezy odbyło się uroczyste odsłonięcie instalacji przestrzennej symbolizującej jazz na nowo powstałym Rondzie Bielskiego Jazzu w centrum miasta. W odsłonięciu ważącej 1,4 tony instalacji brał udział światowej sławy trębacz, Wynton Marsalis – wówczas artysta rezydent 23. edycji festiwalu. Takich momentów w przeciągu 28-letniej historii Zadymki było znacznie więcej, bo do Bielska-Białej przyjeżdżały i przyjeżdżają wciąż największe gwiazdy światowego jazzu. Richard Galliano, Terence Blanchard, Charlie Haden, Wayne Shorter, Dee Dee Bridgewater, Ahmad Jamal, Pat Metheny, Dave Holland, Herbie Hancock, Esperanza Spalding... to tylko niektóre nazwiska z bardzo długiej listy, składającej się na imponującą historię festiwalu.

Warto dodać, że organizatorzy bardzo pilnują, by w napiętym grafiku największych festiwalowych gwiazd zawsze znalazło się miejsce na przeprowadzenie warsztatów dla uczniów bielskiej szkoły muzycznej podczas każdej zadymkowej edycji. Uczniowie za to z własnej woli odwdzięczają się organizatorom, działając przy festiwalu jako wolontariusze. Ich pomoc jest nieoceniona, tym bardziej że od kilku już lat Zadymka podzieliła swoje działania na dwie części, tworząc zimową i letnią odsłonę festiwalu. Pracy jest zatem dużo.

Co więcej, coraz częściej działania festiwalowe wychodzą także poza Bielsko-Białą. Każdej zimowej edycji przyświeca bowiem hasło „Śląsk z góry na dół", czyli cykl koncertów organizowanych w unikatowych miejscach regionu. Zimowe edycje Zadymki rozpoczynają się 320 metrów pod ziemią, w historycznej Kopalni Guido w Zabrzu, a kończą na wysokości 1028 metrów nad poziomem morza, koncertem w schronisku na Szyndzielni. W tym roku wśród artystów, którzy wystąpili w tych nietypowych lokalizacjach, znaleźli się Maciej Kądziela, Natalia Kordiak, Czesław Mozil i Paulina Przybysz, a także zespół Veeble.

Kluby

Podstawą funkcjonowania festiwalu jazzowego są jednak kluby jazzowe, a Bielsko-Biała ma długą i ciekawą historię tego typu przybytków. Skupiając się na okresie powojennym, opowieść o jazzowych klubach miasta należy zacząć od przełomu lat 60. i 70., kiedy do Bielska-Białej z koncertami przyjeżdżali Tomasz Stańko, Mieczysław Kosz czy Zbigniew Seifert. Grali wówczas w klubie Merkury (MHD) przy ulicy Barlickiego. Innym miejscem, gdzie również odbywały się koncerty, był klub Banialuka. Były to jednak sytuacje okazjonalne. Prawdziwą historię jazzowych klubów w Bielsku rozpoczął miłośnik muzyki improwizowanej, Jerzy Rocławski.

Już w szkole średniej zainteresował się jazzem, choć droga do tej miłości pro-

eprasa.pl df2b558170

wadziła przez płyty Czesława Niemena. Jako dwudziestoletni chłopak jeździł do stolicy i chłonął koncerty na Jazz Jamboree oraz nocne *jam sessions* w warszawskich klubach. Ta atmosfera na tyle go wciągnęła, że postanowił przenieść te odczucia z Warszawy do Bielska-Białej. W 1977 roku stworzył miejsce, którego początkowym założeniem było wspólne słuchanie płyt. Klub ten nazwał Piątawka, po części od tytułu utworu Zbigniewa Namysłowskiego, a po części dlatego, że to właśnie w piątki, o godzinie piątej po południu, całkiem pokaźne grono miłośników muzyki zbierało się, by razem słuchać nagrań Milesa Davisa, Johna Coltrane'a czy Charliego Parkera.

Początkowo robili to w siedzibie WSS „Społem" na Placu Wolności, a po dwóch latach takich spotkań Piątawka przeniosła się do gmachu Spółdzielni Mieszkaniowej „Strzecha" na rogu ulic Cieszyńskiej i Jesionowej. Działania klubu cieszyły się coraz większą popularnością, wokół Piątawki zaczęło tworzyć się określone środowisko. Wymieniali się płytami, rozmawiali o jazzie, słuchali i chcieli więcej. W 1979 roku w Piątawce odbył się pierwszy koncert – wystąpiła wówczas Grażyna Łobaszewska z zespołem Crash. Dało to początek legendarnym koncertom – na przestrzeni lat w Piątawce występowali między innymi: Ewa Bem, Tomasz Stańko, Andrzej Zaucha, Stanisław Sojka, zespół Laboratorium, ale także Maanam czy Dżem, słowem – miejsce stało się kultowe i ponadgatunkowe. Piątawkę w swoich audycjach „Trzy kwadranse jazzu" chwalił Jan Ptaszyn Wróblewski, doceniając, że bielski jazz trafił pod „Strzechę".

W latach 90. kultowym miejscem dla bielskiego jazzu stała się Piwnica Zamkowa, w której spotykała się cała bohema artystyczna miasta. Inspiracje krakowską Piwnicą Pod Baranami były ewidentne – do tego stopnia, że pierwszy koncert promujący ideę powstania Piwnicy Zamkowej odbył się 15 grudnia 1996 roku w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej z udziałem specjalnego gościa, Piotra Skrzyneckiego. Ostatecznie lokal otwarto w 1998 roku i to właśnie tam, na fali twórczej atmosfery wieczorków towarzyskich, narodził się pomysł stworzenia Bielskiej Zadymki.

Wiązało się to z działalnością Stowarzyszenia Sztuka-Teatr, które swoją siedzibę miało właśnie w Piwnicy Zamkowej. Jerzy Batycki, prezes zarządu i aktor z wykształcenia, powołał je do życia po to, by rozwijać życie teatralne miasta, jednak siła i potencjał bielskiego środowiska jazzowego były na tyle inspirujące, że po dziś dzień zamiast tworzyć spektakle teatralne, Stowarzyszenie Sztuka-Teatr zajmuje się organizacją festiwalu. Jerzy Batycki pozostaje jego dyrektorem i dobrym duchem. Początkowo Bielska Zadymka Jazzowa była związana z Piwnicą Zamkową; to tam w pierwszych latach festiwalu spotykały się najważniejsze nazwiska polskiego jazzu (między innymi Jan Ptaszyn Wróblewski, tak blisko z Zadymką związany).

> W latach 90. kultowym miejscem bielskiego jazzu była Piwnica Zamkowa – przestrzeń spotkań artystycznej bohemy. To tam, w twórczej atmosferze, narodził się pomysł Bielskiej Zadymki.

Z czasem drogi Stowarzyszenia i Piwnicy Zamkowej się rozeszły, ale sztuka nie znosi próżni. Klubowa mapa Bielska-Białej w XXI wieku zaczęła być bardziej zróżnicowana i – z uwagi na trudności rynkowe – chwiejna, ale powstało kilka miejsc, które wyraźnie zaznaczyły się na jazzowej mapie miasta. Przede wszystkim wymienić należy Metrum Jazz Club. Ten elegancki lokal powstał w 2016 roku w odrestaurowanym, XIX-wiecznym budynku, będącym kiedyś częścią kompleksu fabryczno-willowego należącego do Adolfa Manhardta i Ferdynanda Hahnela. Pierwszy koncert w klubie Metrum (od początku zaprzyjaźnionym z Zadymką) zagrał Jan Ptaszyn Wróblewski ze swoim kwartetem, symbolicznie nawiązując do początków Bielskiej Zadymki Jazzowej w Piwnicy Zamkowej. Po 9 latach i ta historia musiała się jednak zakończyć – w 2025 roku właściciele, Bogna i Marian Kozłowscy, poinformowali o zamknięciu klubu. Tegoroczna edycja Zadymki stara się wypełnić tę lukę i klub festiwalowy umieszcza w lokalu z ponad 130-letnią historią (a takich zabytków w Bielsku-Białej przecież nie brakuje). Patria – niegdyś Cafe Bauer, a jeszcze wcześniej Cafe de l'Europe – to klub przypominający o przedwojennych tradycjach dancingowych, nieodłącznie związanych z brzmieniem jazzu tradycyjnego.

Nie jeden, a dwa festiwale

Tomasz Stańko pojawiał się w Bielsku-Białej niejednokrotnie, poczynając już od końca lat 60. i koncertów w klubie Merkury, aż po udział w pierwszej edycji Bielskiej Zadymki w 1999 roku. Z początkiem XXI stulecia zaś legendarny trębacz otrzymał propozycję organizowania festiwalu jazzowego w Bielsku-Białej, na którą to propozycję przystał, proponując zupełnie inny profil muzyczny.

Bielska Jesień Jazzowa skupiona jest przede wszystkim na europejskich tradycjach jazzowych, bogatym katalogu wytwórni ECM, a także nowych formach wyrazu z pogranicza jazzu, muzyki eksperymentalnej i współczesnej. Program festiwalu współgra z artystyczną filozofią mistrza Stańki i proponuje występy takich muzyków jak Raphael Rogiński, Shai Maestro, Joe Lovano czy Maria Schneider. Od 2018 roku, po śmierci kompozytora, festiwal nosi jego imię. Bielska Jesień Jazzowa i Bielska Zadymka Jazzowa doskonale się uzupełniają, a dopiero udział w obu wydarzeniach daje pełne wyobrażenie o tym, czym jest ta muzyka dzisiaj.

Jazz jest stałym elementem krajobrazu kulturowego Bielska-Białej. W ramach wydarzeń zaplanowanych wokół Polskiej Stolicy Kultury organizatorzy wzięli to pod uwagę, planując szereg aktywności związanych z bielską sceną jazzową. Wśród nich między innymi letnia odsłona Zadymki. Wszystkich miłośników muzyki improwizowanej i różnych jej oblicz, chcących odkrywać najciekawsze nazwiska młodych artystek i artystów, ale też posłuchać największych mistrzów światowego jazzu, zachęcam do odwiedzenia Polskiej Stolicy Kultury 2026 roku i spędzenia wartościowego czasu z muzyką w Bielsku-Białej. © MARTA KULA

Autorka jest dziennikarką Radia 357

eprasa.pl df2b558170



NIZIO DESIGN

Interaktywne Centrum Bajki i Animacji OKO w Bielsku-Białej łączy zabytkową Willę Rotha z nowoczesnym pawilonem wystawienniczym

Miejsce jak z bajki

PATRYK OCZKO, HISTORYK SZTUKI:

Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej testowało różnych bohaterów: profesora Filutka, Koziołka Matołka, gąskę Balbinkę. Nikt jednak nie mógł się mierzyć z Bolkiem i Lolkiem.

BEATA CHOMĄTOWSKA: Oglądał Pan w dzieciństwie kreskówki z bielskiej wytwórni?

PATRYK OCZKO: Oczywiście. W tamtym czasie w ramach „Dobranocki" emitowane były np. „Podróże kapitana Klipera". Ale musiały się pojawiać i serie wcześniejsze, bo mam np. wrażenie, że „Wyprawę profesora Gąbki" znam od zawsze. I uwielbiam. Choć dziś ta lista ulubionych jest długa. Miałem też doświadczenie, które chyba można nazwać pokoleniowym, czyli szkolny wyjazd na pokazy w Studiu Filmów Rysunkowych. Wtedy wszyscy tam jeździli.

Zazdroszczę! To chyba bardziej doświadczenie dzieci z rejonu Bielska-Białej. U nas w Krakowie były raczej wyjazdy do kopalni w Wieliczce.

No tak, możliwe – pochodzę z tamtych okolic.

A kiedy pojawił się pomysł napisania monografii pokazującej historię i dorobek bielskiego Studia?

Jestem historykiem sztuki, interesowałem się naukowo środowiskiem bielskich artystów plastyków. Stopniowo ten temat zaczął mi się łączyć w jedną historię ze środowiskiem tamtejszych filmowców, choćby poprzez osobę Jerzego Zitzmana, malarza, scenografa, twórcy i wieloletniego dyrektora Teatru Lalek Banialuka w Bielsku-Białej, który stworzył w bielskim Studio 21 filmów animowanych, głównie wycinankowych. Potem odkryłem, że twórcami opracowań plastycznych do filmów byli i inni znakomici artyści, tacy jak np. Eryk Lipiński czy Jerzy Srokowski. Temat Studia Filmów Rysunkowych całkowicie mnie wciągnął. Z tej fascynacji wpierw powstał doktorat, a potem wspomniana książka.

Zatytułowana „Nie tylko dla dzieci", a więc akcentująca inne aspekty działania bielskiej wytwórni niż te, z którymi najbardziej ją kojarzymy.

Moje pojmowanie działalności bielskiego Studia też długo było dość stereotypowe, chyba jak u każdego, kto ma z nim wspomnienia z dzieciństwa. Dopiero gdy zacząłem świadomie interesować się sztuką, odkryłem inne, równorzędne płaszczyzny jego działalności. Bo choć najbardziej znane jest właśnie z serii rysunkowych, równolegle powstawały w nim też filmy artystyczne, przeznaczone dla dorosłych widzów. Przede wszystkim filmy wycinankowe.

Na czym polegała ta technika?

W dużym skrócie: animacja rysunkowa jest bardzo pracochłonna, wycinankowa zdecydowanie mniej. Co nie oznacza jednak, że jest łatwiejsza. Na jedną sekundę filmu animowanego przypadają 24 klatki taśmy filmowej. W wycinance zamiast setek malowanych celuloidowych plansz operator wykonywał zdjęcia

eprasa.pl df2b558170



STUDIO FILMÓW RYSUNKOWYCH

„Wielka podróż Bolka i Lolka”, 1977, reż. Władysław Nehrebecki, Stanisław Düiz



STUDIO FILMÓW RYSUNKOWYCH

„Makatka V”, 1978, reż. Andrzej Czeczot



STUDIO FILMÓW RYSUNKOWYCH

„Reksio Kompozytor”, 1979 r., reż. Józef Ćwiertnia, oprac. plast. Lechosław Marszałek

wycinankowych bohaterów bezpośrednio animowanych pod kamerą. W ten sposób w procesie produkcji nie musiał uczestniczyć cały sztab pracowników wytwórni – przede wszystkim animatorów i fazistów. W procesie kreowania ruchu brał udział sam reżyser, niejednokrotnie będący też twórcą projektów plastycznych, oraz operator kamery.

W ten sposób filmy wycinankowe nabierały często charakteru indywidualnych wypowiedzi artystycznych. Za to właśnie wielu twórców „wycinankę” bardzo ceniło. Niektórzy artyści wręcz się w tej technice wyspecjalizowali, jak wspomniany Jerzy Zitzman czy Mirosław Kijowicz. Powstało wtedy sporo ciekawych wypowiedzi artystycznych, podejmujących różnorodną tematykę. Zagadnieniami zagrożeń cywilizacyjnych zajął się Zdzisław Kudła. To były w tamtym czasie pionierskie działania. Świetnymi przykładami są tu „Bruk” i „Szum lasu”. Były filmy, które próbowały opisywać krytycznie ówczesny system, jak „Sztandar” Mirosława Kijowicza, w którym jeden nieposłuszny mężczyzna odmawia udziału w pochodzie, ale ostatecznie zostaje do tego przymuszony.

W latach 70. wiele filmów dotykało sfery obyczajowości. Celował w tym Andrzej Czeczot. Na przełomie lat 70 i 80. zrealizował tam słynne „Makatki” – cykl krótkich form filmowych opartych na tytułowych dekoracyjnych tkaninach ze śląskich domów. Marian Cholerek eksplorował często tematykę męsko-damską, przy czym akurat on posługiwał się techniką rysunkową. W moich badaniach bardzo pomocne okazały się rozmowy z twórcami i bardzo dobra współpraca z samym Studiem, które było pod tym względem bardzo otwarte – umożliwiło mi przegląd filmów, które wtedy nie były dostępne w formie cyfrowej, oglądałem je na specjalnych stołach, na archiwalnych taśmach. W takiej właśnie postaci wciąż było wiele filmów o charakterze edukacyjnym czy instruktażowym, realizowanych na zamówienie zakładów przemysłowych.

Są wśród nich takie, które warto dziś obejrzeć?

Oczywiście. Na przykład filmy o tematyce BHP Zdzisława Kudły. Albo związane z profilaktyką zdrowotną filmy antyalkoholowe i antynarkotykowe, realizowane ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ w latach 80. przez Jana Petryszyna. Z perspektywy samych twórców nie miały one ambicji artystycznych, ale teraz, po latach, możemy patrzeć na nie zupełnie inaczej. Cechuje je często znakomite opracowanie plastyczne. Wdzięcznym przykładem jest powstała w 1959 r. produkcja dokumentalna „Na szlakach Beskidu Śląskiego", która miała promować region. Dziś ogląda się ją z zainteresowaniem, bo pokazuje między innymi wędrówkę po tamtejszych schroniskach, które w większości wyglądają już zupełnie inaczej, ówczesny stan przyrody, inne realia epoki – jak stroje czy sprzęt turystyczny. Warte uwagi są wreszcie filmy doby socrealizmu. Choćby „A-1", debiut reżyserski Władysława Nehrebeckiego, rysunkowy film, w którym głównym bohaterem jest stary traktor, wspominający lata swojej młodości. Ewidentnie zaangażowany ideologicznie, a jednak już w samym pomyśle, żeby bohaterem uczynić gadającą maszynę, jest coś nowatorskiego. Albo film Zdzisława Lachura „Ich ścieżka" – rozgrywająca się we Wrocławiu historia miłości dwojga młodych ludzi z Wystawą Ziem Odzyskanych w tle. Bardzo możliwe zresztą, że powstawał już z myślą o zaistnieniu w mieście, do którego z końcem lat 40. miało przenieść się Studio.

Właśnie, bo tego wszystkiego mogłoby w Bielsku nie być, gdyby nie słynna przesiadka na dworcu.

Taka jest anegdota, która weszła do oficjalnej historii Studia. Ekipa złożona z kilku tworzących je filmowców, ze Zdzisławem Lachurem na czele, miała jechać jesienią 1948 r. do Wrocławia pociągiem z Wisły, gdzie mieściła się wtedy jego siedziba. Bezpośredniego połączenia nie było, przesiadkę mieli w Bielsku. Na tamtejszym dworcu spotkali wówczas znajomego – Zdzisława Kowalika, który zajmował się wtedy przydzielaniem mieszkań w Bielsku. To on miał przekonać ich, że nie warto jechać dalej, skoro może im załatwić w tym mieście siedzibę. Możliwe, że było coś na rzeczy; kontakty rzeczywiście odgrywały wówczas ważną rolę. Pierwsze lata funkcjonowania Eksperymentalnego Studia Filmów Rysunkowych, bo taka była jego początkowa nazwa, później zmieniana, są jednak trudne do rozpoznania w pełni: brakuje źródeł i bezpośrednich świadków



STUDIO FILMÓW RYSUNKOWYCH

Władysław Nehrebecki, twórca „Bolka i Lolka"

historii, bo ci już odeszli. Sam miałem i tak sporo szczęścia, że udało mi się porozmawiać z tymi najstarszymi, np. z Leszkiem Kałużą. W Bielsku rozpoczynał też Witold Giersz – słynny malarz ekranu – wciąż aktywny twórczo. Bardzo cenne były relacje dyrektorów Studia – Zdzisława Kudły i Andrzeja Orzechowskiego. Zdzisław Kudła, rocznik 1938, który pracował w Studiu w latach 1963-2010, jest nadal aktywny, cały czas tworzy, niedawno byłem na wernisażu jego wystawy w bielskiej galerii ZPAP.

Pracownicy Studia tworzyli w Bielsku w czasach PRL rozpoznawalne środowisko?

Na pewno tak. Brali udział w plenerach i wystawach zbiorowych, np. w Pawilonie Plastyków – dzisiejszej Galerii Bielskiej BWA. Wiele było sytuacji integrujących – łączyły ich też wspólne „zakładowe" wyjazdy górskie, różne wieczorki, imprezy – specyfika czasów. Do dziś pozostała po tym dokumentacja fotograficzna. Mieszkańcy Bielska-Białej odbierali wytwórnię jako studio państwowe zależne od centrali, zakład, który dawał miejsce pracy. Jeśli chodzi o władze miasta, to te nie za bardzo z początku wiedziały, co z potencjałem Studia zrobić. Z jednej strony miejscowa prasa chwaliła osiągnięcia twórców, pojawiały się nagłówki o „bielskim Disneylandzie" czy „bielskiej fabryce snów", co stanowiło oczywiście reklamę miasta, ale jeszcze w latach 50. ludzie skarżyli się, że filmów produkowanych przez Studio nie można obejrzeć w bielskich kinach. To się jednak dość szybko zmieniło, Studio udostępniało swoje zestawy filmowe. Z potencjału wytwórni zaczęły też korzystać zakłady pracy – zamawiano przykładowo wspomniane filmy użytkowe o charakterze instruktażowym. Tematem bywała np. obsługa maszyn włókienniczych. Pamiętajmy, że miasto było w tym zakresie potęgą.

Bolek z Lolkiem przyszli na świat właśnie w Bielsku-Białej?

Tak, 1963 rok był przełomowy dla Studia. To wtedy powstał pierwszy odcinek serii – „Kusza". Próby stworzenia serii podejmowano już wcześniej, testowano różnych bohaterów – profesora Filutka, Koziołka Matołka, gąskę Balbinkę – ale żaden nie przyjął się na tyle, by rozwinąć się do postaci pełnej 13-odcinkowej serii. Zaś „Bolek i Lolek" okazali się sukcesem. Za pierwszą serią poszły kolejne. Trzeba podkreślić, że powstanie serii miało ścisły związek z rozwojem telewizji.

W latach 1963-1986 zrealizowano w sumie ponad 180 odcinków. Szybko jednak ruszyły procesy sądowe o ustalenie ojcostwa chłopaków – już w połowie lat 70. XX wieku. Ostatecznie za twórców projektów plastycznych Bolka i Lolka uznano Alfreda Ledwiga, Leszka Lorka i Władysława Nehrebeckiego, przy czym jednoznaczne ustalenie wkładu poszczególnych twórców nie jest możliwe. Animacja to niezwykle złożona dyscyplina. Za autora postaci w kontekście literackim i filmowym uważany jest Władysław Nehrebecki. Inspiracją dla niego byli dwaj synowie. Ale nie tylko. Nehrebecki fascynował się parami bohaterów filmowych – Flipem i Flapem, Patem i Pataszonem, Szczepciem i Tończiem. To właśnie Nehrebecki zyskał miano „ojca" Bolka i Lolka. Ta seria to swoisty fenomen, „koło zamachowe" rozwoju wytwórni.

Fenomenem był chyba też oddolny charakter inicjatywy utworzenia Studia?

Absolutnie, to byli pasjonaci, którzy próbowali coś zrobić na własną rękę, nie zważając na realia, w których żyli. Zdzisław Lachur, założyciel i pierwszy

eprasa.pl df2b558170





STUDIO FILMÓW RYSUNKOWYCH x2

Centrum Bajki i Animacji OKO

kierownik wytwórni, wspominał, że jeszcze przed II wojną światową oglądał „Królewnę Śnieżkę" Disneya w kinie i zamarzył sobie, by robić takie filmy dla polskich dzieci. Podobną historię opowiadał Władysław Nehrebecki. Pierwotnie, w 1947 r., działali w strukturach katowickiej „Trybuny Robotniczej" – niezbyt odpowiednie miejsce do realizacji takiego przedsięwzięcia, można by rzec: nie ta bajka. Długo szukali swojego miejsca, przez pewien czas funkcjonowali na zasadach spółdzielni pracy. Nazywali się wtedy Zespół Produkcyjny Filmów Rysunkowych „Śląsk". Byli po prostu pionierami. Uczyli się na bazie własnych doświadczeń. Eksperymentowali, czerpiąc wzorce z taśm disneyowskich, ale też ówczesnych animacji radzieckich.

Bardziej zaawansowane etapy produkcji odbywały się początkowo w Łodzi, która dysponowała technicznym zapleczem. W 1948 r. osiedli w Bielsku, ale nim trafili do obecnej siedziby przy ul. Cieszyńskiej 24, mieli dwie przeprowadzki. Na początku lat 50. weszli w struktury kinematografii. Pod nazwą Oddział Filmów Rysunkowych działali w ramach Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi. W 1956 r. usamodzielnili się i przyjęli wreszcie obecną nazwę – Studio Filmów Rysunkowych. Zaczęli „wrastać" w kontekst miejsca. Zaczęły się też tworzyć artystyczne powiązania. Przykładowo w połowie lat 50. Studio zaczęło sięgać głównie po plastyków ze środowiska bielskiego. Tak jak wspomnieliśmy, stawało się też miejscem pracy dla Bielszczan.

Gdzie można było oglądać powstające w Bielsku-Białej filmy?

Początkowo, do przełomu lat 50. i 60. pokazywano je w kinach. Zwykle – jak możemy zobaczyć na zachowanych plakatach z tamtego okresu – pokazywano je w zestawach, tzw. programach składanych. Były one przeznaczone głównie dla dzieci, tak jak większość ówczesnej produkcji. Zwykle po dwa filmy rysunkowe i jednym kukiełkowym lub odwrotnie. Na początku lat 60. istotnym kontrahentem stała się telewizja. Tak jak wspomniałem, serie tworzono już z myślą o niej. Zasadnicze znaczenie miała tu „Dobranocka", która sprawiała, że kreskówkowi bohaterowie gościli w dziecięcym świecie codziennie o tej samej porze – dziś rzecz nie do pomyślenia, kiedy jest tyle alternatyw. Trafiali też za granicę, zyskując popularność niemal na całym świecie. Sprzedaż kreskówek była ważnym źródłem dewiz.

Z Reksiem, kolejnym słynnym bohaterem, nie było takiego zamieszania jak z Bolkiem i Lolkiem?

Podejście do Reksia było zupełnie inne. To seria o charakterze autorskim. Lechosław Marszałek stworzył pierwszy odcinek w 1967 r., przy czym... to początkowo nie miała być seria. Powstała ona wraz z sukcesami kolejnych filmów. Marszałek chciał zakończyć na czterech odcinkach. Ostatecznie, w latach 1967-1990, powstało ich ponad 60. Trzeba zaznaczyć, że w proces realizacji Marszałek włączał wyłącznie twórców zaufanych. Można tu pokusić się o pewne porównanie: „Bolek i Lolek" są bardziej różnorodni, zaś Reksio niewiele się zmieniał – z wyjątkiem pierwszego filmu „Reksio poliglota", jeszcze bardzo oszczędnego i dość surowego pod względem plastycznym. Dopiero od kolejnego filmu widać tę charakterystyczną, dopieszczoną kreskę, jaką szkicowany jest piesek i reszta rysunkowych postaci.

Realizacja filmu animowanego była niezwykle złożona, więc praca w bielskim Studiu Filmów ↦

eprasa.pl df2b558170

Rysunkowych musiała być mocno zespołowa. Ile osób angażował taki film? Ilu pracowników liczyło Studio?

Liczba zespołu produkcyjnego była zależna od stopnia trudności produkcji. Podobnie jeśli chodzi o czas realizacji – zwykle było to kilka miesięcy – od czterech do sześciu. Na początku, w 1947 r., w Katowicach zespół liczył blisko 20 osób. W Bielsku-Białej liczba pracowników zaczęła zdecydowanie wzrastać – pod koniec 1950 r. wynosiła 40, w połowie tej dekady 70, na początku lat 60. ponad 90 i ponad 160 w latach 70. To był rekord. Najbardziej liczne grupy w ramach zespołu tworzyli faziści, animatorzy i malarki. Nieprzypadkowo używam feminatywu, bo etap tworzenia wypełnień kolorystycznych na celuloidach wykonywały właśnie kobiety. Kluczową rolę w procesie produkcji odgrywali operatorzy kamery, specjaliści od efektów dźwiękowych oraz montażu. Nad całokształtem produkcji od strony organizacyjnej, ekonomicznej i prawnej czuwał kierownik produkcji. Zwykle tę odpowiedzialną i wymagającą ściśle skoordynowanych działań funkcję również sprawowały kobiety. Odmienna sytuacja była jeśli chodzi o grono reżyserskie – tu z kolei zdecydowanie dominowali mężczyźni.

W połowie lat 80. Studio nawiązuje współpracę z amerykańską firmą Hanna-Barbera. To był dobry ruch?

Amerykanie szukali miejsca, w którym mogliby rozwijać produkcję przy niższych kosztach. Ich przyjazd do Bielska znów pokazał, jak ważną rolę odgrywają kontakty: wspomniany już Leszek Kałuża, który pracował w Studiu jeszcze w latach 40., w drugiej połowie kolejnej dekady wyemigrował z Polski, ostatecznie wylądował w Stanach i zaczął pracować jako animator właśnie dla Hanna-Barbera Productions. Ta firma była wówczas porównywana do Studia Walta Disneya, stworzyła między innymi Flinstonów czy Scooby-Doo. Jej współzałożyciel, William Hanna, zachęcony przez Kałużę, przyleciał do Polski. W ramach współpracy w Bielsku powstało m.in. siedem odcinków serii „Dzieciństwo Flinstonów".

Bielsko dało specjalistów, Amerykanie technologię, jak dyski animacyjne zasilane elektrycznie, podświetlające rysunki, dzięki czemu animatorzy mogli pracować również w nocy. Wreszcie



STUDIO FILMÓW RYSUNKOWYCH

Najnowszy serial „Baczne Oczka", 2024 r.

w 1987 r. powstała spółka Hanna-Barbera Poland. Trudno nazwać ją konkurencją dla polskiej wytwórni, ale przyczyniła się na pewno do kadrowego osłabienia Studia. Wielu pracowników rozwiązało wtedy umowy z polską wytwórnią i przeszło do nowego zakładu, który po pewnym czasie i tak przeniósł się na Daleki Wschód, gdzie warunki finansowe dla produkcji były bardziej atrakcyjne. Nadeszły lata 90., a wraz z nimi kres klasycznej animacji. Nastąpił przełom technologiczny – od drugiej połowy lat 90. kolejne manualne etapy pracy nad filmami zaczął przejmować komputer, by na początku XXI wieku niemal całkowicie zdominować proces produkcji.

Jak poradziło sobie bielskie Studio w nowych czasach?

Nie było łatwo. Podjęto wysiłek realizacji pełnego metrażu „Gwiazdy Kopernika". Film miał wyprowadzić wytwórnię z kłopotów. Tak się nie stało. Mocno spadło zatrudnienie. W 2010 r. w wytwórni pracowało około 20 osób. A jednak trzeba zaznaczyć, że jest to jedyna wytwórnia filmów animowanych, która przetrwała wszystkie dotychczasowe zawieruchy i odnajduje się bardzo dobrze we współczesnej rzeczywistości.

Co teraz dzieje się w wytwórni?

Ostatnie lata to realizacja dużych inwestycji. Koncepcja budowy Centrum Bajki i Animacji powstała jeszcze za czasów dyrektora Andrzeja Orzechowskiego, ale kiedy dyrektorem Studia został Maciej Chmiel, udało się pozyskać finansowanie. Wszystko nabrało wówczas tempa. Interaktywne Centrum Bajki i Animacji OKO przy Studiu Filmów Rysunkowych zostało otwarte w 2024 r. Mieści się w nim wystawa stała o charakterze edukacyjnym, opowiadająca o tym, jak tworzyło się filmy w Bielsku. Centrum organizuje też różnorodne wydarzenia, w tym wystawy i seanse kinowe. W ich ramach można zapoznać się z dorobkiem wytwórni, ale nie tylko – Kino Kreska ma charakter studyjny.

Wytwórnia przywiązuje dużą wagę do swego dziedzictwa – jest ono konsekwentnie poddawane digitalizacji i rekonstrukcji cyfrowej. Trzeba też podkreślić, że wytwórnia kontynuuje działalność produkcyjną. W trakcie realizacji jest serial edukacyjny „Baczne oczka". To rzecz wyjątkowa – powstał z myślą o najmłodszych oraz o dzieciach z deficytem wzroku. Ukończony został już pierwszy sezon liczący 13 odcinków, który miał premierę w zeszłym roku. Docelowo planowane są 52 odcinki. Kolejne wyzwanie to „Kocia szajka", serial oparty na serii książek dla dzieci autorstwa Agaty Romaniuk. W przyszłym roku wytwórnia będzie świętować swoje 80-lecie... Historia trwa dalej.

© Rozmawiała BEATA CHOMĄTOWSKA



ARCHIWUM PRYWATNE

PATRYK OCZKO (ur. 1983) – historyk sztuki, adiunkt Uniwersytetu Śląskiego, kurator wystaw. Autor książki „Nie tylko dla dzieci. Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej 1947--2021". Zajmuje się m.in. animacją, muzealnictwem i architekturą XX wieku.



eprasa.pl df2b558170



JANUSZ ROSIKOŃ / PAP

Fabryka Samochodów Małolitrażowych, produkcja Polskiego Fiata 126p. Bielsko-Biała, listopad 1973 r.

Droga do nowoczesności

MICHAŁ SOWIŃSKI

Historia „malucha" nie sprowadza się do opowieści o samochodzie. To zapis zmiany, która rozgrywała się jednocześnie w technologii, życiu społecznym i samej wyobraźni.

Bielsko-Biała nie było przypadkowym wyborem dla tej inwestycji. W latach 60. miasto miało wszystko, czego potrzebował zaawansowany przemysł: kadrę, zaplecze techniczne, doświadczenie produkcyjne wyniesione z wieloletniej tradycji włókienniczej. Nie trzeba było budować wszystkiego od zera – w Bielsku działała już Wytwórnia Sprzętu Mechanicznego, produkująca m.in. silniki do Syreny. Nowa fabryka oznaczała jednak wejście na zupełnie inny poziom – od części do całego samochodu. Dlatego decyzja o ulokowaniu tu Fabryki Samochodów Małolitrażowych – której budowę rozpoczęto pod koniec dekady – była logicznym wyborem, a nie eksperymentem.

Początek lat 70. to moment wyraźnego przyspieszenia w polskiej historii. Ekipa Edwarda Gierka ogłosiła nowy plan: Polska miała się unowocześniać szybko i spektakularnie. Już w 1973 roku z taśmy bielskiej fabryki zjechał pierwszy Fiat 126p – pojazd, który miał stać się jednym z najbardziej czytelnych znaków tej zmiany. Samochód miał przestać być luksusem, a stać się elementem codzienności – czymś, co miało znajdować się w zasięgu przeciętnego obywatela. Produkcja w Bielsku wpisywała się więc w szerszy projekt: nie tylko przemysłowy, ale też cywilizacyjny.

To była zmiana bardzo konkretna i wymierna. Wraz z samochodem pojawiały się drogi, parkingi, warsztaty, nowe formy mobilności. Zmieniała się skala odległości – dystanse przestawały być tak odczuwalne, wyjazd poza miasto stawał się realną możliwością, a nie logistycznym przedsięwzięciem. „Maluch" przesuwał granice – dosłownie.

Fabryka szybko stała się jednym z głównych punktów miejskiego życia. W połowie lat 70., już po uruchomieniu pełnej produkcji, tysiące ludzi były z nią bezpośrednio związane – jako pracownicy, podwykonawcy, członkowie rodzin. Miasto zaczęło funkcjonować w rytmie produkcji, ale nie zostało przez nią całkowicie zdominowane. To ważne: FSM była raczej kolejną urbanistyczną osią, a nie przedefiniowaniem tożsamości. Bielsko zachowało swoją wcześniejszą strukturę i dzięki temu mogło tę inwestycję lepiej wykorzystać.

„Maluch" narodził się oczywiście w rzeczywistości niedoboru. Na samochód się czekało – miesiącami, często latami. To zmieniało jego znaczenie. Nie był jednym z wielu produktów, lecz wydarzeniem: czymś, co organizowało życie, budowało relacje, wymagało zaangażowania. W latach 70. i 80. był znakiem awansu i wejścia w nowoczesność – nawet jeśli była ona niepełna i obciążona ograniczeniami, o których pamięć znika dziś pod coraz grubszą warstwą nostalgii.

Kolejny przełom nastąpił po 1989 roku. „Maluch" zaczął przegrywać z używanymi samochodami z Zachodu, a sam model szybko się starzał. W 2000 roku z taśmy zjechał ostatni egzemplarz, symbolicznie zamykając pewien etap – niemal trzy dekady po rozpoczęciu produkcji. W Bielsku nie oznaczało to jednak gwałtownego kryzysu. Fabryka się zmieniała, miasto także. To, co zostało – kompetencje, infrastruktura, doświadczenie – pozwoliło wejść mniej boleśnie w nowe realia.

Dlatego historia „malucha" w Bielsku nie sprowadza się do opowieści o samochodzie. To raczej zapis zmiany, która rozgrywała się jednocześnie na poziomie technologii, życia społecznego i samej wyobraźni. Można spokojnie założyć, że w innym miejscu brakowałoby jej tego rozmachu i wdzięku. ©℗

eprasa.pl df2b558170

Historia zaczyna się w lesie

MICHAŁ SOWIŃSKI

Z centrum to kilka przystanków tramwajem – zawsze o kwadrans od górskiego szlaku. Lasy od zawsze przenikały się tu z miastem, dając mu przestrzeń na głęboki oddech.

W Bielsku-Białej miasto i przyroda przenikają się tak mocno, że trudno powiedzieć, gdzie jedno się kończy, a zaczyna drugie. Wystarczy kilkanaście minut jazdy autobusem z centrum, by znaleźć się na leśnym szlaku. Kilka kolejnych – i zaczynają się Beskidy. Z wielu miejsc w mieście widać zielone zbocza Szyndzielni, Klimczoka czy Kołowrotu. Dla mieszkańców to coś zupełnie oczywistego: po pracy wychodzi się na spacer do lasu albo na szybki wypad w góry.

Dla przyjezdnych bywa to jednak zaskoczeniem. Bielsko-Biała ma przecież długą historię przemysłową i przez setki lat było jednym z najważniejszych ośrodków włókiennictwa w tej części Europy. A jednak miasto rozwijało się w ścisłej relacji z pobliską przyrodą.

Jak mówi historyk i muzealnik Jakub Krajewski, pracownik Wydziału Kultury i Promocji UM w Bielsku-Białej, ta relacja jest znacznie starsza niż współczesna turystyka czy moda na outdoor. „Historia Bielska zaczyna się w lesie – opowiada. – Pierwszy dokument, w którym pojawia się nazwa Bielsko, pochodzi z 1312 roku i dotyczy właśnie lasu komunalnego".

Drewno i przemysł

W dokumencie książę cieszyński Mieszko przekazał teren lasu na wypas bydła i wyrąb drewna. Las był więc od samego początku jednym z fundamentów funkcjonowania miasta. „Drewno było podstawowym budulcem i źródłem energii opałowej – tłumaczy Krajewski. – Ale w Bielsku i Białej miało jeszcze jedno znaczenie. Z drewna wytwarzano potaż, który był potrzebny w produkcji sukna wełnianego, do uszlachetniania tkanin wełnianych".

Wraz z rozwojem przemysłu rosło znaczenie miasta. W XIX wieku Bielsko i Biała – choć formalnie wciąż pozostawały oddzielnymi ośrodkami – tworzyły trzeci co do wielkości ośrodek włókienniczy w monarchii Habsburgów po Brnie i Libercu. Miasto pulsowało pracą fabryk, rytmem stukotu krosien, wyczuwalnym nawet na chodniku, i codziennym ruchem robotników. Ale właśnie wtedy coraz wyraźniej zaczęto odczuwać potrzebę czegoś zupełnie przeciwnego: ciszy, przestrzeni i oddechu.

Jak zauważa Jakub Krajewski, wraz z rozwojem przemysłu pojawiła się też nowa funkcja otaczającej miasto przyrody. Las i góry przestały być jedynie zapleczem gospodarczym – zaczęły pełnić rolę miejsca regeneracji. Mieszkańcy potrzebowali ucieczki od hałasu fabryk, od zanieczyszczeń wody i powietrza, i od gęsto zabudowanych ulic. Bywało też, że kolor rzeki Białej był uzależniony od koloru farb używanych do barwienia tkanin, spuszczanych następnie do wody. W drugiej połowie XIX wieku zaczęto więc świadomie rozwijać tereny rekreacyjne w okolicznych górach i lasach: tak zrodził się fenomen Cygańskiego Lasu.

Powstawały organizacje, które stawiały sobie za cel udostępnienie tych przestrzeni mieszkańcom. Towarzystwo Upiększania Miasta oraz Beskidenverein wytyczały szlaki, budowały punkty widokowe, stawiały ławki i urządzały alejki spacerowe. Zbudowano także działające do dzisiaj schroniska. Krajewski opowiada, że las był wówczas pełen nazw i symbolicznych miejsc: pojawiały się Aleja Westchnień, Aleja Brzozowa czy ścieżki nazwane na cześć lokalnych działaczy. Krajobraz był więc nie tylko przestrzenią wypoczynku, ale także mapą miejskiej pamięci.

Tramwajem do lasu

Znaczenie Cygańskiego Lasu najlepiej widać w historii komunikacji. Pod koniec XIX wieku miasto zdecydowało się na gest, który dziś może wydawać się zaskakujący: w 1895 r. doprowadzono tam linię elektrycznego tramwaju. Nie do nowej fabryki ani dzielnicy przemysłowej, lecz właśnie do lasu.

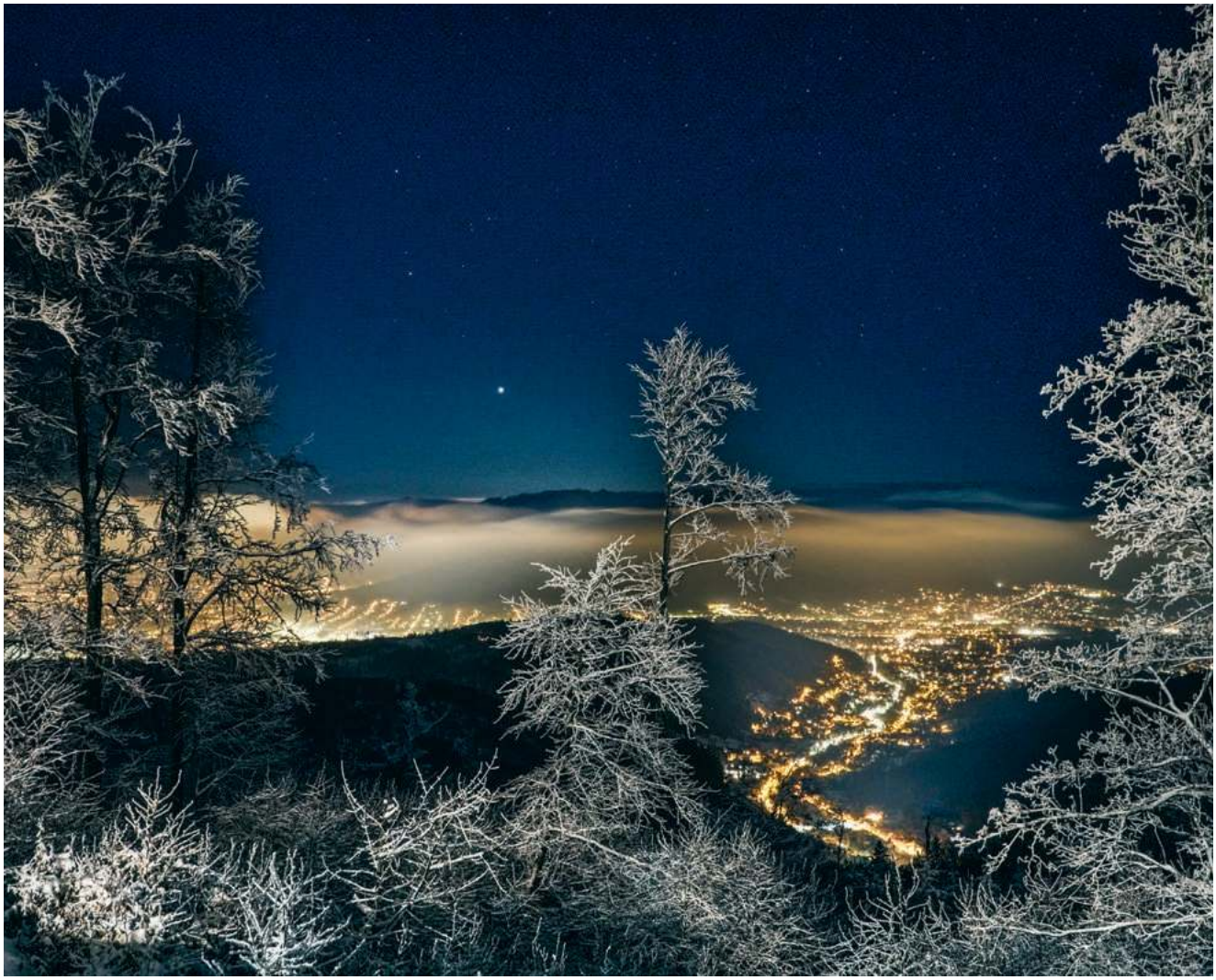
„Co ciekawe – zwraca uwagę Jakub Krajewski – w tamtym czasie elektrycznego tramwaju nie miały jeszcze Wiedeń ani Warszawa. A miał go Cygański Las". Mówi to bardzo wiele o mentalności mieszkańców. Inwestycja w dojazd do terenów rekreacyjnych pokazuje, jak ważne było dla Bielszczan przebywanie w naturze.

Ta szczególna bliskość przyrody do dziś pozostaje jedną z najbardziej charakterystycznych cech Bielska-Białej. W granicach administracyjnych miasta znajduje się kilkanaście górskich szczytów, a beskidzkie szlaki zaczynają się praktycznie na jego obrzeżach. Krajewski podkreśla, że to nie jest jedynie turystyczny marketing, lecz realne doświadczenie mieszkańców: „W Bielsku-Białej wychodząc przed dom, jest się od razu na spacerze. Autobusem komunikacji miejskiej w piętnaście minut można z centrum pojechać w góry".

Ta geografia bardzo konkretnie wpływa na codzienny styl życia. „Bielszczanie mają w naturze korzystanie z natury" – mówi z uśmiechem Krajewski, świadomie grając znaczeniem tego zdania. Spacer, szybki wypad na szlak, zimą narty – to dla wielu mieszkańców po prostu element zwykłego tygodnia, a nie specjalnie planowana wyprawa.

Najlepiej widać to właśnie w Cygańskim Lesie. Formalnie jest to las komunalny, ale w praktyce funkcjonuje jak ogromny park miejski, mimo że posiada bardzo dzikie i cenne przyrodniczo fragmenty. „Jest tam mnóstwo mieszkańców. Ten las jest bardzo intensywnie używany" – opowiada Krajewski. W weekendy i popołudniami ścieżki wypełniają się spacerowiczami, biegaczami i rowe-

eprasa.pl df2b558170



FILOZOFGRECKI / ADOBE STOCK

Beskidy, widok z Szyndzielni, grudzień 2025 r.

rzystami. To jedno z tych miejsc, gdzie historia miasta – przemysłowego, ale od zawsze zanurzonego w beskidzkim krajobrazie – wciąż daje się odczytać w bardzo codzienny sposób.

Przyroda wokół Bielska-Białej ma jednak znaczenie nie tylko rekreacyjne. W ostatnich latach coraz częściej mówi się o jej roli ekologicznej – i o tym, że lasy otaczające miasto są czymś więcej niż tylko miejscem spacerów.

Szybowce w górach

Jak podkreśla Jakub Krajewski, w przypadku bielskiego lasu komunalnego coraz wyraźniej zmienia się sposób myślenia o gospodarce leśnej. „Las pełni także funkcje ochronne i jest najlepszą formą retencji wody" – mówi. Dlatego ograniczono tradycyjne pozyskiwanie drewna z nastawieniem na zysk. Zyskujemy my i przyroda. Zamiast tego coraz większy nacisk kładzie się na zatrzymywanie wody w krajobrazie i wzmacnianie naturalnych procesów.

To zresztą kwestia wykraczająca daleko poza samo miasto. „Zwiększając retencję wody w Bielsku-Białej, zachowujemy ją nie tylko dla miasta, ale dla całej Polski" – zauważa Krajewski. Przez miasto przepływa rzeka Biała, która jest dopływem Wisły.

Bliskość gór i natury wpływała zresztą nie tylko na codzienny styl życia mieszkańców. W pewnym sensie ukształtowała także rozwój zupełnie innych dziedzin – na przykład lotnictwa. To właśnie pod beskidzkimi zboczami powstało jedno z najważniejszych w Polsce centrów szybownictwa.

„Szybowiec to wspaniałe wykorzystanie natury – mówi Krajewski. – Wykorzystuje różnice temperatur i prądy powietrzne, czyli naturalne zjawiska, żeby latać". Lotnisko w Aleksandrowicach, położone tuż u stóp gór, należy do najpiękniej położonych w kraju. „W tym roku, podczas weekendu majowego, obchodzimy 80-lecie Szybowcowego Zakładu Doświadczalnego i 90-lecie lotniska".

A jednak dla wielu mieszkańców najważniejsze pozostaje coś znacznie prostszego: możliwość codziennego kontaktu z przyrodą. „To jest ewenement – mówi Krajewski. – Siedząc w biurze z widokiem na góry, pragnę szybko się w nich znaleźć. Ten widok i ta praca w górach to wielki dar". I może właśnie w tym tkwi sekret Bielska-Białej. To miasto, które przez setki lat rosło dzięki przemysłowi, ale nigdy nie odwróciło się od przyrody. ©℗

eprasa.pl df2b558170



FILOZOFGRECKI / ADOBE STOCK

Bielsko-Biała, lipiec 2024 r.

Za górami, za lasami

ZBIGNIEW ROKITA

To miasto u stóp gór jest jedną z największych białych plam na mapie polskiej wyobraźni. Nie wpisuje się w żadną z wielkich opowieści o tożsamości – zawsze trochę z boku, na własnych zasadach.

To fenomen. Choć leży w województwie śląskim, nie obejmuje go tocząca się w Katowicach czy Rybniku rewolucja górnośląska. Bielsko-Biała nie ma wiele wspólnego z językiem śląskim czy śląską mniejszością, a w przeszłości np. zamiast powstań śląskich miejscowi żyli tu wojną polsko-czechosłowacką. Dla aglomeracji górnośląskiej Bielsko leży – dosłownie – za górami i za lasami, jest słabo obecne w aglomeracyjnym imaginarium.

Dalej: choć istnieje tu względnie duża społeczność protestancka, a przy miejscowym kościele stoi jedyny w Polsce pomnik Lutra, ustępuje Wiśle czy Cieszynowi jako stolicom polskiego luteranizmu. I wreszcie: choć przed 1945 r. większość mieszkańców stanowiła ludność niemieckojęzyczna – Niemcy, Żydzi, inni – miasto już po I wojnie światowej trafia do II Rzeczypospolitej, więc nie jest uznawane za Ziemie Odzyskane i nie dzieli ich historii.

– W Bielsku ponad 80 proc., a w Białej ponad 65 proc. mieszkańców przed 1918 r. było niemieckojęzycznych – mówi mi Łukasz Giertler, miejscowy historyk i lider mniejszości niemiec-

eprasa.pl df2b558170

kiej. – Po I wojnie ich odsetek spadł odpowiednio w Bielsku do ponad 55 proc., a w Białej do ok. 26-27 proc. Z kolei po 1945 r. w obu miastach została w sumie 1/6 przedwojennej ludności. Reszta się wymieniła, a dodatkowo po 1973 r., gdy działalność rozpoczęła Fabryka Samochodów Małolitrażowych, liczba mieszkańców wzrosła do niemal 200 tys. Wówczas pozostałe w mieście 10 tys. niemieckich mieszkańców stanowiło już niewielki, acz zauważalny procent.

Tutaj znane hasła nabierają więc innych znaczeń. Nie można bowiem o Bielsku-Białej powiedzieć np., że jest miastem poniemieckim w tym sensie, w jakim mówimy tak o Wrocławiu czy Szczecinie. Tutejsi Niemcy w XIX czy XX w. nie żyli w Niemczech, lecz w Czechach, Austrii, a potem w Austro-Węgrzech. Od połowy XVIII w. i wojen śląskich Górny Śląsk był podzielony między Wiedeń i Berlin. Do dziś na Ślązaków poniemieckich mówi się Prusoki, a na poaustriackich – Cysoroki.

Bielitzer, Cysarök i Europejczyk

Bielsko-Biała to miejsce osobne, swoiste, które stara się być centrum samym dla siebie. Składa się z dwóch historycznych miast: śląskiego Bielska i galicyjskiej Białej. To dwumiasto tak samo peryferyjne jako miasto śląskie wobec Katowic czy Opola, jak i jako miasto galicyjskie wobec Krakowa czy Tarnowa. Zawsze na końcu, choć – dlaczego nie – na początku.

– O Doppelstadt mówimy faktycznie już od połowy XIX w. – tłumaczy Giertler. – Mieszkańcy doskonale wiedzieli, że miasta muszą się w przyszłości połączyć. Nawet Ochotnicza Straż Pożarna w XIX w. nie była „bielska" czy „bialska", lecz od razu nazywano ją – oczywiście po niemiecku – Bielsko-Bialską Ochotniczą Strażą Pożarną.

Ta hybryda małopolskości i śląskości szuka dziś swojej tożsamości. Kilka lat temu na łamach regionalistycznego portalu „Wachtyrz" językoznawca Kamil Czaiński w eseju „Na marginesie każdej mapy, czyli o tożsamości Bielska-Białej" pisał: „Pod pokrywką się gotuje. W sinusoidzie dziejów znowu nastały czasy tożsamościowe, a Bielsko-Biała jest jak pudełko czekoladek – możesz być, kim chcesz. Możesz być góralem, możesz być polskim narodowcem (...), możesz być bezideowym ogólnopolakiem, możesz na bazie *genius loci* »Małego Wiednia« bez problemu zbudować sobie tożsamość środkowoeuropejskiego kosmopolityzmu". Sam Czaiński pod tekstem określa siebie jako „Bielitzer, Cysarök i Europejczyk".





MICHAŁ SOWIŃSKI ×2

Stare Bielsko to miasto schodów, wąskich uliczek i podcieni – miejsce, o którym nie da się myśleć płasko. Tam zawsze człowiek porusza się we wszystkich trzech wymiarach.

Tak, Bielszczanie nie ustają w tożsamościowych sporach. Z miast powojewódzkich Bielsko-Biała należy do tych, które po reformie administracyjnej poradziły sobie najlepiej – choć wciąż odczuwa bóle fantomowe po dawnym statusie. Może dlatego stara się wymyślić region, którego mogłoby być stolicą.

I tak jednym z najbardziej rozpalających miasto i okolice jest pomysł na region zwany Podbeskidziem. Koncepcja ta pojawiła się za PRL. A dziś jej głównym nośnikiem jest klub piłkarski Podbeskidzie Bielsko-Biała. Mało kto chce jednak z Bielskiem taki region tworzyć: ani myślący o sobie jako o stolicy Księstwa Cieszyńskiego Cieszyn, ani Czechowice-Dziedzice, ani jedno z bardziej wyjątkowych miejsc w kraju, Wilamowice. Podbeskidzie nie zrobiło dotychczas tak oszałamiającej kariery jak inne wyłaniające się powoli w głowach wielu regiony, np. Opolszczyzna czy Lubuszczyzna.

Wyławianie Atlantydy

Od średniowiecza do 1945 r. istniała tu tzw. bielsko-bialska wyspa językowa – było to kilkanaście mówiących niemieckim dialektem miejscowości (dziś większość należy do Bielska-Białej), otoczonych przez żywioł słowiański. Koniec II wojny światowej przyniósł wyspie kres.

Skumulowanej tu wiekami energii landszaftu i geszeftu nie udało się jednak zupełnie zdusić i teraz ta sama energia, *genius loci*, każe co śmielszym Bielszczanom samodzielnie odkopywać tutejszą Atlantydę. Zrobił to m.in. reżyser Dariusz Tomalak, który 10 lat pracował nad filmem dokumentalnym „Śmierć wyspy. Bielitz-bialaer Sprachinsel".

Premiera w 2023 r. okazała się wielkim sukcesem. Film chciało zobaczyć tak wiele osób, że miejscowy multipleks udostępnił pierwszego dnia sześć sal, a w premierowym dniu obejrzało go ponad 1200 osób. Od miejscowych słyszę, że produkcja złamała panujące w mieście tabu dotyczące historii miasta sprzed 1945 r. i była kamieniem milowym w odkrywaniu tutejszej przeszłości.

Biała plama

Kolejnym ważnym wydarzeniem ostatnich lat była publikacja książki Carla Hoinkesa „Horn i synowie. Powieść z miasta sukienników Bielska-Białej". Urodzony w 1882 r. autor pochodził ze starej, bielskiej rodziny niemieckich przemysłowców – zajmowali się głównie tkactwem, które rozwinęło się w mieście w XIX w. Podczas II wojny światowej był dyrektorem miejscowego muzeum, w 1945 r. uciekał z miasta. Umarł ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ kilkanaście lat później, a jego książka ukazała się w Niemczech w latach 70.

Monumentalna, licząca ponad 700 stron powieść to – zachowując proporcje – bielsko-bialska „Lalka" z domieszką „Ziemi obiecanej". Opowiada historię jednego zakładu i jednego rodu, a akcja toczy się od schyłku XVIII w. po drugą połowę XIX stulecia. W tle przewijają się najważniejsze wydarzenia tamtych czasów: wojny napoleońskie, Wiosna Ludów czy wojna austriacko-pruska 1866 r.

Książkę własnym sumptem wydał Łukasz Giertler, a z niemieckiego przełożył ją historyk z IPN, dr Sebastian Rosenbaum. „Horn i synowie" spotkali się z dużym zainteresowaniem – dziś to biały kruk, w ciągu kilku miesięcy wyprzedał się cały nakład. Giertler przekonał się, że miejscowi łakną literatury, która wypełni lukę, powstałą w 1945 r. w tutejszej pamięci.

– W przyszłości z Rosenbaumem zamierzamy wydać inną książkę Hoinkesa o mieście, ale najpierw ukażą się podania, bajki i legendy z Bielska, Białej i okolic. Dotarłem do przekazów z XIX w. i starszych, teraz je tłumaczę, aby późną wiosną oddać do druku – mówi mi Giertler. – A później? Trzecią pozycją, jaką wydam, będzie następna powieść historyczna o Bielsku-Białej, jeszcze starsza niż „Horn i synowie", ale szczegółów jeszcze nie mogę zdradzić.

A przecież Bielsko-Biała mogłaby spocząć na laurach i zadowolić się atrakcyjnymi symbolami, które ma. To tutaj istnieje Studio Filmów Rysunkowych, to tutaj istniała FSM, gdzie produkowano Fiata 126p. Nie wiem, czy jakiekolwiek inne miasto w Polsce ma tak atrakcyjny zasób popkulturowy jak Reksio i „maluch". Do tego dorzucić domieszkę góralskości i wyszłaby z tego naprawdę ciekawa tożsamość. Dla wielu Bielszczan to jednak za mało i starają się odpamiętać zapomniane.

© ZBIGNIEW ROKITA

Miasto w dobrej skali

RAFAŁ MATYJA, HISTORYK:

Jeżeli ktoś chciałby się wyprowadzić z metropolii – to moim zdaniem Bielsko-Biała jest pierwszą propozycją do rozważenia. Istnieje nowoczesne życie poza metropoliami.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Zacznijmy od samej nazwy: Bielsko-Biała. Już w niej zapisany jest kawał historii tego miasta.

RAFAŁ MATYJA: Tak, ta podwójność jest tropem, za którym można podążać jak w śledztwie i odkrywać różne ciekawe rzeczy. Nie chodzi tu tylko o typową sytuację dwóch miast położonych po przeciwnych stronach rzeki, które mają podobną historię, ale funkcjonują jako odrębne organizmy. W przypadku Bielska i Białej różnica jest głębsza. Bardzo ważny jest moment nowożytny, gdy od Polski odpada księstwo cieszyńskie. Będące jego częścią Bielsko od dawna należało do monarchii Habsburgów. Biała natomiast znajdowała się po drugiej stronie granicy – najpierw w państwie polskim, a później w Galicji.

W efekcie były to dwa różne światy: administracyjny, polityczny, ale też etniczny. W Bielsku dominowała ludność niemiecka, podczas gdy w Białej – zwłaszcza po włączeniu Lipnika – proporcje wyglądały inaczej. To zresztą ciekawy moment w historii miasta, bo właśnie przyłączenie Lipnika sprawiło, że Biała nagle przestała być malutkim miasteczkiem. Nadal była mniejsza od Bielska, ale zaczęła być z nim porównywalna.

Do II wojny światowej, a właściwie aż do połączenia miast w 1951 r., były to jednak dwa dość różne światy. Wynikało to zarówno z ich historii, jak i z proporcji rozwojowych. Bielsko było dużym ośrodkiem przemysłowym, natomiast Biała, również sporych rozmiarów i rozwinięta technologicznie, długo należała do archipelagu małopolskich miasteczek ciągnących się od Stanisławowa czy Tarnopola aż po zachodnią granicę.

Dziś ta różnica właściwie nie ma już większego znaczenia. Kiedy próbowałem o niej żartobliwie wspominać w rozmowach z mieszkańcami – było to niezrozmiałe, dominuje bardzo silne poczucie wspólnej tożsamości miasta. W dużej mierze wynika to z powojennych migracji, a szczególnie z napływu ludności w latach 70. i później.

Ta integracja jest ciekawa, bo w wielu miastach podzielonych rzeką czy dawną granicą różnice długo się utrzymują, a czasem prowadzą nawet do antagonizmów. Warszawa jest tu chyba dobrym przykładem.

Tak, to prawda. W Warszawie – mówię oczywiście o dawnych czasach, bo dziś pewnie wygląda to już inaczej – długo funkcjonowało poczucie, że Praga jest trochę innym światem. Mieszkańcy lewobrzeżnej części miasta patrzyli na nią z pewnym dystansem. Nie wynikało to z głębokich różnic etnicznych czy tożsamościowych, raczej z miejskich stereotypów i wyobrażeń. Zresztą w wielu miastach takie podziały z czasem się zacierają – zwłaszcza wtedy, gdy pojawia się dużo nowych mieszkańców, dla których dawne lokalne różnice nie są już czytelne.

Bielsko jest dobrym przykładem takiego procesu. To miasto, które przyciągało nowych ludzi, szczególnie w okresie rozwoju Fabryki Samochodów Małolitrażowych. Można więc powiedzieć, że Bielsko-Biała ma dziś wspólną tożsamość, która została zbudowana później niż w momencie połączenia miast.

W swoich książkach często próbuje Pan opowiadać historię Polski z perspektywy małych i średnich miast. Co zmienia taka optyka?

Bielsko jest w tym krajobrazie miastem dość szczególnym, choćby dlatego, że jest i przez długi czas było dużym miastem niewojewódzkim. Ma wyraźną tożsamość, ciekawą architekturę i charakterystyczny układ przestrzenny. To także miasto położone właściwie w gó-

eprasa.pl df2b558170



OLEKSII PYROGOV / SHUTTERSTOCK

Bielsko-Biała, listopad 2022 r.

rach – kiedy spojrzy się na mapę i zobaczy, że w jego granicach znajdują się nawet szczyty górskie, choćby Klimczok czy Szyndzielnia, widać, jak wyjątkowe jest to położenie.

Takie miasta pozwalają opowiadać historię Polski z trochę innej perspektywy. Dla Warszawiaka – ale pewnie także dla mieszkańca Krakowa – zaskakujące może być np. to, jak silna była tu obecność ludności niemieckiej. Widać to choćby na cmentarzach.

Dla porównania: mieszkałem wcześniej w Nowym Sączu i tam cmentarz zachowuje dużą ciągłość sięgającą końca XIX wieku. W Bielsku i w Białej ta ciągłość jest słabsza. Historia XX wieku sprawiła, że wiele dawnych grobów zniknęło lub zostało przekształconych. Choćby duży cmentarz ewangelicki w centrum Bielska jest dziś miejscem, które wymagałoby ogromnej pracy rekonstrukcyjnej, aby w pełni odtworzyć jego dawny kształt. To bardzo wyraźny ślad historii regionu.

To zmienia myślenie o polskiej historii?

W Bielsku trudno ją opowiadać wyłącznie przez pryzmat powstań czy konspiracji XIX wieku, bo te wątki są tu mniej obecne. Zamiast tego widzimy inne procesy: rozwój przemysłu, przemiany społeczne, a później także intensywną modernizację okresu PRL.

W latach 70. doszła bardzo silna urbanizacja – budowa nowych osiedli i rozwój kolejnych gałęzi przemysłu. Z tym wiąże się też ciekawy, do dziś widoczny wątek kontaktów z Włochami. Fabryka Samochodów Małolitrażowych była przecież związana z Fiatem, wielu inżynierów wyjeżdżało do Włoch na szkolenia, a te kontakty zostawiły różne ślady. Do dziś w mieście działają choćby bardzo dobre sklepy z włoskimi produktami, są też osoby włoskiego pochodzenia, które tu mieszkają lub odwiedzają znane im miasto.

No i wreszcie trzeba pamiętać, że uprzemysłowienie Bielska zaczęło się bardzo wcześnie. W czasie, gdy w wielu regionach Królestwa Polskiego jako zakłady przemysłowe dominowały jeszcze cukrownie, gorzelnie czy produkcja narzędzi rolniczych, Bielsko było już rozwiniętym ośrodkiem włókienniczym i zaczynało rozwijać przemysł maszynowy. W tym sensie historia miasta jest ważnym uzupełnieniem historii Polski opowiadanej z perspektywy Warszawy – podobnie jak w przypadku innych miast, takich jak Katowice, Gliwice, Rzeszów czy Kalisz.

W kontekście tego, co pisze Pan w „Miejskim gruncie" o miejskości i urbanizacji, Bielsko wydaje się ciekawym przykładem miasta, które – choć nie idealne – spełnia wiele podstawowych funkcji i jest po prostu dobrym miejscem do życia.

Zawsze staram się podkreślać, że miasto idealne nie istnieje – i być może dobrze, że nie istnieje, bo to dość problematyczny ideał.

Kiedy przeniosłem się do Bielska po wielu latach mieszkania w Warszawie i Nowym Sączu, dwie rzeczy od razu rzuciły mi się w oczy. Pierwsza to pewien niedobór klasycznej zieleni miejskiej. Bielsko słusznie podkreśla, że ma w swoich granicach duże obszary leśne – i to rzeczywiście ogromny atut. Jednocześnie sprawia to trochę, że mniej uwagi poświęca się miejskim parkom. Park Włókniarzy oczywiście istnieje, ale z mojej perspektywy jest raczej niewielką przestrzenią.

Druga kwestia to problem jakości powietrza zimą, z którym boryka się wiele ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ miast w Polsce. W sezonie grzewczym wciąż zdarzają się dni z dużym zanieczyszczeniem.

Mówię o tym dlatego, że warto widzieć zarówno mocne strony miasta, jak i jego problemy czy wyzwania. Bo oczywiście ogromnym atutem Bielska jest bliskość gór – można wsiąść w autobus i po chwili znaleźć się u podnóża szlaków. To jednak nie zawsze zastępuje miejską zieleń. Dla wielu osób, np. dla rodziców z małymi dziećmi, park w centrum miasta bywa równie ważny jak dostęp do górskich ścieżek.

Więc oczywiście – jak mówił Lech Wałęsa – są plusy dodatnie i plusy ujemne. Trzeba też pamiętać, że żyjemy w czasie, gdy oczekiwania wobec miast stale rosną. Rozmawiając z młodszymi mieszkańcami Bielska, często słyszałem opinie w rodzaju: „Tu się niewiele dzieje, w Krakowie czy Katowicach jest więcej wydarzeń".

To chyba nieprawda.

Z mojej perspektywy wcale nie wyglądało to tak skromnie. Gdy porównuję Bielsko choćby z Nowym Sączem, to oferta kulturalna – zwłaszcza muzyczna i teatralna – jest tu wyraźnie bogatsza. Sporo dzieje się także wokół książek, spotkań autorskich czy różnych wydarzeń artystycznych. Być może jednak dla dwudziestolatków to wciąż za mało albo nie zawsze jest to dokładnie to, czego oczekują.

Jest też zjawisko, które dotyczy wielu polskich miast tej wielkości: młodzi wyjeżdżają na studia i nie zawsze wracają. Widziałem to także w Nowym Sączu, który również ma wiele zalet i jest bardzo wygodnym miejscem do życia.

Nie traci się tu czasu na długie dojazdy, a „korek" oznacza zwykle krótkie spowolnienie ruchu, które dla mieszkańca Warszawy czy Krakowa byłoby właściwie niezauważalne. Miasto jest kompaktowe – wiele spraw można załatwić pieszo, centrum jest stosunkowo niewielkie, ale jednocześnie dość kompletne pod względem usług i instytucji. W tym sensie bardzo wiele codziennych potrzeb można tu zaspokoić bez większego wysiłku.

Dla mnie Bielsko-Biała to pod wieloma względami miasto bardzo wygodne do życia.

Bielsko przyciąga nowych mieszkańców – zwłaszcza z Krakowa i z aglomeracji śląskiej. Z czego to może wynikać?

Jeśli tak jest, to można wskazać kilka powodów. Przede wszystkim bardzo korzystne położenie w pobliżu dużej metropolii górnośląsko-zagłębiowskiej. Jest z nią całkiem dobrze skomunikowane, także transportem publicznym, co w Polsce nie zawsze jest oczywiste.

Pytanie tylko, dla jakich grup wiekowych jest to najbardziej atrakcyjne miejsce. Wydaje mi się, że szczególnie dobrze sprawdza się dla osób z dziećmi – bo jest mniejsze, spokojniejsze i bezpieczniejsze niż wielkie metropolie – oraz dla osób trochę starszych, które szukają spokojniejszego rytmu.

Dużym atutem jest styl życia. Jeśli ktoś lubi aktywność i bliskość natury, to Bielsko daje bardzo dobre warunki. Jednocześnie miasto jest stosunkowo dobrze połączone z resztą Europy. Czas dojazdu do Wiednia, Brna czy Bratysławy jest krótszy niż z większości polskich miast. Pod względem drogowym Bielsko znajduje się właściwie na progu europejskiego systemu autostradowego, choć z koleją bywa jeszcze różnie.

To wszystko sprawia, że jak na miasto średniej wielkości jest to miejsce bardzo atrakcyjne. Zresztą rynek nieruchomości już to dostrzega – mieszkania z widokiem na góry potrafią być wyraźnie droższe.

> Myślenie o przyszłości miasta nie powinno polegać wyłącznie na kontynuowaniu wątku motoryzacyjnego. Nowy kierunek powinien być równie odważny jak ten sprzed kilkudziesięciu lat. Bielsko ma do tego predyspozycje.

Wiele polskich miast po 1989 r. musiało na nowo zdefiniować swoją tożsamość. Bielsko wydaje się przykładem miejsca, w którym – mimo powojennej wymiany ludności i transformacji – ten proces przebiegł dość spokojnie. Jak Pan na to patrzy?

Trzeba najpierw doprecyzować, o co właściwie pytamy. Wiele rzeczy w Bielsku rzeczywiście się udało. To miasto wypracowało nową tożsamość. Powiedziałbym jednak, że jest ona raczej miękka, nie taka, którą każdy mieszkaniec natychmiast potrafiłby zdefiniować jednym zdaniem. Jest raczej obecna w codziennym funkcjonowaniu miasta – jako pewna mieszanka tradycji i nowoczesności.

W dużej mierze wynika to z dość stabilnej sytuacji gospodarczej. Jeśli porównać średnie zarobki z miastami podobnej wielkości – jak Radom, Częstochowa czy Opole – Bielsko radzi sobie całkiem dobrze. Istotną rolę odgrywa też wysoki poziom lokalnej przedsiębiorczości i rozwiniętego przemysłu. W pewnym sensie jest to element lokalnego *genius loci*. Miasto zachowało tradycję przemysłowo-handlową, której nawet okres komunizmu nie zdołał całkowicie zatrzeć.

Są jednak również kwestie trudniejsze.

Jakie?

Mam wrażenie, że o ile Bielsko dość dobrze potrafi dziś opowiadać o historii swojej społeczności żydowskiej, o tyle historia społeczności niemieckiej jest nadal tematem trudnym. W innych miastach – jak Gdańsk czy Wrocław – próbowano ją opisać szerzej. W Bielsku to trudniejsze, bo była to historia silnych napięć narodowych. Część Niemców przed wojną sympatyzowała z nazizmem, była nastawiona antypolsko, co utrudnia uznanie jej osiągnięć na polu gospodarczym czy urbanistycznym.

To jednak również fragment historii miasta, z którym prędzej czy później trzeba się zmierzyć – nie po to, by go upraszczać czy zacierać, ale żeby go spokojnie zrozumieć. Trzeba też pamiętać, że część infrastruktury miejskiej powstała dzięki ludziom, którzy po II wojnie światowej z Bielska wyjechali. Skala nie jest taka jak we Wrocławiu, ale ten wątek jest obecny.

Natomiast jeśli mówimy o współczesnej tożsamości – tej bardziej codziennej – to mam wrażenie, że jest ona raczej pogodna i pozytywna. Opiera się na trochę innym zestawie odniesień niż klasyczne narracje historyczne. W dużej mierze budują ją elementy kultury popularnej: pamięć o Studiu Filmów Rysunkowych,

eprasa.pl df2b558170

Dzieje Bielska-Białej

1312 – pierwsza historyczna wzmianka o Bielsku w źródłach pisanych.

1723 – Biała otrzymuje prawa miejskie, rozpoczynając samodzielną historię jako ośrodek miejski.

1752 – król August III potwierdza prawa miejskie Bielska, umacniając jego pozycję administracyjną.

1855 – do Bielska dociera pierwszy pociąg, włączając miasto w sieć kolejową monarchii Habsburgów.

1890 – otwarty zostaje Teatr Miejski, dzisiejszy Teatr Polski, jedna z najważniejszych instytucji kulturalnych miasta.

1895 – uruchomiona zostaje elektryczna linia tramwajowa do Cygańskiego Lasu, findesieclowy symbol nowoczesności.

1918 – po zakończeniu I wojny światowej Bielsko i Biała znajdują się w granicach odrodzonej Polski.

1939 – spalenie synagogi w Bielsku i synagogi w Białej – początek okupacji niemieckiej przerywają wielokulturową historię miasta.

1947 – powstaje zespół filmowy, z którego wyrośnie późniejsze Studio Filmów Rysunkowych.

1 stycznia 1951 – Bielsko i Biała zostają połączone w jedno miasto.

1956 – Studio Filmów Rysunkowych zostaje powołane jako samodzielna wytwórnia.

1963 – na ekranach pojawiają się pierwsi bohaterowie serii „Bolek i Lolek".

1967 – wyemitowany zostaje pierwszy odcinek „Reksia".

1971 – w Bielsku-Białej uruchomiona zostaje Fabryka Samochodów Małolitrażowych.

6 czerwca 1973 – z taśmy produkcyjnej zjeżdża pierwszy Fiat 126p, czyli „maluch".

1992 – powstaje Fiat Auto Poland, otwierając nowy etap rozwoju przemysłu motoryzacyjnego po transformacji ustrojowej.

1999 – odbywa się pierwsza edycja Bielskiej Zadymki Jazzowej, która z czasem stanie się ważnym wydarzeniem na jazzowej mapie Europy.

2000 – kończy się produkcja Fiata 126p, symbolicznie zamykając epokę „malucha", modelem „happy end".

2001 – powołana zostaje Akademia Techniczno-Humanistyczna, wzmacniając akademicki charakter miasta.

2014 – zakończona zostaje modernizacja dworca Bielsko-Biała Główna.

2022 – działalność inauguruje Cavatina Hall, jedna z najnowocześniejszych sal koncertowych w Polsce.

2023 – Akademia Techniczno-Humanistyczna zostaje przekształcona w Uniwersytet Bielsko-Bialski.

2026 – Bielsko-Biała pierwszą w historii Polską Stolicą Kultury.

o „małym Fiacie", o różnych doświadczeniach przemysłowych i kulturowych miasta. W tym sensie jest to tożsamość bardziej popkulturowa niż historyczna.

Mam wrażenie, że Bielsko zachowało ducha XIX wieku. Wciąż czuć tu silną tradycję mieszczańską.

Co więcej, kiedy pójdzie pan trochę dalej, zobaczy pan, że nawet to, co powstało w XX wieku, także w okresie PRL, całkiem dobrze się wpisało w tkankę miasta. Pomogło w tym oczywiście ukształtowanie terenu, ale też swoboda w projektowaniu niektórych osiedli.

Oczywiście nie wszystko jest tu tak efektowne, jak reprezentacyjne XIX-wieczne kamienice, ale nawet w tych mniej oczywistych dzielnicach można znaleźć sporo interesujących miejsc. Bielsko musi sobie radzić także z naturalnym procesem rozlewania się miasta. W jego bezpośrednim sąsiedztwie znajduje się wiele ciekawych miejscowości, które w praktyce tworzą z nim jeden organizm – czasem granice są wręcz trudne do uchwycenia, jak choćby między Bielskiem a Kozami.

Dużym atutem jest oczywiście ukształtowanie terenu. Trudno wyobrazić sobie, by Bielsko wyglądało tak samo, gdyby powstało gdzieś na zupełnie płaskim obszarze. Nachylenia terenu, różnice wysokości – to wszystko dodaje uroku. Gdy spojrzy się choćby na Górne Przedmieście, widać, jak bardzo topografia wpływa na odbiór urbanistyki i architektury.

Jest też historia „malucha" – samochodu, który w pewnym sensie zmienił oblicze Polski. Bielsko jest więc miastem z jednej strony bardzo XIX-wiecznym w swoim charakterze, a z drugiej – przez pewien czas było symbolem nowoczesności.

To prawda. Fabryka Samochodów Małolitrażowych wyraźnie zmieniła pozycję Bielska w sieci miast. Nie przepadam za rankingami, ale można powiedzieć, że wpłynęła zarówno na rozwój demograficzny, jak i gospodarczy miasta. Nadała mu też nowy charakter – rozpoczął się okres intensywnej modernizacji, a Bielsko stało się bardziej rozpoznawalne. Co ważne, wydarzyło się to w latach 70. Mam wrażenie, że był to jeden z tych przykładów inwestycji miejskich, które naprawdę trudno podważyć. Sam samochód, ↦

eprasa.pl df2b558170

↦ „maluch", odegrał ogromną rolę w upowszechnieniu motoryzacji w Polsce.

Dla Bielska równie istotne okazało się jednak to, że była to inwestycja, która przez długi czas stanowiła bardzo solidny fundament rozwoju gospodarczego. W tamtym czasie była to prawdziwa licencja na rozwój.

A dziś?

Dziś myślenie o przyszłości miasta nie powinno polegać wyłącznie na kontynuowaniu wątku motoryzacyjnego. Ważniejsze jest znalezienie nowego kierunku – podobnie odważnego jak ten sprzed kilkudziesięciu lat.

Bielsko ma do tego predyspozycje. Wciąż wyczuwa się przemysłowy charakter miasta. Pamiętam, że gdy tu mieszkałem, korki pojawiały się ok. godz. 14 – w porze zmiany w fabryce. To coś, czego nie obserwuje się w miastach pozbawionych dużych zakładów produkcyjnych. Ten przemysłowy rytm życia był wyraźny. I mam nadzieję, że pozostanie jednym z elementów jego tożsamości – oczywiście w połączeniu z innymi wątkami, także kulturowymi. Bo właśnie takie połączenie może sprawić, że Bielsko będzie dobrze przygotowane na kolejny etap rozwoju.

To zresztą wyzwanie dla wielu polskich miast średniej wielkości. Świat staje się coraz bardziej metropolitalny, dlatego każdy sygnał pokazujący, że istnieją inne ścieżki rozwoju, jest bardzo ważny. W tym sensie nawet bliskość aglomeracji górnośląsko-zagłębiowskiej – choć czasem budzi obawy – może być raczej atutem niż słabością. Bo najtrudniejsza sytuacja to taka, gdy miasto znajduje się daleko od wszystkiego. W Bielsku akurat to się nie zdarzyło. Właśnie dlatego warto patrzeć na bliskość dużych ośrodków raczej jako na atut. Nie ma powodu myśleć o niej w kategoriach wysysania potencjału czy pozbawiania miasta energii rozwojowej.

Jeszcze jeden wątek, z którego Bielsko jest znane i z którego jest dumne, to rozwój filmu animowanego.

Pytanie o to, jak ten potencjał jeszcze lepiej wykorzystać. Jeśli ktoś interesuje się miastem i zajrzy na stronę turystyczną czy do przewodnika, z pewnością natrafi na tę historię.



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

RAFAŁ MATYJA (ur. 1967) – historyk i politolog, doktor habilitowany nauk społecznych, publicysta. Wydał m.in. „Wyjście awaryjne. O zmianie wyobraźni politycznej" (2018), „Miejski grunt. 250 lat polskiej gry z nowoczesnością" (2022) oraz „Kraków. Miasto zero" (2024). Pracuje w Instytucie Rozwoju Miast i Regionów.

Natomiast kolejnym krokiem mogłoby być jeszcze mocniejsze wpisanie animacji w wizerunek Bielska. Tak, aby nie była tylko ciekawostką dla osób, które już tu trafiły, ale jednym z wyraźnych znaków rozpoznawczych. Wtedy mogłaby stać się jednym z elementów, które pomagają miastu wyróżniać się na tle innych ośrodków tej wielkości.

Mam też wrażenie, po rozmowach z mieszkańcami, że Bielsko jest miastem bez kompleksów.

Nie wiem, czy mam aż tak czuły radar na kompleksy i ich brak. Mam raczej poczucie, że w dzisiejszej Polsce nie jest to już tak istotny problem. Jako społeczeństwo pozbyliśmy się wielu dawnych kompleksów – zwłaszcza w pokoleniu osób mniej więcej czterdziestoletnich i młodszych.

Podobnie jest w miastach, w których po prostu dobrze się żyje. Często to raczej język wielkich metropolii tworzy opowieść o „prowincji". Pamiętam rozmowę ze znaną polską polityczką, która mówiła, że partie powinny bardziej zajmować się prowincją, bo tam najważniejsze są transfery socjalne i pomoc. Tymczasem wystarczy pojechać do Bielska czy nawet do pobliskiego Żywca, żeby zobaczyć, że codzienne życie wcale nie polega na oczekiwaniu na tego typu transfery z Warszawy.

Na czym więc polega?

Ludzie mierzą się raczej z bardziej przyziemnymi problemami: dostępem do usług publicznych, zwłaszcza ochrony zdrowia, czy kwestiami transportu. I to jest bardzo konkretna różnica między metropoliami a miastami średniej wielkości. Poruszanie się transportem publicznym w Warszawie czy Krakowie to zupełnie inne doświadczenie niż w Bielsku czy Nowym Sączu. W Krakowie samochód jest niepotrzebny. Natomiast gdy zamieszkałem w Nowym Sączu, musiałem go kupić. W takich miastach posiadanie przynajmniej jednego samochodu w rodzinie jest w praktyce koniecznością, a wiele rodzin – nawet niezamożnych – ma dwa auta. Wystarczy spróbować poruszać się komunikacją poza ścisłym centrum, żeby zobaczyć, że bywa to trudne. Czasem trzeba długo czekać na przesiadkę czy kolejny autobus. To zresztą nie jest specyfika tylko Bielska – większość miast tej wielkości w Polsce zmaga się z podobnym problemem.

Przez lata funkcjonowało tam podejście, które zawsze krytykowałem: że komunikacja miejska jest przede wszystkim dla dzieci i osób starszych. W efekcie traktuje się ją dość marginalnie – dowozi dzieci do szkoły, zapewnia starszym mieszkańcom dojazd do ogródków działkowych raz na godzinę i na tym właściwie koniec. To utrudnia stworzenie systemu transportowego, który byłby realną alternatywą dla samochodu. I dlatego, gdy mieszkańcy takich miast narzekają na transport publiczny, często robią to z poczuciem, że różnica w porównaniu z metropoliami jest po prostu bardzo wyraźna.

Podsumowując: jakim miastem jest dziś Bielsko-Biała?

Powiedziałbym, że to jedno z ciekawszych polskich miast średniej wielkości. Ma wyraźną historię, silną tradycję przedsiębiorczości i dość dobrą jakość życia. Nie próbuje na siłę udawać metropolii, tylko rozwija się we własnej skali. W tym sensie pokazuje, jak może wyglądać nowoczesne życie poza największymi ośrodkami. Jeżeli ktoś chciałby się wyprowadzić z metropolii – to moim zdaniem Bielsko-Biała jest pierwszą propozycją do rozważenia.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

eprasa.pl df2b558170

Restauracja Gallo Nero







Italia w środku miasta

W sercu Bielska-Białej, przy ul. Legionów 26-28 tworzymy miejsce, które jest dla nas czymś więcej niż restauracją. Gallo Nero to nasza odpowiedź na potrzebę autentyczności – kuchni opartej na jakości, prostocie i szacunku do produktu.



Od początku wiedzieliśmy, że chcemy iść w kierunku, który wymaga konsekwencji. Dlatego fundamentem naszej kuchni są świeże owoce morza oraz ręcznie robione makarony. Pracujemy na produktach, które wymagają wiedzy, doświadczenia i precyzji – ale to właśnie one dają najbardziej satysfakcjonujący efekt na talerzu. Kameralne wnętrze, uważna obsługa i atmosfera sprzyjająca spotkaniom – zarówno tym codziennym, rodzinnym, biznesowym jak i wyjątkowym.

Nie opowiadamy historii o kuchni włoskiej – my ją codziennie tworzymy.

W naszej restauracji szczególne miejsce zajmuje homarium – przestrzeń, w której przechowujemy homary i inne owoce morza w odpowiednich warunkach, dbając o ich świeżość i jakość. To dla nas nie tylko element oferty, ale również wyraz szacunku do produktu i gościa. Dzięki temu możemy proponować dania z owoców morza na poziomie, który kojarzy się z nadmorskimi restauracjami, a nie środkiem miasta.



Drugim filarem są makarony – w całości tworzone na miejscu. Każdego dnia przygotowujemy świeże ciasto, z którego powstają różne formy past, wyciskane na matrycach z brązu, w tym również delikatne tortellini, wymagające precyzji i doświadczenia. To proces, którego nie da się przyspieszyć – i właśnie dlatego ma dla nas taką wartość.

Uzupełnieniem naszej kuchni jest pizza w stylu rzymskim – lekka, chrupiąca, wypalana w piecu opalanym drewnem. Stawiamy na prostotę i balans, bo wierzymy, że najlepsze smaki nie potrzebują nadmiaru.







REKLAMA

eprasa.pl df2b558170

REKLAMA

Preisner Scoring Competition

GALA FINAŁOWA



MY LIFE

PREISNER'S MUSIC

27 CZERWCA 2026

HALA WIDOWISKOWA POD DĘBOWCEM
W BIELSKU-BIAŁEJ

BILETY: BILETSERWIS.PL

POLSKA STOLICA KULTURY

Miasto Bielsko-Biała
BB 2026 Bielsko-Biała Polska Stolica Kultury
miejski dom kultury
80 LAT Bielskiej Szkoły Muzycznej
Teatr Polski Bielsko-Biała
Prestige MJM
BILET SERWIS
onet
TYGODNIK POWSZECHNY

eprasa.pl df2b558170